ZEMSTA „PANCERNEGO MARIANA”:

SZOKUJĄCE KULISY BRUTALNEJ GRY

POLSKO-BIAŁORUSKIE ROZCZAROWANIE

LESZEK DŁUGOSZ:

OSIEMDZIESIĄTKA TO JESZCZE NIE KATASTROFA!

FASCYNUJĄCY DODATEK

GIGANCI NAUKI PL

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE

Nr 24 (446) 2021
14–20 czerwca 2021

CENA: 6,90 zł
(w tym 8% VAT)

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694

UJAWNIAMY

PLAN ZEMSTY

OPOZYCJA WCIĄŻ NIE PRACUJE NAD PROGRAMEM, ALE JUŻ SZYKUJE LISTY PROSKRYPCYJNE PO EWENTUALNYM PRZEJĘCIU WŁADZY.

REPRESJE MAJĄ OBJĄĆ KILKA TYSIĘCY OSÓB

eprasa.pl 7e1fc54e41

CYFROWY POLSAT

KIBICUJ NASZYM!

WYBIERZ MISTRZOWSKĄ OFERTĘ OD **30 ZŁ/MIES.** I DOBIERAJ SPORTOWE PAKIETY DODATKOWE!

TV SATELITARNA TV KABLOWA IPTV

Zaprezentowano kanały z różnych ofert telewizyjnych. Promocja dla nowych Klientów telewizji satelitarnej i kablowej IPTV przy umowach ze zobowiązaniem od 30 zł/mies. i z okresem podstawowym na 24 okresy rozliczeniowe. Piłka w prezencie z pakietem podstawowym L i dowolnym pakietem dodatkowym z łączną ceną abonamentu od 70 zł/mies. w promocji od 01.06.2021 – 15.07.2021 lub do wyczerpania zapasów. Więcej w Regulaminie „Kibicuj NASZYM". Usługa telewizji kablowej IPTV działa z internetem stacjonarnym Plusa, Netii i Orange i wymaga łącza o min. prędkości 8 Mb/s na dekoder. Szczegóły w Warunkach Oferty i Regulaminie, dostępnych u Sprzedawców i na www.cyfrowypolsat.pl. Oferta ważna na dzień 13.06.2021 r.
FORMULA 1 images © Formula One World Championship Limited 2021.

eprasa.pl 7e1fc54e41

Kto ukrywa przed nami prawdę?

Jeszcze niedawno informacje o tym, że COVID-19 mógł pochodzić z laboratorium w Wuhanie, były w mediach mainstreamowych i społecznościowych blokowane lub usuwane. Cenzurę usprawiedliwiano walką z fake newsami. Tych, którzy wysuwali taką hipotezę, nazywano zwolennikami teorii spiskowych, oszołomami lub fanatykami. W taki sposób uciszono m.in. republikańskiego senatora Toma Cottona, który ośmielił się mieć wątpliwości, czy źródłem pandemii był rzeczywiście nietoperz. „Washington Post" pisał: „Tom Cotton wciąż powtarza teorię spiskową dotyczącą koronawirusa, która została już obalona". Jako dowód cytowano słowa biologa prof. Richarda Ebrighta, który zaprzeczył, jakoby wirus mógł pochodzić z laboratorium. Fala krytyki spadła też na prof. Josepha Tritto, prezesa Światowej Akademii Nauk Biomedycznych i Technologii, którego książka „Cina COVID-19" została przemilczana lub wyśmiana tylko z jednego powodu – naukowiec twierdził, że zakaźna cząstka jest dziełem ludzkim. Nawet wspominanie o „chińskim wirusie" było piętnowane, choć nie miano żadnych oporów, by mówić o „brytyjskiej mutacji" lub „brazylijskiej odmianie".

Teraz nastąpiło odwrócenie narracji. Nagle zachodni politycy, naukowcy i dziennikarze zaczęli otwarcie mówić o pochodzeniu wirusa z laboratorium. Taką możliwość zaczęli dopuszczać też urzędnicy, którzy jeszcze niedawno całkowicie wykluczali tego rodzaju scenariusz, jak np. doradca prezydentów USA ds. chorób zakaźnych Anthony Fauci. Stanowisko zmienił też „Washington Post". Przy okazji wyszło na jaw, że cytowany przez gazetę prof. Ebright został ocenzurowany. Dziennik wyciął zdanie, w którym twierdził on, że wirus mógł zostać sztucznie stworzony. Wtedy nie pasowało to do obowiązującej narracji.

Najlepiej owo przestawienie wajchy ilustruje przykład Facebooka, który 26 maja ogłosił, że od tej pory wszystkie wpisy przedstawiające hipotezę, iż COVID-19 pochodzi z laboratorium, nie będą już więcej usuwane. To znaczy, że wcześniej istniał odgórny nakaz, by cenzurować tego typu informacje. Kto dał nadawcom takie prawo? Sami sobie nadali, powołując się na walkę z dezinformacją. I kto okazał się dezinformatorem?

Cała sprawa rzuca jaskrawe światło na kwestię wolności słowa oraz prawa do poznania prawdy przez odbiorców największych i najbardziej wpływowych mediów na naszym globie. Skoro ci ostatni byli w stanie przez ponad rok okłamywać cały świat, to jaką mamy gwarancję, że nie postępują tak samo w innych sprawach? Że wprowadzają cenzurę, by ukryć prawdę, a całe to gadanie o komputerowych algorytmach walczących z fake newsami to tylko zasłona dymna? Czego nam jeszcze zabraniają wiedzieć? Co przed nami ukrywają? Jaką narrację chcą nam narzucić?

Nie oszukujmy się, że ta sprawa nie dotyczy Polski. Jako społeczeństwo jesteśmy poddawani analogicznym manipulacjom. Dziś wolności słowa na świecie najbardziej zagraża globalna cenzura, zaprowadzana przez internetowy kartel TAGAF (Tweeter, Amazon, Google, Apple, Facebook). Jej ofiarami stają się także osoby, instytucje oraz środowiska konserwatywne i chrześcijańskie, których poglądy są eliminowane z cyberprzestrzeni tylko dlatego, że prezentują wierność nauce Kościoła. W starciu z internetowymi gigantami zwykły obywatel wydaje się bezradny. W takim przypadku powinien jednak liczyć na wsparcie państwa, którego zadaniem jest ochrona swobód obywatelskich, w tym wolności słowa, wyznania i sumienia. To zresztą coś więcej niż tylko zadanie dla państwa – to jego obowiązek.

Grzegorz Górny

Reklama | 29/0321/F

eprasa.pl 7e1fc54e41

SIECI

spis treści

34 *Prezes PiS, szczepionki i walka z dezinformacją*
Jakub Augustyn Maciejewski

57–64 Dodatek specjalny
Giganci nauki PL

84 Z Jerzym Engelem o Euro 2021
rozmawia Cezary Kowalski

NA POCZĄTEK

6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 **POWRÓT SŁOŃCA**
Krzysztof Feusette

9 **NA WESELE, NIE DO SZPITALA**
Dorota Łosiewicz

10 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski

12 **POLSKIEGO ŁADU SIĘ ZACHCIAŁO!**
Jan Pietrzak

12 **PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort

13 **MOJA DROGA PO SWOJEMU**
Bronisław Wildstein

14 **WALIZKA MARCINA KOŁPANOWICZA**
Michał Korsun

16 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

17 **WSPARCIE DLA ARTYSTÓW**
Marta Kaczyńska-Zielińska

18 **TRZECI ZMYSŁ**
Tomasz Łysiak

TEMAT TYGODNIA

20 **WIELKA CZYSTKA**
Stanisław Janecki

KRAJ

24 **ZEMSTA „PANCERNEGO MARIANA"**
Marek Pyza

28 **TERLECKI ZIRYTOWANY, CZYLI O POLSKIM ROZCZAROWANIU BIAŁORUSIĄ**
Jan Rokita

31 **POLSKA PUŁAPKA NA CICHANOUSKĄ**
Marek Budzisz

34 **PREZES PIS, SZCZEPIONKI I WALKA Z DEZINFORMACJĄ**
Jakub Augustyn Maciejewski

37 **KTO DZIŚ SŁUCHA HOŁDYSA?**
Konrad Kołodziejski

40 **Z PROF. MACIEJEM CHOROWSKIM**
rozmawiają Jacek i Michał Karnowscy

44 **MROCZNY INSTYNKT DRAPIEŻNIKA**
Maja Narbutt

48 **UNICEF POCHWALA PORNOGRAFIĘ**
Dorota Łosiewicz

50 **Z ADAMEM HLEBOWICZEM**
rozmawia Aleksandra Jakubowska

ŚWIAT

54 **OGIEŃ I WODA**
Aleksandra Rybińska

SIECI KULTURY

65 **WSZECHSTRONNY PAN PIOTRUŚ**
Jolanta Gajda-Zadworna

67 **ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM**
Piotr Zaremba

68 **Z LESZKIEM DŁUGOSZEM W 80. URODZINY ARTYSTY**
rozmawia Anna Wiejak

71 **MUZYKA Z EMIGRACJI**
Adam Ciesielski

72 **ŻĄDŁO OSY**
Robert Tekieli

73 **WOJNA CYWILIZACJI**
Robert Tekieli

74 **CZYTANIE JAKO SPORT EKSTREMALNY**
Wojciech Stanisławski

PRAWO I ŻYCIE

76 **BEZPIECZNE WAKACJE 2021**
Dodatek specjalny

SPORT

84 **Z JERZYM ENGELEM O EURO 2021**
rozmawia Cezary Kowalski

KUCHNIA

88 **MOJE SZLAKI: ARKADIUSZ JANICZEK**
Jolanta Gajda-Zadworna

89 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

90 **TEN, KTÓRY WOŁAŁ: NON POSSUMUS!**
Hanna Karp

92 **CZŁOWIEK PROSTY, ALE NIE PROSTAK**
Alina Czerniakowska

94 **BROŃ ABC**
Lech Makowiecki

94 **RUBIKOŃ WRACA DO GRY**
Piotr Cywiński

96 **WZRUSZENIE ZAPISANE W SŁOWACH...**
Leszek Długosz

98 **DEMOKRATYCZNA ODMOWA WIEDZY**
Andrzej Zybertowicz

Reklama | 1/0321/F

eprasa.pl 7e1fc54e41

20 LAT CLUB VITAY

ORLEN

20 lat Programu VITAY.

Wciąż się rozwijamy!
Aplikacja **ORLEN VITAY** w nowej odsłonie.

Jakie korzyści daje aplikacja?

- Zyskaj wirtualną kartę VITAY
- Nawiguj do najbliższej stacji ORLEN
- Oszczędzaj dzięki kuponom promocyjnym
- Zbieraj punkty na nagrody z Katalogu VITAY
- Płać bezgotówkowo z funkcją ORLEN Pay

Pobierz **ORLEN VITAY**

Download on the App Store

GET IT ON Google Play

eprasa.pl 7e1fc54e41

Sygnalista nadaje

Gdy Olga Tokarczuk porównała Polskę do Białorusi, w internecie zainicjowano akcję #OdeślijOldzeKsiążkę. Fundacja imienia noblistki zareagowała tak: „Informujemy, iż nadesłane do nas egzemplarze przekażemy w ramach wsparcia na aukcję charytatywną na rzecz organizacji walczących o prawa osób LGBT+". Koncentracja współczesności na tym jednym temacie, w istocie tak mało ważnym, przypomina świat ze starych filmów science fiction, w których życie okazuje się dręczącym koszmarem bez końca i bez nadziei.

Wielki pisarz science fiction Stanisław Lem chyba to przeczuwał. W 2002 r. tak mówił o Tokarczuk: „Czytałem niedawno książkę Tokarczuk o »Lalce«. To jest nie tylko mowa-trawa, ale również dowód na to, że autorka studiowała psychologię w ubiegłych wiekach. (...) Książka ta zirytowała mnie tak, że więcej niż połowy nie uczytałem". I dalej: „Tokarczuk do tego stopnia obraziła mój rozum, że chciałem napisać polemikę, ale uznałem, że gra jest niewarta świeczki, bo musiałbym jej książkę doczytać do końca". W sumie bez znaczenia. W przypadku współczesnych Nobli mniej chodzi o książki, a bardziej o polityczne wywiady.

Ale przeszłością da się manipulować. Bogdana Borusewicza poproszono o wypowiedź do filmu TVP, który miał m.in. opisywać aktywność Jarosława Kaczyńskiego w PRL. Wicemarszałek Senatu odpowiedział tak: „Nie mam wiedzy na temat działalności opozycyjnej Jarosława Kaczyńskiego. Poznałem go dopiero w 1988 r. Współpracował ze mną w Gdańsku tylko Lech Kaczyński". To oczywiście nieprawda. Borusewicz poznał Jarosława Kaczyńskiego najpóźniej w 1984 r. W tym wypadku prawda jest zapewne nieciekawa.

Osoba znająca dawne dzieje mówi tak: „Przekroczona została pewna bariera. Dotąd ludzie podziemia nie fałszowali przeszłości, nie pomniejszali swoich zasług w ramach walki politycznej. Tego jednak nie robiono. Teraz po raz pierwszy mamy coś, co można nazwać kłamstwem biograficznym". Cóż, ten film naprawdę powinien powstać, bo nie można pozwolić, by wrzask przesłonił prawdę.

Kazik Staszewski udzielił paru wywiadów. W rozmowie z „Rzeczpospolitą" wrócił do piosenki „Twój ból jest lepszy niż mój", która wywołała pamiętną burzę. „Miałem świadomość, że narobi trochę hałasu, bo to było niedługo po tym, jak Kaczyński poszedł na cmentarz, który specjalnie dla niego otworzyli. Później mi wytłumaczono, że nie było rozporządzenia o zamykaniu cmentarzy, zaś decyzje pozostawiono w gestii administratorów. Jednak dzień, kiedy Kaczyński poszedł na cmentarz – zapamiętałem". I jeszcze: „Hołownia też był tego dnia na cmentarzu, nawet tym się pochwalił w mediach społecznościowych, ale później – gdy zaczęła się robić zadyma – wszystko wykasował". Czyli afery nie było. Chyba wypadałoby dodać jeszcze parę słów.

Zespół Kult zabrał także głos w sprawie debaty o przywilejach dla zaszczepionych. „W związku z tym, że zaczynają pojawiać się pogłoski o koncertach i festiwalach przeznaczonych

Piotr Semka, po wielu tygodniach walki z COVID-19, zabrał głos w mediach społecznościowych. „Serdecznie dziękuję za modlitwy i życzliwe słowa. Jestem w szpitalu i sporo rehabilitacji przede mną. Szczęść Boże!". Piotrze, wracaj do pełnego zdrowia jak najszybciej. Czasy idą trudne i Twoja szabla jest nam wszystkim bardzo potrzebna.

eprasa.pl 7e1fc54e41

tylko dla zaszczepionych, chcemy opublikować w tym miejscu naszą decyzję. Grupa KULT nie bierze udziału w koncertach, na które będą wpuszczani tylko ludzie zaszczepieni. Apartheidowi mówimy zdecydowanie NIE. CHCEMY ŁĄCZYĆ, A NIE DZIELIĆ". Cóż, można jedynie poradzić, by uważniej śledzili rzeczywistość. Tak jak cmentarze nie były zamknięte, tak i nie ma koncertów tylko dla zaszczepionych. Są za to koncerty, w których do limitów publiczności nie wlicza się osób, które przyjęły szczepionkę. Fakty mają znaczenie.

Poseł Konfederacji ***Grzegorz Braun*** został wyrzucony z debaty kandydatów na prezydenta Rzeszowa w Radiu Zet. Najpierw określił parady środowisk LGBT jako „dewiację", a w innym momencie debaty nazwał ministra Niedzielskiego „szkolonym psychopatą". „Nie pozwolę, żeby używać takich sformułowań w moim programie" – stwierdził prowadzący debatę Andrzej Stankiewicz i poseł zniknął z ekranu. Wybór między szaleństwem a cenzurą to jest jednak trudna sprawa.

Swiatłana Cichanouska przyjęła zaproszenie na sierpniowy wiec ***Rafała Trzaskowskiego*** – Campus Polska Przyszłości. Zareagował wicemarszałek Sejmu Ryszard Terlecki: „Jeżeli Cichanouska chce reklamować antydemokratyczną opozycję w Polsce i występować na mityngu Trzaskowskiego, to niech szuka pomocy w Moskwie, a my popierajmy taką białoruską opozycję, która nie staje po stronie naszych przeciwników". Mocno, ale problem realny: białoruska opozycja musi odpowiedzieć sobie na pytanie, czy też uważa, że w Polsce jest jak na Białorusi.

Cichanouska odpowiedziała tak: „W krajach demokratycznych co do Białorusi wszystkie partie polityczne łączy konsens i mają jedną wspólną opinię do tego, co się tak naprawdę na Białorusi dzieje. Szczerze powiedziawszy, nie wiem, jak to skomentować". Cóż, biorąc pod uwagę, że wcześniej otoczenie Cichanouskiej konsultowało się w sprawie wiecu Trzaskowskiego z polskimi władzami i mimo negatywnej odpowiedzi przyjęło zaproszenie do Olsztyna, to w istocie pusty unik.

Zgoda Cichanouskiej na udział w partyjnym wiecu totalnej opozycji to zapewne tak naprawdę decyzja Berlina. Sygnał jest jasny: białoruska opozycja może korzystać ze wsparcia władz w Warszawie materialnego i politycznego, ale sama ma wspierać to, co jest po drugiej stronie. Ale to błąd, pani prezydent elekt. W tym regionie świata podmiotowej Polski, mimo wszystko, nie da się ominąć.

A Niemcy chcą pozbyć się ostatnich pozorów. Szef niemieckiej dyplomacji Heiko Maas ma nowy pomysł: zniesienie przysługującego państwom członkowskim Unii Europejskiej prawa weta. „Nie możemy dłużej pozwalać na to, by być zakładnikami tych, którzy swoim weto paraliżują europejską politykę zagraniczną. (...) Weto musi zniknąć, nawet jeżeli oznacza to, że możemy zostać przegłosowani" – oświadczył. Najlepsze ostatnie zdanie: wizja przegłosowania Niemiec. Za chwilę powie, że poświęca się dla innych.

Pomysł Heiko Maasa poparła Róża Thun, europosłanka Koalicji Obywatelskiej. „Przecież to akurat my wiemy najlepiej (albo przynajmniej wiedzieć powinniśmy), że liberum veto prowadzi wyłącznie do katastrof!" – przekonuje. Chyba czas na szerszy wniosek, bo może to polska niepodległość „prowadzi wyłącznie do katastrof"?

Barack Obama martwi się o Warszawę i Budapeszt: „Gdy popatrzymy na takie miejsca, jak Węgry albo Polska – które nie miały takich demokratycznych tradycji jak my, nie były w nich tak mocno zakorzenione. A jednak jeszcze 10 lat temu były dobrze funkcjonującymi demokracjami, a stały się w gruncie rzeczy autorytarne" – ocenił były prezydent Stanów Zjednoczonych. Jeśli było tak świetnie, to dlaczego skończyło się tak źle? Poza tym Polska i Węgry mają dłuższe tradycje demokratyczne niż USA. Dłuższe o co najmniej parę stuleci.

Marek Migalski zakpił sobie z procesji Bożego Ciała: „Święto krwi i ciała boga. XXI wiek. Kilka miesięcy po tym, jak naukowcy posadzili łazika na planecie odległej od Ziemi średnio o ponad 200 MILIONÓW kilometrów. Miłej celebracji". Odpowiedział mu Bogusław Sonik: „W 1922 r. bolszewicki komisarz Łunaczarski zorganizował Sąd nad Bogiem. Świadkiem oskarżenia był Lew Trocki. Bóg został skazany na karę śmierci. Pluton egzekucyjny oddał kilka salw w niebo". Lepiej nie podpowiadać, obóz neobolszewicki zdolny jest w Polsce do wszystkiego.

Zarząd spółki Agora ogłosił połączenie portalu Gazeta.pl z „Gazetą Wyborczą". Działaniom sprzeciwia się Adam Michnik, redaktor naczelny „Wyborczej"; miał nawet zagrozić dymisją. „To samobójcze uderzenie w etos »Wyborczej«, osłabianie najsilniejszej w polskich mediach marki, która w oczywisty sposób jest dla Agory najcenniejszym dobrem. To potrójny błąd: etyczny, polityczny i biznesowy" – głosi stanowisko, które protestujący przesłali do władz firmy. Coś ta Agora nie ma szczęścia do swoich zarządów. Co i rusz powstaje wrażenie, że władze firmy uważają „Wyborczą" i jej etos nie za atut, ale za obciążenie.

Fot. Andrzej Wiktor, Julita Szewczyk, Evan El-Amin / Shutterstock

eprasa.pl 7e1fc54e41

Powrót słońca

KRZYSZTOF FEUSETTE

No, to już prawie spakowany. Na-na-na... Powrócisz tu, gdzie nadwiślański brzeg, powrócisz tu, gdzie czeka Grzesiu Schet... Ależ mi wesoło. Najważniejsze, żeby wszystko zabrać. Z tym braniem i niebraniem to jest w ogóle ciekawa sprawa. Wziąłem kiedyś do samolotu chłopaka, którego z kolei wziąć chciała sobie za męża moja córka, znana trendsweterka. Z wzięcia zięcia nic dobrego nie wyszło. Bo i tak by za niego wyszła, a tak wyszło, że lata, bo tata. Na szczęście odseparowałem się od krajowego syfu, łącząc przyjemne zarobki z pożytecznym odwrotem. Odpocząłem. Odkułem się. Weni, widi, da Vinci, jak to mówią. A teraz wracam. Na-na-na... Powiedz stary, gdzieś ty był, la-la-la, może urwał ci się film, fa-fa-fa-... Ależ oni czekają. Sam Borys 18 razy wczoraj dzwonił, chociaż prosiłem, żeby przestał histeryzować, bo coś mu znajdziemy. O ile, oczywiście, dojdziemy i to tam, gdzie chcemy, czyli powrócimy. Powrócimy wierni, my czterej pazerni... Na-na-na... O, Rafał mi esemesa wysłał. „Wodzu, prowadź nas do zwycięstwa, bo nie brakuje ci męstwa...". O co mu chodzi? Że nie wystartowałem w prezydenckich? A kto mnie przekonywał, że Małgosia rozwali system, i to w pierwszej turze? „Dama z Ursusa" – padnę ze śmiechu, chyba „dramat z leksusa"? Mówiłem wtedy tym amatorom, że trzeba wrócić do politycznych korzeni, czyli: „Panowie, policzmy głosy", a oni, że to bez sensu, bo jak zaczniemy liczyć, to wyjdzie na to, że nie mamy szans. Ja na to: „Sorry, jeśli wy mnie widzicie jako obciążenie, to ja poprę Małgosię". No, ale ktoś jej coś źle przekazał i zaczęła sama siebie ignorować. Na szczęście na mój start było już za późno. Zresztą Rafał pięknie walczył, wspaniała kampania. Ale wszystko psu na budkę.

No, bo jak można tak działać? Najpierw krzyczą, że Rafał będzie ruch zakładał, potem on nie zakłada, za to zmienia nazwy, następnie Borys twierdzi, że to od początku pic na wodę, a teraz Rafał zbiera młodzież za niemieckie pieniądze i twierdzi, że będzie się działo. Na pewno. Poskandują „Rafał, Rafał", wezmą hot doga i do domu. A Szymon Petru tylko rączki zaciera: „Tak, tak, Rafałku, ale my wiemy, jak zrobić tę robotę". Szpagaty nauczył się zapowiadać i płakać na zawołanie, a chce się z nami mierzyć? Celowo mówię „z nami", bo czy ja swoją partię w jakimkolwiek momencie opuściłem? Kto lobbował za sankcjami dla Polski? Kto dusił, żeby przyjmować imigrantów? Kto wrzucał na Twitter fake newsy o pandemii w Polsce?

Umówmy się zatem – ten mój „powrót" jest trochę umowny, skoro nigdy z krajowej polityki nie odszedłem. Ale chcę w ten sposób podkreślić to, że ja, skromny premier polskiego rządu, potrafiłem nie tylko poświęcić krajową karierę na rzecz ambasadorowania Polsce w Brukseli, lecz także, nie bacząc na pojawiające się oferty z Europy (bo chyba w końcu się pojawią?), potrafiłem wrócić na łono tego kraju nienormalności, by ratować demokrację w Europie! A, ściszając głos, dopowiem tyle: prawda jest taka, że beze mnie te barany się pozarzynają. Dzwonię do Budki, mówię mu: „Obalcie rząd wetem wobec funduszu odbudowy". On mi na to: „Nie możemy, jaśnie panie, bo nikt w Unii kasy nie dostanie". Odpisuję: „A co cię, k..., Europa interesuje? Chcesz w Polsce rządzić czy w Bułgarii?!". No i prawie by obalili, ale Kaczyński się zorientował i cały misterny plan w gwizdek.

No, nic, komu w drogę, temu czas na zmiany. Nic mnie już w tej Brukseli dobrego nie spotka. Jean-Claude Piecyk wyjechał, nie ma nawet komu marynarki założyć. Trump nie przyleci, to do kogo z paluszków strzelać? Angela też obrażona, nie napisze, nie zawoła. Pora wracać, zwłaszcza że wzywa nie ta kraina nienormalności, ale partia! Moje polityczne dzieciątko. Moje dzidzibobo ukochane miałoby teraz zniknąć ze sceny politycznej? Tatuś nie pozwoli. Tatuś już pędzi. Na lotnisko.

Chwila, ostatnie sprawdzenie. Majtki? Są. Oj, czy nie za mało? Cholera wie, na ile dni ja w sumie lecę... Dobra, najwyżej sobie przepiorę. Zresztą, chętnych do tego już na Okęciu znajdę ze 20, i to sami parlamentarzyści. Skarpetki? Mam. Okropne te tęczowe, brrr. No, ale jak się chce być mężczyzną otwartym prawie na wszystko, to trzeba ten luz umieć pokazać. Lepiej skarpetkami niż koszulką na ramiączkach. Spodnie są, koszule też, buty do piłeczki są, dresik mam, nawet dwa, garnitury czekają na miejscu. Swoją drogą, złoty chłopak z tego Nitrasa, że tak mu się chciało jechać do pralni i jeszcze w zębach przywiezie.

Może książkę dorzucę? Wziąłbym Tokarczuk, bo ona nie jest za trudna, taka w sam raz, jakby człowieka w samolocie przycisnęło, ale o tej Białorusi tak przywaliła, że teraz ma chyba jeszcze większe obciążenie ode mnie. Dobra, co jeszcze? Siodło, uzda, ostrogi, bacik... Kurde, łatwiej by było, gdybym znał chociaż rozmiar tego konia, o imieniu nie wspominając. Roman byłby dość wygodny, ale wiadomo, że padnie jeszcze w Belgii. Graś jest zbyt płochliwy, zerwie się i go nie dogonię. Nowak ma przerwę, szkoda, bo szybki był, skubany. Jak tak dalej pójdzie, to z lotniska do Belwederu będę musiał grzać na piechotę!

Więc może jednak poczekać z tym wracaniem? A jak im, to znaczy nam, to znaczy im sondaże spadną poniżej 10 proc.? Czy ja mam, bądźmy szczerzy, jak szczerze pisałem w książce „Szczerze", choćby cień gwarancji, że ciecia osoba w państwie ostatecznie nie przyspawa się do fotela? Właśnie, gdzie ta koperta?!

eprasa.pl 7e1fc54e41

Na wesele, nie do szpitala

„Jak długo jeszcze w Polsce rodzice dzieci chorych i co najważniejsze dzieci chore będą traktowani jak przedmiot?!”

Osoby w pełni zaszczepione nie są wliczane do weselnego limitu gości. Niestety gdy są rodzicami, którzy chcą odwiedzić dziecko w szpitalu, wciąż są traktowani jako potencjalne zagrożenie i roznosiciele zarazy.

Pół roku temu rodzice wcześniaków walczyli o możliwość zaszczepienia się w grupie zero, by móc być ze swoimi dziećmi. Gdy Ministerstwo Zdrowia wyraziło zgodę, radość rodziców była ogromna. Choć nie brakowało i nie brakuje słusznych głosów, że nie można w ten sposób zmuszać do szczepień, a prawo do pobytu przy dzieciach rodzice powinni mieć bez tego, zdecydowana większość z nich szczepiła się bez szemrania, bo liczyli na to, że to zakończy gehennę i umożliwi im spokojne przebywanie przy dzieciach. Niestety koszmar się nie skończył. I rzecz nie dotyczy wyłącznie wcześniaków, ale wszystkich rodziców dzieci hospitalizowanych. W czym rzecz?

„Po raz kolejny jesteśmy w szpitalu. Tym razem rezonans, dalsza diagnostyka. Mimo szczepień COVID-19 dalej mamy ograniczenia w placówkach medycznych. Jeden rodzic przy dziecku. Brak możliwości wyjścia. Wypełnianie karteczek epidemiologicznych (czy miała pani katar w ciągu ostatnich 14 dni...). Mimo zaszczepionego taty brak możliwości wizyt. Opieka 24 h bez pomocy nad chorym niemowlakiem w szpitalu, gdzie na zmianę wszystkie dzieci płaczą, jest bardzo trudna. Czasami problemem jest zrobienie kawy czy wyjście do toalety. Niestety, nic się nie zmienia nawet po szczepieniach. Nie ma decyzji dyrekcji, wszyscy argumentują pandemią i że gdzieś ktoś słyszał o zarażeniu pomimo szczepień... PS Do wesel nie wlicza się osób zaszczepionych. Tu ograniczeń nie ma. Imprezować – nie chorować!” – to wpis na Facebooku jednej z mam, która wcześniej aktywnie walczyła o prawo do szczepień dla rodziców. Dane kobiety pozostaną do wiadomości redakcji. Wiadomo, nikt nie chce mieć nieprzyjemności w szpitalu, zdrowie dziecka najważniejsze.

Inna z mam, także w pełni zaszczepiona, już od miesiąca jest z dzieckiem w szpitalu. Jednak nie może wyjść i zamienić się z w pełni zaszczepionym tatą, a przez to nie może zobaczyć drugiego dziecka. Niepełnosprawnego. „Jak długo jeszcze w Polsce rodzice dzieci chorych, i co najważniejsze dzieci chore będą traktowani jak przedmiot, a nie podmiot świadczenia zdrowotnego?!” – pyta w komentarzach jeszcze inna mama.

Z takimi utrudnieniami boryka się większość rodziców dzieci hospitalizowanych, którzy (w dużej części) przecież szczepili się po to, by móc być przy nich. A przecież każdy, kto towarzyszył dziecku w szpitalu, szczególnie niemowlęciu, wie, jak trudne to doświadczenie. Trudno o higienę, wyjście do toalety, nie mówiąc o jedzeniu czy śnie. Sale są zatłoczone, panuje upał, jest po prostu ciężko. Oczywiście rodzice cieszą się, że w ogóle mogą być przy swoich dzieciach, co w przypadku wcześniaków miesiącami było skrajnie utrudniane. Jednak nie ma wątpliwości, że możliwość zamienienia się z tatą dziecka, by zobaczyć inne dzieci, które zostały w domu, czy chwilę odsapnąć, jest po prostu konieczna.

Warto więc zadać sobie pytanie, czy personel medyczny, dyrekcja szpitala, wiedzą o szczepieniach coś, o czym niechętnie mówi się szerzej, czyli że osoby zaszczepione wciąż mogą chorować i roznosić wirusa? Czy może górę bierze całkowite odczłowieczenie osób decydujących w szpitalu? Możliwe także, że obie odpowiedzi są poprawne.

„Liczyłbym więc w tej sytuacji na wsparcie państwa, Ministerstwa Zdrowia, NFZ. Pandemia dotknęła nas wszystkich. Trzeba zmienić sposób myślenia” – apelował w wywiadzie dla tygodnika „Sieci” dr Dariusz Madajczak, neonatolog i pediatra ze Szpitala Klinicznego im. Księżnej Anny Mazowieckiej, gdy rozmawialiśmy o rodzicach wcześniaków.

Dziś widać, że w szpitalach niewiele się zmieniło, a mój apel o serce i rozsądek w czasach zarazy (która podobno na razie odpuszcza) jest aktualny.

Dorota Łosiewicz

Wielka Brytania

Wojna o kiełbaski

Unia Europejska zareaguje „szybko, stanowczo i zdecydowanie", jeśli Wielka Brytania jednostronnie przedłuży wygasający z końcem czerwca okres karencji w protokole w sprawie Irlandii Północnej – ostrzegł na łamach dziennika „The Daily Telegraph" wiceszef Komisji Europejskiej Maroš Šefčovič. W odpowiedzi brytyjski minister ds. brexitu Lord Frost zarzucił Brukseli „prawny purytanizm" i zaapelował o „pragmatyczne rozwiązanie między przyjaciółmi". O co chodzi? M.in. o kiełbaski i chicken nuggetsy (oraz pozostałe mrożone produkty mięsne), popularne w Anglii, Walii, Szkocji oraz Irlandii Północnej, dokąd za chwilę nie będą mogły już być dostarczane, jeśli Londyn i Bruksela nie dojdą do porozumienia. A to wcale nie jest pewne.

Po tym jak z końcem 2020 r. upłynął okres przejściowy po brexicie, między Wielką Brytanią a Unią Europejską powstała granica celna. Z jednym wyjątkiem. Zgodnie z protokołem w sprawie Irlandii Północnej, będącym częścią umowy o brexicie, prowincja ta pozostała w jednolitym unijnym rynku w zakresie obrotu towarami i w efekcie granica celna powstała też między nią a pozostałą częścią Zjednoczonego Królestwa.

W myśl protokołu towary wysyłane z Anglii, Szkocji lub Walii do Irlandii Północnej powinny podlegać kontrolom, tak aby były zgodne z unijnymi przepisami. Jednak brytyjski rząd ocenił, że przedsiębiorstwa nie będą gotowe na wprowadzenie nowych procedur, więc ustalono, że przez pierwsze trzy miesiące będą one uproszczone, a pełne kontrole zaczną się od 1 kwietnia. Jednak w marcu Londyn jednostronnie przedłużył ten termin, a teraz chce się jeszcze wycofać z ustalonego na sześć miesięcy okresu karencji na wyroby mięsne.

Rząd w Londynie uważa zablokowanie swobodnego przepływu towarów wewnątrz Zjednoczonego Królestwa za „absurdalny pomysł". Minister gospodarki George Eustice nazwał to nawet „szaleństwem". Tymczasem Unia czuje się oszukana i zapowiada opcje odwetowe wobec Londynu, jeśli kolejne rozmowy nie przyniosą rozwiązania. Jak pisze portal „Politico", może to być nałożenie przez UE na Wielką Brytanię ostrych taryf celnych. Byłby to jednak miecz obosieczny, ponieważ Unia także ma interes w utrzymaniu płynnego handlu z Wielką Brytanią. Wspomniany już Lord Frost ostrzegł Brukselę przed wojną celną, mówiąc, że nie ułatwi ona życia mieszkańcom Irlandii Północnej. Były szef sztabu Theresy May Lord Gavin Barwell zaś twierdzi, że Boris Johnson wiedział, iż protokół irlandzki jest „nie do przyjęcia", bo zagraża integralności terytorialnej kraju, ale zgodził się na niego, byle tylko „przepchnąć brexit". Według niego Johnson chciał „wykręcić się z protokołu później" i teraz to właśnie robi. Jeśli rzeczywiście tak jest, to kolejne starcie między Unią a Wielką Brytanią wydaje się nieuniknione.

Aleksandra Rybińska

Tureckie wpływy nad Renem

Armin Laschet, szef CDU i kandydat tej partii na stanowisko kanclerza po jesiennych wyborach parlamentarnych, nie jest zbyt popularny w swym macierzystym ugrupowaniu. Poparcia w prawicowym elektoracie nie przysporzy mu na pewno decyzja, którą podjął niedawno jako premier Nadrenii Północnej-Westfalii. Otóż dał on prawo redagowania podręczników szkolnych oraz prowadzenia zajęć z religii islamskiej w swym landzie tureckiej organizacji Ditib. Wywołało to protest wysoko postawionych polityków CDU, takich jak Carsten Linnemann czy Christoph Ploss, którzy uważają, że Laschet powinien zmienić zdanie. Dlaczego?

Dlatego że Ditib jest de facto organem państwa tureckiego. Instytucja założona została w 1984 r. w Ankarze jako oddział Departamentu Spraw Religijnych (Diyanet), który z kolei powstał w 1924 r. z rozkazu ówczesnego prezydenta Mustafy Kemala Atatürka. Celem Diyanetu było utrzymanie ścisłej kontroli nad religią muzułmańską przez władze świeckiego państwa. Ditib z kolei realizował to samo zadanie wśród tureckiej diaspory w Europie. Obecnie podlega mu 900 niemieckich meczetów, których imamowie uważani są za tureckich urzędników państwowych.

Oba podmioty przeszły znaczącą ewolucję za rządów Recepa Erdoğana, a zwłaszcza po nieudanym zamachu stanu w 2016 r. Zdaniem ekspertów przestały być kontrolerem życia religijnego, a stały się ekspozyturą wpływów państwa tureckiego. Porzuciły zarazem świeckie ideały kemalizmu na rzecz islamu politycznego połączonego z nacjonalizmem.

Właśnie to wywołało sprzeciw partyjnych kolegów Lascheta. Ich zdaniem powierzenie redagowania niemieckich podręczników Ditibowi oznacza powierzenie wychowania nowych pokoleń Erdoganowi. Nie mówiąc już o tym, że Diyanet odpowiada nie tylko przed rządem w Ankarze, lecz także przed kierownictwem służby wywiadowczej. Szef CDU broni jednak swej decyzji, uważając ją za przykład integracji muzułmańskiej mniejszości w społeczeństwie niemieckim. Czy kiedy zostanie kanclerzem, integracja przyspieszy?

Grzegorz Górny

Niemcy

Fot. photoyh/Shutterstock.com

eprasa.pl 7e1fc54e41

Facebookowy banita

„Konta byłego prezydenta Donalda Trumpa na Facebooku i Instagramie będą zawieszone przez dwa lata" – poinformował wiceprezes Facebooka Nick Clegg. Konta zostały zablokowane 7 stycznia po szturmie zwolenników Trumpa na Kapitol i według Facebooka „powaga sytuacji wymaga, by nadal były one zablokowane". Clegg dodał, że po dwóch latach eksperci firmy ocenią, czy Trump będzie mógł korzystać z Instagrama i Facebooka.

Jeżeli rzeczywiście konta Trumpa zostaną odblokowane w styczniu 2023 r., to Trump będzie mógł na nich prowadzić kampanię wyborczą w 2024 r. Tyle że równie dobrze zarząd Facebooka może arbitralnie uznać, iż nadal występuje „niebezpieczeństwo dla ładu publicznego". Już teraz brak dostępu do mediów społecznościowych utrudnia działanie Trumpa na wiecach i spotkaniach ze swoimi zwolennikami. Pierwszy wielki wiec poparcia dla byłego prezydenta USA ma mieć miejsce w lipcu w Dallas w Teksasie.

Sztab Trumpa próbował obejść zakaz. Na początku czerwca na Facebooku pojawiło się konto „Z biura Donalda J. Trumpa", ale też zostało zablokowane. Trump uznał, że „wyrok wydany przez Facebooka jest obelgą rzuconą w twarz 75 mln wyborców, którzy oddali na niego swój głos" i ponownie zarzucił Facebookowi cenzurę. „Gdy znowu wprowadzę się do Białego Domu, nie będzie już żadnych kolacji z Markiem Zuckerbergiem i jego żoną. Tylko biznes!" – dodał Trump, którego konta są zablokowane również na Twitterze (na stałe), YouTubie i Snapchacie. Amerykańska prawica próbuje walczyć z cenzurą nakładaną przez prywatne media. Wschodząca gwiazda Partii Republikańskiej i gubernator stanu Floryda, w którym osiadł Trump (jego córka Ivanka również), Ron DeSantis podpisał niedawno rozporządzenie, przewidujące kary dla gigantów technologicznych z Doliny Krzemowej za próby eliminacji polityków.

Na razie ta cenzura okazuje się jednak skuteczna. Konserwatywny „National Review" opublikował badania, z których wynika, że nazwisko Trump przestaje dziś przyciągać uwagę w mediach. Firma SocialFlow, która agreguje informacje o popularności poszczególnych tematów i nazwisk w ponad 300 mediach, poinformowała, że w skali 0–100 Trump w ostatnich miesiącach zalicza wynik... poniżej 1. Tuż po zamieszkach na Kapitolu prezydent USA osiągnął na tej skali setkę. Podczas prezydentury jego wynik oscylował wokół 50.

Czy polityk, który zbudował swoją popularność dzięki mediom, zostanie teraz przez nie pogrzebany? Czy może, jako biznesmen, który podniósł się z niejednego bankructwa, i tym razem znajdzie sposób na powrót do gry? To nadal otwarte pytanie.

Łukasz Adamski

Fot. Evan El-Amin/Shutterstock.com

Gigant na skraju upadku

Władze Nigerii zakazały używania Twittera, po tym jak serwis usunął jeden z wpisów prezydenta Buhari i na 12 godzin zamroził konto głowy państwa. Powodem była treść postu, w którym urzędujący prezydent, adresując swoje posłanie do walczących z rządem separatystów, obiecał, że „odpowie im w języku, którzy oni rozumieją", co uznane zostało za wzywanie do przemocy.

Jednak rzeczywistym powodem tego kroku było, jak uważają obserwatorzy, wykorzystywanie Twittera przez opozycję skrzykującą się na protesty właśnie za pośrednictwem internetu. Zamknięcie serwisu ma być – według tych opinii – kolejnym dowodem na autorytarne skłonności rządzącej ekipy, zaniepokojonej rozwojem sytuacji w kraju przed zaplanowanymi na 2023 r. wyborami prezydenckimi.

Amerykańscy specjaliści biją na alarm – Nigeria, najludniejsze państwo Afryki zamieszkałe przez 215 mln ludzi, które w świetle prognoz demograficznych ma w 2050 r. być trzecim pod względem liczby ludności krajem na świecie, przekształca się w państwo upadłe. Konsekwencją tego, co się tam dzieje, może być nie tylko gigantyczna fala emigracyjna, która zaleje Europę, lecz również destabilizacja sytuacji na całym kontynencie.

Rządzący krajem prezydent Muhammadu Buhari nie daje sobie rady właściwie z żadnym problemem, przed którym stoi kraj. Islamistyczna partyzantka Boko Haram nie została zdławiona, a walczące z nią siły specjalne przekształciły się w gangi rabujące obywateli i zbierające od nich haracze. Odżyły separatyzmy w dotychczas spokojnych prowincjach takich jak Yorubaland i dążącej przed półwieczem do secesji Biafrze. Zatoka Gwinejska jest obecnie praktycznie kontrolowana przez piratów. Kraj dławiony jest również nieprawdopodobną korupcją. Zdaniem ekspertów rząd centralny kontroluje obecnie właściwie wyłącznie stolicę i najbliższą okolicę, na prowincji rządzą zaś dżihadyści, formacje separatystów i uzbrojone lokalne klany.

Sytuacja jest na tyle zła, że biskupi katoliccy zdecydowali się zabrać publicznie głos. Konferencja Episkopatu Nigerii swój apel o działanie zatytułowała „Państwo się rozpada".

Marek Budzisz

Fot. Oluwafemi Dawodu/Shutterstock.com

eprasa.pl 7e1fc54e41

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Polskiego Ładu się zachciało!

Jan Pietrzak

Na poligonach toczą się manewry Dragon. I bardzo dobrze! Krzepiące widoki pokazuje TVP. Armia nam się odrodziła po rządach Tuska/Komorowskiego, którzy polskie wojsko zredukowali do liczebności jednego stadionu. Ich sztaby strategiczne ze wschodu i zachodu ustaliły, że nikt nam krzywdy nie zrobi. Po co nam żołnierze? Tymczasem jesteśmy świadkami osaczania Polski na różne „hybrydowe" sposoby. Na początku uruchamiana jest totalna dezinformacja oparta na bezczelnych kłamstwach. W dawnych bitwach nazywało się to przygotowaniem artyleryjskim. Właśnie trwa kanonada. To np. wypowiedź byłego prezydenta Obamy, że w Polsce nie ma już demokracji, lecz system autorytarny. A skoro tak, należy się oprzeć na sprawdzonych demokratach Niemcach i pozwolić im ułożyć rurę Merkel–Putin. Korzystając z okazji, Dania uznała, że jeżeli popłynie gaz z Rosji, niepotrzebny jest Baltic Pipe. Tzw. zasada Trzaskowskiego: skoro jest lotnisko w Berlinie, po co budować u nas? Zwłaszcza że gazociąg bałtycki utrudni życie polnym myszkom na Jutlandii i nietoperzom z zamku w Elsynorze.

Po kanonadzie oszustw następuje rozpoznanie bojem. W roli specnazu wystąpił TSUE, decydując o zamknięciu kopalni i elektrowni Turów. Udział w tej akcji Czechów, kolegów z Wyszehradu, świadczy, że uaktywniono „śpiochów" trzymanych na takie okazje. Cyberatak hakerów na kancelarię premiera nie jest w tej sytuacji wybrykiem szalonego maniaka, lecz zamierzonym potęgowaniem chaosu. Polowanie Łukaszenki na polską mniejszość dopełnia wrażenia skoordynowanego ataku. By dotkliwiej sprowokować władze Rzeczypospolitej, prezydent Białorusi zarządził nowe święto – Dzień Jedności Narodowej 17 września, z okazji napaści ZSRR na Polskę w 1939 r. Chce entuzjastycznie czcić napaść Hitlera i Stalina na Polskę, czyli wybuch II wojny światowej.

Na efekty denerwujących prowokacji już czekają renegaci „parszywej dwudziestki" w Parlamencie Europejskim, by tam nakręcać spiralę nienawiści wobec Polaków, używając cepa „praworządności". Po prostu za dobrze sobie radzimy i szlag ich trafia. Polskiego Ładu się zachciało Polaczkom! A ruski mir i kulturkampf nie wystarczą?!

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Od edukacji do śmieciarki

Dominik Zdort

Opowiem wam o mojej szkole. Moja szkoła stoi w centrum miasta. Wybudowano ją w miejscu, gdzie kiedyś ciągnął się mur getta, a jeszcze w latach 70. była granica między nowymi osiedlami dla powojennej inteligencji a częściowo zburzonymi przedwojennymi kamienicami zasiedlonymi przez robotników, czasem z pogranicza lumpenproletariatu.

W moim roczniku było w szkole ponad 80 uczniów. Do klasy z literką A trafili ci z osiedli nowej inteligencji, do klasy C ci z dzielnicy proletariackiej, do klasy B zaś grupa z pogranicza. Jak rozumiem, intencją nie była segregacja wedle pozycji społecznej, ale takie podzielenie rocznika, aby w każdej z klas znaleźli się uczniowie na podobnym poziomie i nauczyciele mogli dostosować poziom i metody nauczania do konkretnej grupy swoich wychowanków. Dziś wedle zasad nowoczesnej pedagogiki byłby to skandal niepojęty – w USA specjalnie po to, aby lepsi musieli się uczyć razem z gorszymi, stworzono specjalny system dowozu czarnych uczniów do szkół w białych dzielnicach – i odwrotnie.

W roku 2002, gdy prezydentem stolicy był Paweł Piskorski, moją szkołę zlikwidowano, a miasto sprzedało teren belgijskiej spółce, która miała chęć wybudować w tym miejscu coś bardziej opłacalnego niż placówka edukacyjna. Potem nastąpił prezydent Lech Kaczyński, który powiedział, że wartość terenów zaniżono. Sąd stwierdził, że wszystko jest OK, ale kolejna prezydent Hanna Gronkiewicz-Waltz chyba czuła, że są jakieś wątpliwości, bo metodą różnorakich nacisków „odbiła" szkołę.

Po likwidacji szkoły na jej dawnym boisku powstał – i działa do dziś – płatny parking. Opustoszały budynek był miejscem spotkań gangsterów, w toaletach ukrywano zwłoki ofiar warszawskiej wendetty, w klasach na materacach działały burdele. Jednak z czasem głównymi lokatorami zostały szczury, już popołudniami żerujące na pobliskich trawnikach. Ludzie bali się wychodzić z psami na spacery.

Ostatecznie teren zderatyzowano, budynek zabito dechami. Tak to trwało od lat, choć parę dni temu zaszła zmiana. Komunalną spółkę, która zarządzała szkołą i boiskiem-parkingiem, wcielono do Miejskiego Przedsiębiorstwa Oczyszczania. Rozpadająca się tysiąclatka nadal będzie stała, ale władze Warszawy w końcu wprost pokazały, do czego prowadzi ich polityka. Symbolicznie: od edukacji do śmieciarki.

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl

eprasa.pl 7e1fc54e41

BRONISŁAW WILDSTEIN

Moja droga po swojemu

„My way", czyli „Moja droga" (choć właściwie należałoby tłumaczyć ją: „Po swojemu", bo do tego odwołują się angielski idiom i tekst), stanowi rodzaj lusterka, bo przecież nie zwierciadła, w którym przegląda się współczesna epoka i odsłania się samoświadomość jej mieszkańców. Wyraża ich autoprojekcje, czyli tęsknoty, które z rzeczywistością nie mają nic wspólnego. Ten rozziew między wyobrażeniem a realnością jest szczególnie symptomatyczny dla naszych czasów.

Oto człowiek w obliczu śmierci oświadcza, że pewny jest, iż ma za sobą pełne i bogate życie, które przede wszystkim przeżył pod swoje dyktando, czyli po swojemu. Nie dość, że zgłębił wszelkie ludzkie doświadczenia, to wszystko w jego egzystencji zostało przez niego zaplanowane i odbywało się tak, jak zamierzał. Owszem zdarzyły mu się drobne i nieznaczące błędy, których nie warto wspominać, jakieś utrapienia miłosne, które z perspektywy wyłącznie śmieszą, ale całe życie był sobą. A więc żył tak, jak człowiek żyć powinien.

Trudno o większy idiotyzm. Człowiek, który rodzi się w określonym czasie i miejscu, co wyznacza mu zestaw możliwych do odegrania ról, którego myślenie formują wyobrażenia środowiska, poddany okolicznościom kształtującym koleje jego życia, deklaruje, że zaplanował je od a do z. O pełnej kontroli nad swoją egzystencją nie warto mówić. Nigdy do końca nie zdajemy sobie nawet sprawy z uwarunkowań, którym jesteśmy poddani, a mało kto ma choćby ogólną świadomość kulturowego momentu, który zakreśla horyzont jego możliwości. Pisząc to, nie neguję wolności i odpowiedzialności człowieka, tyle że aby je egzekwować, musimy pojąć elementarne warunki i granice, w których możemy funkcjonować. Tekst „My Way" zasadniczo im przeczy.

O pełnej kontroli nad swoją egzystencją nie warto mówić. Nigdy do końca nie zdajemy sobie nawet sprawy z uwarunkowań, którym jesteśmy poddani, a mało kto ma choćby ogólną świadomość kulturowego momentu, który zakreśla horyzont jego możliwości

Paul Anka kupił prawa do francuskiego utworu „Comme d'habitude" i do istniejącej melodii napisał tekst dla Franka Sinatry, który rozsławił piosenkę. Kto jej nie śpiewał... Dziś w USA wykonywana jest często na pogrzebach, aby i nieboszczycy mogli się nacieszyć tym, że swoje życie układali, jak chcieli. Zgodnie jednak z pierwotnym pomysłem piosenka na stałe związała się z Sinatrą i traktowana jest jak jego wyznanie. On sam żartował na którymś koncercie, że skoro „My Way" stała się hymnem, to słuchacze powinni wstać w trakcie jego wykonania. Wprawdzie tego nie robią, ale obraz ich fascynacji mówi wszystko.

Każdy mężczyzna na widowni czuje, że wreszcie ktoś go wyraził i potwierdził, że jakkolwiek było, swoje życie urządził po swojemu i zawsze wybierał to, co chciał. Kiedyś nawet w prywatnej rozmowie miał inne zdanie niż szef, w każdym razie dał to do zrozumienia i dlatego pewnie został pominięty przy awansie i podwyżki nie dostał, ale za podążanie własną drogą trzeba przecież zapłacić i dlatego nie warto żałować, bo czymże jest człowiek, jeśli nie jest sobą? Każda kobieta czuje, że mogłaby wspólnie z Sinatrą podążać jego drogą, gdyby nie pech, który wrobił ją w Józka, ale teraz rozumie, że ją właśnie gwiazdor zaprasza i może wszystko jest jeszcze możliwe?

Nośność piosenki powodowała, że w Polsce stała się obiektem zainteresowania twórców i nie tyle tłumaczona, ile trawestowana była kilka razy. Wojciech Młynarski, odchodząc od oryginału, skoncentrował się na tym, że podążanie za blichtrem wielkiego świata prowadzi do zagubienia czegoś istotnego. Z ostatniej wersji „My Way" pisarz i tłumacz Antoni Libera wyeliminował groteskowo pyszałkowatą tonację, dodał imperatyw przeciwstawienia się obłędowi świata, a do refrenu wprowadził formułę „być wiernym sobie". Utwór głupawy przerobił więc na rozumny, czym zasadniczo sprzeniewierzył się jego duchowi.

Czemu jednak lub komu można być naprawdę wiernym? Sobie? Potwierdzamy lojalność wobec określonej wspólnoty, a więc i konkretnych ludzi, trzymamy się etycznego kodeksu, bo uznajemy, że to nasz obowiązek, ale czy oznacza to wierność sobie? Dziś chcielibyśmy w to wierzyć, ale przecież żadnego z tych porządków nie tylko nie kreujemy, lecz nawet nie wybieramy, a jedynie nie chcemy się sprzeniewierzyć temu, co otrzymaliśmy już i co nas formuje. I w tym sensie, trzymając się ich, pozostajemy sobie wierni.

Córka Sinatry mówiła, że ojciec nie znosił „My Way". Uważał, że jest to radykalne i nieakceptowalne samousprawiedliwienie. Publiczność jednak i impresariat domagali się, więc wykonywał ją bez końca. Ostatecznie musiał iść swoją drogą.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 7e1fc54e41

Walizka Marcina Kołpanowicza

artysty malarza, podróżnika i (czasami) felietonisty

Namalowałem kiedyś starą tekturową walizkę z otwartą pokrywą, a we wnętrzu – pejzaż. Namalowałem też siebie z walizką – powracającego z podróży, w otwartych drzwiach. Ale na ogół w podróż wybieram się z amerykańskim plecakiem wojskowym, do którego w ostatniej chwili przed wyjazdem wrzucam rozmaite potrzebne i niepotrzebne gadżety.

KASK TROPIKALNY

Bardzo przydatny w rejonach podzwrotnikowych. Kupiłem go w 1986 r. w Etiopii za 1 dol. od kubańskiego żołnierza, który miał także w ofercie mundur, buty, broń, amunicję i cygara.

KAPELUSZ SŁOMKOWY

Lekki, praktyczny. I widoczny z daleka (co przydaje się w wypadku wyjazdów grupowych).

CZAPKI, BERETY, KAPELUSZE

Z każdej podróży staram się przywieźć jakieś nakrycie głowy. Mam już góralską czapkę etiopską z piórkiem, rastafariański beret, kipę z Jerozolimy, tiubietiejkę czy kapelusz panamę.

eprasa.pl 7e1fc54e41

KAMIZELKA O STU KIESZENIACH

Ma ona nieograniczoną pojemność, można w niej przewozić T-shirty, skarpetki, kanapki, książki, notesy, kamienie, gumę do żucia i różaniec. Idealna do przelotów tanimi liniami – mieści się w niej pięć razy tyle co w bagażu podręcznym. Wprawdzie wyglądam wtedy trochę jak „ludzik z opon" reklamujący pewne przedsiębiorstwo gumiarskie, ale niewątpliwe korzyści przeważają nad stratami wizerunkowymi.

KORKOCIĄG

Firmowy, z logo firmy Rembrandt, nieco już wytartym od częstego używania. Pamiątkowy – dostałem go w Holandii od prezesa firmy Talens Hansa Baxa.

„KARMA DLA CHOMIKÓW"

Jak wiadomo, w podróży nie wszędzie i nie zawsze można zdobyć jedzenie – ratuję się wtedy autorską mieszanką orzechów, migdałów, słonecznika, pestek dyni, płatków owsianych i rodzynek. „Popijam" ją ze szklanego pojemnika, żeby nie dotykać jedzenia brudnymi rękami. Smakuje także zalana wrzątkiem lub jogurtem.

IDENTYFIKATOR Z SALONU PARYSKIEGO

To wystawa, która gromadzi w Grand Palais przy Polach Elizejskich setki malarzy z całego świata. Brałem w niej udział w 2017 r. wraz z grupą europejskich neosurrealistów.

NOTESIKI

Podróżuję nie tylko w przestrzeni, lecz i w czasie – zawsze staram dowiedzieć się jak najwięcej o historii miejsc, które odwiedzam. Zapisuję wszystko w notesiku z przywiązanym na sznurku (żeby nie zgubić) długopisem. Z tych notatek powstawały później teksty do „Poznaj Świat" czy felietony do kwartalnika „Artysta i Sztuka".

PASTELE

Kiedy w 2005 r. leciałem na wystawę do Nowego Jorku, usłyszałem nagle na lotnisku w Balicach swoje imię i nazwisko oraz pilne wezwanie do odprawy celnej. Okazało się, że maszyna skanująca bagaże znalazła w mojej walizce coś, co na ekranie wyglądało jak taśma nabojowa do broni maszynowej. Musiałem otworzyć walizkę i pokazać zdziwionym celnikom moje pudełka z równiutko poukładanymi pastelowymi sztyftami.

APARATY FOTOGRAFICZNE

Ciężkie, ale konieczne, jeśli chce się przywieźć zdjęcia o dużej rozdzielczości. Od znajomego Anglika nauczyłem się oklejać aparat taśmą klejącą, żeby wyglądał na starego rzęcha, wtedy nie wzbudza zainteresowania złodziejaszków nawet w najbardziej podejrzanych dzielnicach Neapolu. W Chinach, na prowincji, gdzie rzadko dociera biały człowiek, pierwszy raz w życiu nie tylko lokalsi byli dla mnie atrakcją fotograficzną – równie często ja byłem atrakcją dla lokalsów.

KASETA Z FARBAMI

Moje podróże to także wyjazdy na plenery, czyli malarskie spotkania w „pięknych okolicznościach przyrody". Wtedy zabieram z sobą walizkę, a właściwie drewnianą kasetę, w której przewożę farby olejne, pędzle i media malarskie.

Fot. Andrzej Wiktor, archiwum autora

Wysłuchał: Michał Korsun

eprasa.pl 7e1fc54e41

OGNIEM NA WPROST

O czym śni Czerska

Wielu ludziom już dawno obrzydła propaganda LGBT. Ostatnio z okazji czerwca, który jest miesiącem tzw. dumy gejowskiej, homoaktywiści popierani przez ambasady wielu krajów wywiesili przed swoimi placówkami tęczowe flagi. Niestety także w Watykanie. Rządy USA i inne nie liczą się z nikim ani niczym. Dla nich seks pomiędzy osobnikami jednej płci stał się już większą świętością niż samo chrześcijaństwo. Na szczęście w Polsce został uruchomiony ranking szkół „przyjaznych LGBT". To dobra wiadomość dla rodziców dzieci, którzy właśnie zamierzają posłać je na edukację. Tylko uwaga! Z wyszukiwarki szkół „przyjaznych tęczowym" należy korzystać à rebours, czyli odwrotnie. Trzeba wybierać te szkoły, które w homorankingach miały jak najniższe lokaty. Powinno się też unikać szczególnie „szkół przyjaznych i zaangażowanych" oraz „szkół przyjaznych", a nawet „szkół umiarkowanie przyjaznych" i wybierać „szkoły nieprzyjazne". Tylko w nich można liczyć na to, że normalny, heteroseksualny nastolatek nie spotka się z atmosferą tęczowej heterofobicznej nienawiści.

Poseł Paweł Zalewski coś nie ma szczęścia do polityki. Najpierw z powodu różnicy zdań z prezesem Jarosławem Kaczyńskim co do kwestii spraw zagranicznych opuścił PiS, przechodząc do Platformy Obywatelskiej, a teraz z kolei z niej go wyrzucono. W ramach przewidywań „co dalej z Koalicją Obywatelską?" Zalewski prorokuje, dając swojej ostatniej, byłej partii czas do jesieni. Wtedy, jak przekonuje, swój „nowy projekt" ogłosi Rafał Trzaskowski, co spowoduje „wygaszenie szyldu Platformy". Jego zdaniem dziś już „nikt nie wierzy", że PO jest jeszcze do odratowania. Do ostatecznego upadku ugrupowania kierowanego przez Borysa Budkę ma doprowadzić Trzaskowski. I tu powstaje problem, co na te dywagacje szykujący się ponoć do powrotu Donald Tusk? Chyba że Trzaskowski razem ze wspierającym go po cichu Zalewskim wysadzą Budkę z fotela przewodniczącego jeszcze przed powrotem „mesjasza" na białym koniku. A wtedy wszystko gra!

Niektórzy tak pragną powrotu Donalda Tuska, że pojawia się on nawet w widzeniach sennych. Taką wizję przeżył (w zasadzie przespał) nie kto inny, tylko jeden z dziennikarzy „Gazety Wyborczej" Rafał Zakrzewski i ku uciesze innych jeszcze się do niej przyznał publicznie. „Miałem sen. Ale to nie musi być tylko sen. To może być jeden ze scenariuszy politycznych – rozpoczyna opowieść funkcjonariusz z Czerskiej (zwany przez dobrych znajomych dziennikarzem). – Mój sen dotyczył opozycji. Jego początek to kolorowa scena – trochę jak z kostiumowego filmu – gdzie bohaterami są politycy Platformy. W dostojnym wnętrzu insygnia władzy partyjnej – najlepiej na atłasowej poduszce – przekazuje Donaldowi Tuskowi obecny przewodniczący Borys Budka" – relacjonuje swoje senne widzenie Zakrzewski. Dalej, jak opisuje, Budka się odsuwa i zostaje jednym z wiceprzewodniczących PO. Tusk natomiast godzi zwaśnione strony w partii, dogaduje się z Trzaskowskim i buduje formację nowego typu, odzyskując stary elektorat i jednocześnie pozyskując młodzież dzięki Trzaskowskiemu. Ale jak to w nocnych zmazach – wszystko jest możliwe. Tusk miałby się też dogadać z Hołownią i PSL, a być może nawet z Lewicą. Gdzieś słyszałem, że jak się śni kupa nieczystości, to zwiastuje pieniądze. I to jest sen!

Jest nareszcie jakiś plus, pierwsza pozytywna wiadomość z Białego Domu. Po pół roku psucia tego, co zrobił Donald Trump. W każdym razie dobra dla mieszkańców Waszyngtonu. Otóż ci, którzy się zaszczepią przeciwko COVID-19, dostaną w licencjonowanym sklepie skręta z marychą. Jak informuje amerykański dziennik „New York Times", promocja będzie działać pod nazwą „Joints for Jabs" i ma prowadzić do zwiększenia liczby zaszczepionych osób w USA. Ponieważ stolica Stanów Zjednoczonych jest zamieszkana w większości przez czarnych (pi razy oko „jara" co drugi), akcja może się cieszyć wyjątkowym powodzeniem. Możemy być spokojni, że czwarta fala covidu ominie Waszyngton szerokim łukiem.

Andrzej Rafał Potocki

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 7e1fc54e41

Wsparcie dla artystów

Marta Kaczyńska-Zielińska

Projekt ustawy o uprawnieniach artysty zawodowego przekazany w ostatnich tygodniach do konsultacji społecznych przez Ministerstwo Kultury, Dziedzictwa Narodowego i Sportu to pierwsza po 1989 r. konkretna inicjatywa systemowo zabezpieczająca dochody i ubezpieczenia społeczne artystów.

Każdej osobie profesjonalnie wykonującej działalność artystyczną i utrzymującej się z niej, która legitymuje się udokumentowanym dorobkiem artystycznym lub dyplomem ukończenia studiów drugiego stopnia na uczelni artystycznej, przysługiwać będą określone w ustawie uprawnienia. Proponowane przepisy przewidują m.in stypendia dla twórców do 35. roku życia wypłacane jednorazowo oraz zapomogi dla twórców, którzy znaleźli się w trudnej sytuacji materialnej. Istotnym novum w projektowanych przepisach jest uznanie prób do spektakli za działalność artystyczną i objęcie ich 50 proc. kosztów uzyskania przychodu. Kwota w wysokości ok. 300 mln zł z opłat reprograficznych ma zostać przekazana do utworzonego Funduszu Wsparcia Artystów Zawodowych, z którego wypłacane będą artystom rekompensaty za nieodpłatne korzystanie z ich dzieł oraz którego celem będzie finansowanie dopłat do ubezpieczeń społecznych artystów uzyskujących najniższe dochody.

Opłata reprograficzna na terenie Unii Europejskiej pozyskiwana jest od sprzedaży urządzeń do kopiowania i odtwarzania utworów chronionych. W Polsce obowiązek uiszczania wspomnianej należności istnieje już od 27 lat, ale wg aktualnych przepisów dotyczy urządzeń, które nie są już dominującymi na rynku narzędziami do rozpowszechniania i kopiowania utworów. Producenci sprzętu elektronicznego obecnie ponoszą opłatę od dyskietek, kaset VHS, płyt DVD, kserokopiarek. Polskie przepisy nie dotyczą zaś sprzętu, takiego jak tablety, smartfony, smart tv, czytniki e-booków i wiele innych urządzeń służących do przechowywania danych i odtwarzania plików. W wielu krajach opłata reprograficzna obejmuje nawet tak nowoczesne instrumenty jak usługi chmurowe. Wysokość rocznych wpływów z tego tytułu wynosiła w ostatnich latach: w Niemczech – 333 mln euro, we Francji – 277 mln euro, Włoszech – 127 mln euro, a na Węgrzech 27 mln euro. W Polsce to kwota 1,6 mln euro. Najwyższa opłata w przeliczeniu na jednego obywatela w 2018 r. była we Francji i wynosiła 4,15 euro, a w Polsce zaledwie 5 eurocentów.

Projekt ustawy o statusie artysty zawodowego ma dokonać aktualizacji listy czystych nośników (tzw. rekompensata na rzecz uczciwej kultury) i włącza artystów do systemu ubezpieczeń społecznych wraz z zapewnieniem dopłat dla najuboższych twórców, które pochodzą z połowy kwot pobieranych z tytułu opłaty reprograficznej. Opłata ta na przykładzie smartfona, którego wartość detaliczna wynosi ok. 1 tys. zł, zawierałaby 1 proc. wartości urządzenia. Telefony są statystycznie wymieniane raz na trzy lata, a zatem roczny koszt wyniósłby 3 zł. W ostatnich latach w Polsce sprzedawano ok. 9 mln smartfonów rocznie. Łatwo zatem obliczyć, jakiego rzędu sumy zasiliłyby fundusz artystów. Wedle zapisów projektu ustawy i rozporządzenia wykonawczego telefony komórkowe nie zostałyby jednak objęte opisywaną opłatą.

Wielu komentatorów twierdzi, że nowa regulacja prawna wpłynie znacząco na wzrost cen urządzeń elektronicznych. Zdaniem krytyków projektu producenci przerzucą koszty opłaty reprograficznej na klientów. Środowisko skupione wokół producentów komputerów przestrzega przed wprowadzeniem opłaty, która ma dodatkowo podwyższyć ceny, które i tak w ostatnim czasie wzrastają w związku z rosnącym popytem.

Aktualizując zasady pobierania opłaty reprograficznej i wprowadzając wiele innych zmian w przepisach ustawy o zawodzie artysty, państwo opowiedziało się za różnorodnością kultury i stworzeniem warunków do powstawania dzieł o potencjale zarówno popularności masowej, jak i tym niszowym.

Z głębokim smutkiem zawiadamiam, że 22 maja 2021 roku zmarł przeżywszy 101 lat

ŚP

PŁK STANISŁAW SOWIŃSKI

PS. „SÓWKA"

urodzony 24 grudnia 1919 roku w Warszawie.

Absolwent Wołyńskiej Szkoły Podchorążych Rezerwy Artylerii.

Podczas agresji niemiecko-sowieckiej w 1939 roku walczył w obronie Modlina pełniąc funkcję oficera kierującego ogniem baterii.

Od stycznia 1940 roku żołnierz Związku Walki Zbrojnej przydzielony do Oddziału II Informacyjno-Wywiadowczego Komendy Głównej ZWZ.

W grudniu 1942 roku aresztowany przez Gestapo i osadzony na Pawiaku. Następnie więziony w obozach koncentracyjnych na Majdanku oraz w Dachau.

W latach 1945-1947 oficer łącznikowy Polskiej Misji Wojskowej w Paryżu.

Prezes Honorowy Związku Oficerów Służby Stałej Wojska Polskiego Drugiej Rzeczypospolitej Polskiej.

Uhonorowany Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski, Krzyżem Walecznych oraz innymi odznaczeniami.

Niech odpoczywa w Pokoju Wiecznym! Cześć Jego Pamięci!

Jan Józef Kasprzyk

Szef Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych

5/0621/F

eprasa.pl 7e1fc54e41

RZECZY POSPOLITE

Trzeci zmysł

Tomasz Łysiak

Minęło już wzburzenie, jakie w Polsce wywołał wywiad Olgi Tokarczuk dla „Corriere della Sera". Warto chyba dodać w tej kwestii kilka ważnych uwag. Zestawienie Polski z Białorusią nie dokonałoby się, gdyby nie to, że taki właśnie kierunek rozmowy nadała przepytująca pisarkę włoska dziennikarka Irene Soave. To istotny, a niezauważany element tej sprawy. Gdy rankiem 1 czerwca w codziennym przeglądzie prasy włoskiej na prowadzonym przeze mnie profilu strony „Faro d'Italia" napisałem o tym wywiadzie i jego sensie, w Polsce powoli rozkręcała się zaś wokół tego burza, także autorka wywiadu podała dalej tweeta, a potem zaczęła się skarżyć na nienawistne ataki ze strony polskich internautów. Tymczasem to ona tak kierowała pytaniami, by potem móc w tytule wybić słowa o Białorusi i Polsce, które „płacą za opieszałość Europy".

Innymi słowy tak nas widzą obecnie dziennikarze wielu zachodnich mediów, należących nie tylko do tych lewicowych czy liberalnych, ale także dotychczas uznawanych za centrowe, jak właśnie „Corriere della Sera". Co prawda ostatnio dziennik ten skręca coraz mocniej w lewo (przykładem „transfer" pisarza i dziennikarza Roberta Saviana z „La Repubbliki"), jednak nadal stroi się w szaty obiektywizmu. Warto pamiętać o tym, gdyż coraz częstsze będą próby wyciągania takich opinii od „autorytetów" z Polski na temat naszego kraju. Opinii, które będą pasowały do tezy o tym, jakie to panują nad Wisłą „faszyzm", „zamordyzm" i „średniowiecze".

I tu rzecz kolejna – potrzeba naprawdę świadomości, uwagi i pilnowania każdego słowa, jakie się wypowiada, mówiąc mediom zachodnim o Polsce, gdyż jak w wypadku słynnej formułki „każde słowo może być wykorzystane przeciwko tobie".

Akurat w wypadku Tokarczuk o takim wykorzystaniu mówić nie można, gdyż kto jak kto, ale noblistka jest świadoma i słów, i kontekstów: postawienie Białorusi i Polski obok siebie w jej narracji było czynione z pełną świadomością.

Na naszym podwórku ten kierunek myślenia podchwyciła opozycja – przykładem Joanna Scheuring-Wielgus twierdząca, iż jeśli chodzi o porównania Polski i Białorusi, coś może jest na rzeczy, skoro tak mówi wybitna literatka. W końcu artyści, jak stwierdziła, mają jakiś „trzeci zmysł". Mają. Najczęściej na Sześciu Króli.

W dawnych dekoracjach

Z Kamilą Siwińską, reżyserką spektaklu operowego „The Rape of Lucretia", rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Napisany w 1946 r. „Gwałt na Lukrecji" („The Rape of Lucretia") to dialog między tym, co antyczne, teologiczne i współczesne. W dawne dekoracje wpisany został akt przemocy dokonany na kobiecie. Staje się on punktem zapalnym do głębokich przemian społecznych. Temat przemocy w relacjach międzyludzkich również dziś jest szeroko dyskutowany. W różnych środowiskach. Dlatego tak ważne jest, by przywoływać dzieła, które wiążą się z tym, co i teraz tak mocno nas dotyka.

Dystyngowany historyczny teatr, a na scenie gwałt?

Kamila Siwińska: Polska Opera Królewska stara się realizować dzieła nie tylko piękne, lecz i dostarczające doznań na uniwersalnym poziomie.

Opera kojarzy się z inscenizacyjnym rozmachem, tymczasem Teatr Królewski oferuje skalę „zabytkowego puzderka".

Mała scena i taki też kanał orkiestrowy nie są przeszkodą, gdy wystawia się spektakl z niewielką obsadą aktorską i muzyczną (pod batutą Lilianny Krych). Oczywiście musimy się mierzyć z warunkami muzeum, ale walory miejsca wiele rekompensują.

Jak reżyseruje się w Królewskim Teatrze w Starej Oranżerii?

To moje kolejne spotkanie z Polską Operą Królewską i wielki zaszczyt pracy zarówno we wspaniałych historycznych przestrzeniach, jak i ze znakomitym zespołem. Kilka lat temu, w pierwszym sezonie działania tej instytucji, przygotowałam spektakl dla dzieci „Mały kominiarczyk", również autorstwa Benjamina Brittena. Najnowsza premiera odbyła się w ostatni weekend, kolejne spektakle – 26 i 27 czerwca.

Fot. Z archiwum reżyserki

eprasa.pl 7e1fc54e41

RYSUJE ANDRZEJ KRAUZE

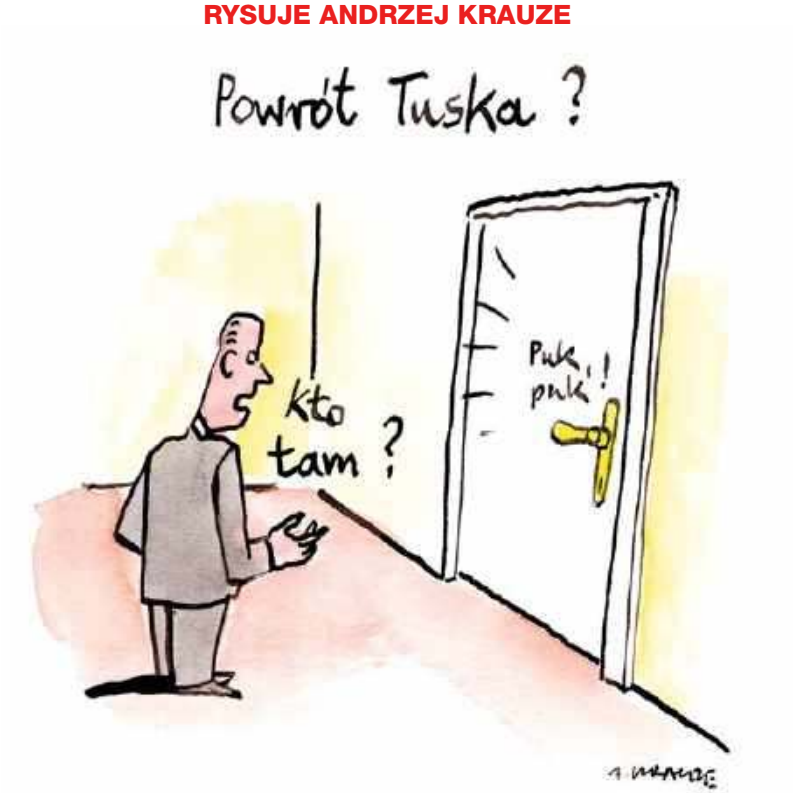

SIECI

ISSN 2544-2694

www.wSIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 616 36 00, (22) 255 93 32; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: ŁUKASZ ADAMSKI, GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWIŃSKI, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, CEZARY KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, JAROMIR KWIATKOWSKI, TOMASZ ŁYSIAK, JAKUB MACIEJEWSKI, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT, MARZENA NYKIEL, MACIEJ PAWLICKI, JAN PIETRZAK, JAN POSPIESZALSKI, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PRZEMYSŁAW SKRZYDELSKI, WOJCIECH STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIETLIK, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

FRATRIA grupa mediaIna

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO

PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCIKOWSKA, MARIOLA.BARCIKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY: MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK), ANDRZEJ.SKWARCZYNSKI@FRATRIA.PL, LIDIA SŁOWIKOWSKA-SMOLIŃSKA, KATARZYNA LASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL,
OBRÓBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00, PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.WSIECIPRAWDY.PL

WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL.

EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL: PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH" POD NUMERAMI: 22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE W GODZINACH 7^{00} – 17^{00}.

KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93
PAULINA KĄKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
AGNIESZKA WOŹNIAK – AGNIESZKA.WOZNIAK@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DABROWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT. NA OKŁADCE: KAROLINA MISZTAL, BEATA ZAWRZEL, ZBYSZEK KACZMAREK/ REPORTER x2, ANDRZEJ WIKTOR, GRZEGORZ JAKUBOWSKI, SHUTTERSTOCK x4

nasz sondaż

pracownia Social Changes dla wPolityce.pl

Na które ugrupowanie polityczne oddałaby Pani/ oddałby Pan głos, gdyby wybory do polskiego parlamentu odbywały się w najbliższą niedzielę? (bez niezdecydowanych)

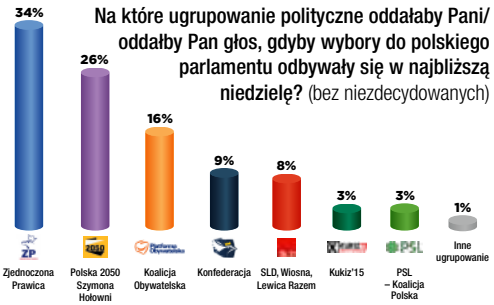

Czy według Pani/Pana Donald Tusk wróci do polskiej polityki?

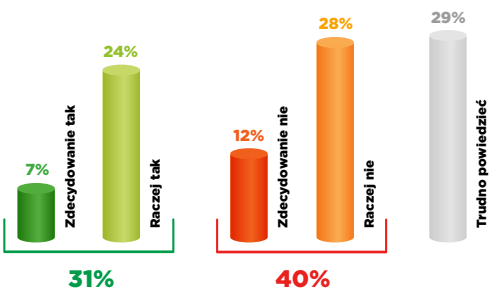

Czy według Pani/Pana Niemcy powinni wypłacić Polsce reparacje wojenne, czyli odszkodowanie za szkody i zbrodnie wyrządzone w czasie II wojny światowej?

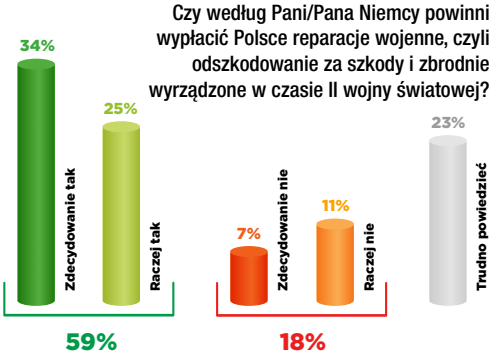

Jaki jest Pani/Pana stosunek do obywateli Ukrainy, którzy pracują i mieszkają w Polsce?

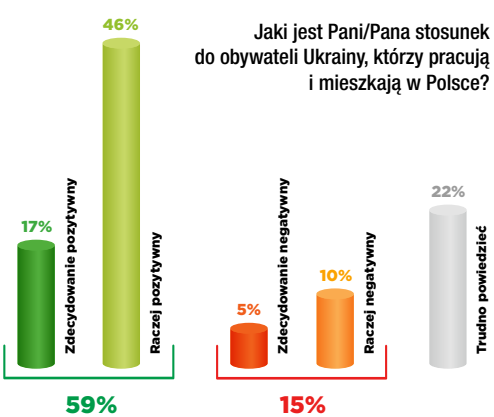

Badania zrealizowane metodą CAWI (Computer Assisted Web Interview) na panelu internetowym. Badania przeprowadzone na ogólnopolskiej, reprezentatywnej (pod względem: płci, wieku, wielkości miejsca zamieszkania) próbie Polaków. W badaniu wzięło udział N=1065.

Zakres czasowy badania 4–7 czerwca 2021 r.

eprasa.pl 7e1fc54e41

Opozycja przygotowuje na rządzących listy proskrypcyjne, akty oskarżenia, procesy pokazowe i nową Berezę Kartuską

Wielka czystka

STANISŁAW JANECKI

Nie da się realnie odzyskać władzy w Polsce, jeśli tym, którzy mają do tego doprowadzić, nie zapewni się prawa do zemsty i odwetu oraz nie przedstawi planu podziału łupów. Do tego sprowadza się wspólny mianownik łączący większość liderów opozycji w czerwcu 2021 r. A to zamiast wspólnoty programowej, która jest jeśli nie nierealna, to trudna. Chodzi z jednej strony o ukaranie Prawa i Sprawiedliwości, które swoimi rządami zakłóciło historyczny proces dochodzenia do optymalnego i ostatecznego ustroju – demokracji liberalnej. Z drugiej strony chodzi o anihilację nie tylko samego PiS, ale też wszelkich inicjatyw w przyszłości, które podążałyby drogą PiS. Tego nie da się trwale przeprowadzić bez zemsty i odwetu.

Pomysł nie jest po stronie opozycji nowy, tylko wcześniej był przedstawiany w zbyt zawoalowanej formie. Obecnie sprawę wzięli w swoje ręce przede wszystkim sympatyzujący z opozycją prawnicy, i to oni są odpowiedzialni za sporządzenie list proskrypcyjnych, poczynając od sędziów i prokuratorów, przez polityków i urzędników, członków zarządów i rad nadzorczych spółek skarbu państwa, agencji i funduszy, po ludzi mediów, nauki i kultury. Szczególna zemsta ma czekać sędziów i prokuratorów. Oczywiście oficjalnie pytanie o to istniejących stowarzyszeń zrzeszających prawników wywołuje oburzenie i zaprzeczenia, ale jest faktem, że listy proskrypcyjne powstają i docelowo mają objąć co najmniej kilka tysięcy osób. Żeby sama skala robiła wrażenie.

Następnym po sporządzeniu list proskrypcyjnych etapem jest przygotowanie aktów oskarżenia przeciwko konkretnym osobom. I to też już się dzieje, mimo że prawo nie zna takiej instytucji jak akt oskarżenia bez udowodnienia winy i prawa do obrony, w dodatku przygotowywany nie w imieniu państwa, tylko jakiejś grupy bądź partii. I zajmują się tym prawnicy, w tym z wysokim statusem naukowym. Przygotowywany jest też katalog środków represyjnych, dodatkowych w stosunku do tych, jakie przewidują kodeksy, czyli środków nadzwyczajnych. Łącznie z wieloletnimi, a nawet dożywotnimi zakazami pełnienia funkcji lub wykonywania zawodów. I nikt z inicjujących takie działania nie zastanawia się nad ich podobieństwem do absolutnie bezprawnych, a wręcz zbrodniczych metod bolszewików, nazistów czy maoistów. Osoby, które nieoficjalnie nie zaprzeczają, że powstają listy proskrypcyjne i akty oskarżenia, mówią, że nie chodzi o zrealizowanie planu zemsty, lecz zastraszenie rządzących oraz ich wyborców i sympatyków, co ma pomóc w wygraniu wyborów w 2023 r.

ODWET I ZEMSTA

25 stycznia 2019 r. Robert Biedroń mówił w „Dzienniku Gazecie Prawnej": „Najpierw powołam komisję prawdy i pojednania na wzór tej, która powstała w RPA po zniesieniu apartheidu. Chciałbym, by zostały wyjaśnione wszystkie przypadki nadużycia prawa, złamania konstytucji przez PiS i żeby osoby za to odpowiedzialne postawiono przed Trybunałem Stanu". Robert Biedroń nie zrozumiał, na czym polegała komisja w RPA, w której działali przecież także ci, którzy oddawali władzę, i to dobrowolnie. Biedroń myślał o komisji będącej czymś takim jak Trybunał Norymberski.

Przed Biedroniem, 25 i 27 marca 2018 r., ówczesny przewodniczący Platformy Obywatelskiej Grzegorz Schetyna mówił o zemście i rozliczeniach. 25 marca 2018 r. Schetyna napisał na

eprasa.pl 7e1fc54e41

Jedna z wielu manifestacji pod domem Jarosława Kaczyńskiego

Twitterze: „Nie odpuścimy tym, którzy złamali konstytucję, zrujnowali autorytet polskiego prawa, a sądownictwo upartyjnili. Dziś deklaruję: Platforma nie powtórzy błędu i postawi przed wymiarem sprawiedliwości tych, którzy łamali prawo. Muszą to wiedzieć". 27 marca 2018 r. przewodniczący PO powtórzył: „Publicznie zapowiedziałem, że wszyscy, którzy łamią dziś w Polsce prawo, konstytucję, demokrację zostaną osądzeni. To nasza deklaracja". Nie chodziło oczywiście o konstytucję, tylko o zwykłą zemstę, bo tylko taka podnosi temperaturę emocji i mobilizuje. Groźby pod adresem rządzących i ich sympatyków Grzegorz Schetyna wypowiadał podczas prawie każdego publicznego wystąpienia od 2016 r., zwłaszcza na posiedzeniach Rady Krajowej PO oraz na wiecach i marszach. Na wiecu Komitetu Obrony Demokracji 16 lipca 2017 r. Schetyna mówił: „Obiecuję jedno: że po wyborach ich rozliczymy, wszyscy razem". 1 lipca 2017 r. straszył: „Odpowiecie za to wszystko, co dzisiaj robicie". Podczas tzw. Marszu Wolności 6 maja 2017 r. groził: „Chcę wyraźnie powiedzieć, że po zwycięskich wyborach ci wszyscy, którzy łamali prawo, odpowiedzą za to. Rozliczymy ich!".

> Sprawę wzięli w swoje ręce przede wszystkim sympatyzujący z opozycją prawnicy i to oni są odpowiedzialni za sporządzenie list proskrypcyjnych, poczynając od sędziów i prokuratorów, przez polityków, członków zarządów i rad nadzorczych spółek skarbu państwa, po ludzi mediów, nauki i kultury

6 maja 2017 r. Schetynę wsparł szef klubu PO Sławomir Neumann: „Możemy solennie obiecać, że Polacy was rozliczą! Niszczenie TK, znieważanie polskich kobiet, niszczenie armii. (...) Polacy was ocenią, a niezawisłe sądy was osądzą. (...) Chcę powiedzieć urzędnikom, członkom PiS, nie wszyscy z was będą mieli tyle szczęścia co [Wacław] Berczyński [były przewodniczący Podkomisji ds. Ponownego Zbadania Wypadku Lotniczego pod Smoleńskiem]. Nie wszyscy zdołacie uciec".

Podczas kampanii prezydenckiej Rafał Trzaskowski zapowiedział powstanie komisji krzywd, która miałaby przygotować oskarżenia rozpatrywane potem w czymś w rodzaju współczesnego procesu brzeskiego.

Obecnie pomysł procesów i sądów specjalnych ma po stronie opozycji coraz więcej zwolenników. W latach 2016–2017 groźby i zapowiedzi zemsty brzmiały jak puste zaklęcia, w 2018 r. stały się programowe i nałożyły się na atmosferę skrajnej wrogości wobec rządzących, w 2021 r. zaczęły być zaś realizowane w postaci list proskrypcyjnych i aktów oskarżenia, co ma doprowadzić do czystek, a ostatecznie zamknięcia w więzieniach.

Przed 2021 r. zapowiedzi specjalnych sądów czy rodzaju Berezy Kartuskiej dla ludzi rządzącego PiS były środkiem nacisku. Ludzi władzy, urzędników, a nawet tylko sympatyków miały paraliżować, zachęcać do jakiejś formy bojkotowania obowiązków, do donoszenia na kolegów, żeby opozycja miała na każdego odpowiednie dossier. Już

eprasa.pl 7e1fc54e41

wtedy zaczęły zresztą powstawać listy proskrypcyjne. To była zapowiedź specjalnego traktowania tych ludzi z obozu obecnej władzy, których opozycja uznała za zagrażających praworządności, spokojowi społecznemu i bezpieczeństwu Polski.

Utworzone 12 lipca 1934 r. Miejsce Odosobnienia w Berezie Kartuskiej też początkowo miało tylko izolować „osoby zagrażające bezpieczeństwu, spokojowi i porządkowi publicznemu". A gdy już było, stało się najważniejszym ogniwem prześladowania politycznych przeciwników i zemsty na nich. Tym użyteczniejszym narzędziem, że do Berezy trafiało się na podstawie decyzji administracyjnej i bez prawa apelacji. I trafiali tam nie tylko politycy, ale także osoby oskarżane o przestępstwa gospodarcze, a nawet pospolici przestępcy. To poszerzanie listy oskarżonych jest typowe dla tego rodzaju represyjnych przedsięwzięć. I przy wszystkich zastrzeżeniach z takim poszerzaniem mamy do czynienia w groźbach kierowanych przez opozycję pod adresem obecnie rządzących, ich sympatyków oraz tych, których się o takie sympatie podejrzewa.

Klimat Berezy Kartuskiej buduje od kilku lat idol i oficjalny patron opozycji – Lech Wałęsa. To on nawoływał do wyrzucania ludzi obecnej władzy przez okna, do ich represjonowania i izolowania. Także prezydent Bronisław Komorowski nawoływał do „walenia dechą" politycznych przeciwników. 2 kwietnia 2017 r. ówczesny szef Klubu Parlamentarnego PO Sławomir Neumann (w programie Bogdana Rymanowskiego „Jeden na jeden") zaproponował rozwiązanie problemów z PiS „bejsbolem". Takie groźby miały tylko osłabiać morale i paraliżować, ale są niebezpieczne, gdyż zachęcają do samosądów czy przemocy, o czym najlepiej świadczy zabicie Marka Rosiaka przez Ryszarda Cybę. Te groźby do dziś wywołują nienawiść wobec dziennikarzy, szczególnie z TVP, którzy byli i są atakowani przez różne „obywatelskie" bojówki. Obecnie powstają listy dziennikarzy nie tylko mających podlegać weryfikacji na wzór tej z czasów stanu wojennego, mają oni też być pozbawiani prawa wykonywania zawodu.

Grożenie więzieniem politykom Zjednoczonej Prawicy to częsty motyw pikiet i protestów opozycji

NOWY PORZĄDEK

Już kilka lat temu zaczęły powstawać listy proskrypcyjne w środowisku sędziów, zwłaszcza w związku z kandydowaniem do Krajowej Rady Sądownictwa. W sierpniu 2017 r. Forum Współpracy Sędziów stwierdziło, że przyjmowanie stanowisk w sądach i KRS „z pewnością będzie odnotowane i może być w przyszłości poczytane jako współuczestnictwo w działaniach niezgodnych z obowiązującym porządkiem prawnym". Stowarzyszenie Sędziów Polskich Iustitia ogłosiło zamiar wyrzucenia ze swoich szeregów sędziów, którzy odważyli się kandydować do Krajowej Rady Sądownictwa. 1 marca 2018 r. zarząd Iustitii stwierdził, że „udział sędziów w niekonstytucyjnej procedurze powoływania członków Krajowej Rady Sądownictwa świadczy o braku poszanowania wartości i celów statutowych Stowarzyszenia, wśród których zasadniczą rolę odgrywa umacnianie niezależności sądów i niezawisłości sędziów". W związku z udziałem członków stowarzyszenia w procedurze wyborczej do KRS zarząd złożył wniosek o wykluczenie z członkostwa sędziów: Dariusza Drajewicza z Warszawy, Marka Jaskulskiego z Poznania, Joanny Kołodziej-Michałowicz ze Słupska, Jędrzeja Kondka z Warszawy, Macieja Nawackiego z Olsztyna, Roberta

eprasa.pl 7e1fc54e41

Pelewicza z Tarnobrzegu, Rafała Puchalskiego z Przemyśla. Przygotowywanie działań represyjnych wobec sędziów to zapowiedź czegoś w rodzaju sądów specjalnych, które ostatecznie ich zweryfikują i rozliczą. Najnowszy pomysł jest taki, żeby negatywnie zweryfikowani sędziowie nie tylko byli wyrzucani z zawodu i mieli stawiane zarzuty karne (podobnie jak prokuratorzy), ale byli też pozbawiani praw emerytalnych.

Obok przygotowania list proskrypcyjnych i środków specjalnych trwa zastraszanie różnych środowisk i osobistości, które nie walczą z rządem PiS. Odbywa się to także za granicą i poprzez zagranicę. Politycy opozycji oraz związani z nimi bądź ich wspierający naukowcy, ludzie kultury, dziennikarze czy celebryci piętnują i stygmatyzują każdego, kogo opozycja uzna za wroga. Naukowcom, ludziom kultury i wolnych zawodów czy dziennikarzom łączonym z obecną władzą (najczęściej na siłę) robi się opinię wręcz faszystów. To utrudnia kontakty międzynarodowe i normalną współpracę naukową czy wymianę kulturalną, blokuje wyjazdy na stypendia, dyskryminuje przy przyznawaniu grantów, powoduje wycofywanie zaproszeń na wykłady i konferencje. Osoby dotknięte nie chcą o tym mówić publicznie, żeby nie rozszerzać represji i różnych form dyskryminacji. Jeśli dotychczas groźby i zapowiedzi zemsty nie były możliwe do zrealizowania, mają negatywne skutki: rosną podziały w wielu środowiskach, ich przedstawiciele doświadczają dyskryminacji, szczególnie za granicą, otwarta wrogość zastąpiła w debatach niechęć czy obojętność. Próbuje się wywoływać konflikty, zachęcając do zemsty w przyszłości, a już obecnie do samosądów.

To, co dotychczas wydawało się niegroźną obsesją, czyli np. przygotowywanie przez Stowarzyszenie „Nigdy Więcej" brunatnej księgi, w której ewidencjonuje się przypadki mowy nienawiści i przestępstw z nienawiści (najczęściej kompletnie wydumane), ma być podstawą ścigania oraz karania, w tym zakazami wykonywania konkretnych zawodów, co zapowiada polowania na czarownice. Po 10 maja 2020 r. Rafał Trzaskowski wielokrotnie zapowiadał, że gdy tylko wygra, zacznie robić porządek. Kazał się pakować dziennikarzom TVP, zapowiadając likwidację TVP Info, „Wiadomości" i publicystyki. Do tego dochodzi chęć likwidacji IPN, czyli wymazywania przywróconej pamięci historycznej.

„Porządek" wdrażany byłby również w środowisku nauki i kultury. Już w 2009 r. ówczesna minister nauki z PO, Barbara Kudrycka, zleciła kontrolę na Wydziale Historycznym UJ, gdyż nie spodobała się praca magisterska Pawła Zyzaka o Lechu Wałęsie. Później było już tylko gorzej, co objawiało się m.in. prześladowaniem za poglądy prof. Ewy Budzyńskiej (odeszła z Uniwersytetu Śląskiego) czy prof. Aleksandra Nalaskowskiego. Szczytowym osiągnięciem „wolności" w kulturze w wydaniu opozycji była niebywała nagonka na twórców filmu „Smoleńsk", a z drugiej strony „bohaterska" obrona „Klątwy" (granej bez przeszkód) w reżyserii Olivera Frljicia, gdzie aktorka na scenie rozważała zbiórkę pieniędzy dla egzekutora mającego zabić Jarosława Kaczyńskiego.

> Trzaskowski zapowiedział powstanie komisji krzywd, która miałaby przygotować oskarżenia rozpatrywane potem w czymś w rodzaju współczesnego procesu brzeskiego

WSPÓŁCZEŚNI JAKOBINI

Wszystko to, co zmienili w systemie prawa obecnie rządzący, miałoby być cofnięte jednym Aktem Odnowy Demokracji, czyli rozwiązaniem prawnym znanym z rewolucji francuskiej i bolszewickiej, a w jakimś stopniu także z III Rzeszy Niemieckiej. Rozwiązaniem pozwalającym potem na działanie sądów specjalnych i organizowanie pokazowych procesów. Jednocześnie z napiętnowaniem i karaniem obecnie rządzących miałoby dojść do przywrócenia przywilejów emerytalnych funkcjonariuszy ubecji oraz bezpieki, a ci młodsi, pozytywnie zweryfikowani po 1989 r., wróciliby nawet do służby. I mogliby być bardzo użyteczni (nie mówiąc o tym, że gorliwi w rewanżu za doznane „krzywdy") w zbieraniu dowodów „zbrodni przeciw demokracji i wolności", i to byłoby wstępem do pokazowych procesów.

Przy wszystkich zastrzeżeniach co do trafności takiego porównania można mówić o ewolucji stanowiska opozycji w Polsce przypominającej przekształcenia w obozie jakobinów podczas rewolucji francuskiej. Tam początkowo niegroźny Klub Bretoński (powstały w 1789 r.), przemianowany na szczytne Stowarzyszenie Przyjaciół Konstytucji, ewoluował w skrajnie radykalną dyktaturę. Najpierw tylko straszono rządzących żyrondystów (konserwatystów, przedstawicieli inteligencji i burżuazji, którzy początkowo byli prawym skrzydłem jakobinów), potem ich masowo aresztowano, a wreszcie brutalnie się z nimi rozprawiono, wielu po prostu pozbawiając głów. Jakobini działali w sytuacji zewnętrznego zagrożenia i im było ono większe, tym silniejszy był terror wewnętrzny. I znowu przy wszystkich zastrzeżeniach opozycja też kreuje obraz Polski zagrożonej, ale nie zewnętrzną agresją, lecz wykluczeniem ze wspólnoty europejskiej, co ma nas izolować i wystawiać na zewnętrzne niebezpieczeństwa. Kreuje się straszną, choć absolutnie kłamliwą wizję wychodzenia z Unii Europejskiej i wpadania w ramiona Rosji Władimira Putina. Konsekwencją takiego „ustawiania" obecnej władzy jest wywoływanie nienawiści do niej jako tej, która sprowadza na Polskę śmiertelne zagrożenie z zewnątrz. O to samo jakobini oskarżali żyrondystów, a potem się z nimi krwawo rozprawili. Taki też, zachowując proporcje, jest plan zemsty opozycji na PiS oraz każdym, kogo się z tą partią połączy.

eprasa.pl 7e1fc54e41

Zemsta „pancernego Mariana”

Fot. Piotr Molecki/East News

Marian Banaś miał dostać od polityków PO gwarancje bezpieczeństwa: pozostanie na stanowisku, jeśli nie odpuści wojny z PiS. Czy może to wyjaśniać ostatnie szarże prezesa NIK? I jaki wpływ na jego postawę mają kończące się śledztwa w sprawie majątku byłego szefa Krajowej Administracji Skarbowej oraz nieprawidłowości w biznesach jego syna?

eprasa.pl 7e1fc54e41

MAREK PYZA

Marian Banaś wypowiedział otwartą wojnę Prawu i Sprawiedliwości. Wszystko wskazuje na to, że mamy do czynienia z osobistą zemstą za to, że służby państwowe ośmieliły się kontrolować jego pokaźny majątek oraz biznesy jego syna. W Białymstoku toczą się dwa śledztwa w tych sprawach. Jak się dowiadujemy, są na ukończeniu. Nasi rozmówcy wskazują, że Jakub Banaś może się spodziewać prokuratorskich zarzutów. Te wobec Banasia mają już nawet być gotowe.

Niestety do swojej dintojry były szef Krajowej Administracji Skarbowej wciągnął Najwyższą Izbę Kontroli. – Firma jeszcze nigdy nie była tak upolityczniona jak dziś. Przyjście Banasia było dla nas jak prezent w postaci granatu bez zawleczki. Szybko wybuchł i poranił wszystkich dookoła – mówią nam załamani pracownicy NIK. Z takiego obrotu spraw cieszą się za to politycy Platformy Obywatelskiej, którym niespodziewanie przybył całkiem silny sojusznik w walce z PiS.

DEAL Z PLATFORMĄ

Według naszych informacji ostatnie zachowanie Banasia (forma prezentowania raportów, składanie doniesień do prokuratury na najwyższych urzędników, kontrowersyjna aktywność medialna) oraz jego syna to efekt umowy pomiędzy szefem NIK a PO. Przypomnijmy, że w 2019 r. Platforma głosowała przeciw jego powołaniu (jako swojego kandydata zgłosiła Borysa Budkę), a później domagała się jego dymisji.

Teraz złożyła mu propozycję: zostaniesz na stanowisku, nawet gdy przejmiemy władzę, pod warunkiem że nie przestaniesz okładać obozu rządzącego. Rozmowy z Banasiem mieli prowadzić m.in. posłowie PO Cezary Tomczyk oraz Michał Szczerba. Obaj mieli być nawet ostatnio widziani w siedzibie NIK.

To po jednej z takich rozmów szef klubu PO miał złożyć wniosek o zwołanie sejmowej komisji ds. kontroli państwowej, z udziałem prezesa NIK. Posiedzenie odbyło się w ubiegłym tygodniu. Dotyczyło m.in. kontroli Izby w sprawie tzw. wyborów kopertowych. Zakończyło się awanturą, bo politycy opozycji chcieli dłużej korzystać z obecności Banasia przed kamerami i zadawać mu kolejne pytania, lecz przewodniczący Wojciech Szarama (PiS) zakończył obrady. Wcześniej jednak szef NIK zdążył sporo opowiedzieć o rzekomym zastraszaniu go przez służby czy zapowiedzieć książkę o kulisach swojej pracy m.in. w rządach PiS w latach 2005–2007 i 2015–2019.

W czasie posiedzenia Michał Szczerba jedną ze swoich wypowiedzi rozpoczął od ciepłych słów: „Chciałbym przede wszystkim podziękować za ten raport panu prezesowi i kontrolerom. On buduje nasze zaufanie wobec instytucji, standardów, które są w niej przestrzegane". Przypomnijmy więc, co ten poseł mówił w 2019 r. w Polskim Radiu 24: „Każdy dzień Mariana Banasia w NIK jest obciążeniem dla tej instytucji. (...) Mamy podstawy sądzić, że są poważne zastrzeżenia co do majątku i rozliczeń prezesa NIK i nie mam żadnych podstaw, aby nie wierzyć w te doniesienia. Chyba nikt nie chce, aby przez kolejne sześć lat Marian Banaś mierzył się ze swoją przeszłością".

Dziś dla polityków PO te zastrzeżenia już nie istnieją. Są gotowi dać prezesowi NIK kolejne cztery lata na mierzenie się ze swoją przeszłością. Jeśli tylko pozostanie ich sojusznikiem w batalii o odzyskanie władzy.

ZARZUTY JUŻ NAPISANE?

Na drodze planom Platformy stanie jednak prokuratura, która od grudnia 2019 r. prowadzi śledztwo w sprawie nieprawidłowości dotyczących majątku Mariana Banasia. Miał on posiadać kilkaset tysięcy złotych więcej, niż wynikało z oświadczeń majątkowych i uszczuplić płacone podatki. Wątpliwości śledczych dotyczyły też kamienicy w Krakowie (miał ją dostać w spadku po przyjacielu), opisanej przez TVN24, za której dzierżawę od ludzi z półświatka pobierał znacznie zaniżone opłaty.

Ten ostatni wątek wyprowadził śledczych i CBA na syna prezesa NIK, Jakuba Banasia, który miał otrzymać od ojca część pieniędzy ze sprzedaży tej nieruchomości (wcześniej nią zarządzał). Przy okazji miały wyjść na jaw kolejne wątpliwości związane m.in. z otrzymanymi dotacjami w wysokości ponad 700 tys. zł na remonty kamienic w Krakowie. Pieniądze pochodziły z instytucji państwowych oraz ze środków UE. Miały być przeznaczone m.in. na centrum szkoleniowo-hotelowe. Według umów opisanych przez „Rzeczpospolitą" z funduszy tych sfinansowano np. zakup kamery cyfrowej, mikrofonów bezprzewodowych, niszczarki, telewizora, telefonów, routerów, wieży hi-fi, wzmacniaczy, kina domowego z zestawem głośników, komputera z programem miksującym dźwięk, wózka kelnerskiego, lodówki, cukierniczek, popielniczek, sejfu, odkurzacza, łóżek i innych mebli, dywanów, pościeli czy ręczników.

Do dziś są wątpliwości, czy centrum szkoleniowe w ogóle powstało. Jest natomiast pewne, że później w kamienicy mieścił się hotel z pokojami na godziny.

To w ramach tych postępowań przeszukiwane były lokale należące do obu Banasiów, co opisywali oni jako szykany, gnębienie ich rodziny i szantaż zmierzający do rezygnacji prezesa NIK.

Według naszych informatorów śledztwo dotyczące juniora jest na ukończeniu. W ciągu najbliższych tygodni można się spodziewać decyzji o przedstawieniu mu zarzutów. Podobnie byłoby w przypadku Banasia seniora, gdyby nie immunitet chroniący prezesa Najwyższej Izby Kontroli. Zarzuty już są podobno napisane, ale by można je było przedstawić, Sejm musi uchylić ustawową ochronę szefa NIK.

Jak w takim głosowaniu zachowają się politycy opozycji? Teoretycznie nie powinno być kłopotów z zebraniem większości potrzebnej do pociągnięcia Banasia do odpowiedzialności, bo przedstawiciele wszystkich klubów oburzali się na niejasności wokół jego majątku i postulowali zdymisjonowanie urzędnika. Jednak nietrudno wyobrazić sobie woltę Platformy, która

eprasa.pl 7e1fc54e41

będzie chciała oszczędzić swojego sprzymierzeńca w najważniejszym politycznym boju.

Tego, że jest coraz bliżej zakończenia prokuratorskich postępowań, zdaje się mieć świadomość sam prezes NIK. Dlatego wykonuje w ostatnim czasie wiele uprzedzających ruchów. Wnioskował do szefa MSWiA i Prokuratora Generalnego o upublicznienie wszystkich dokumentów zgromadzonych w postępowaniach śledczych. Banaś doskonale zna przepisy. Wie, że takie ujawnienie jest niemożliwe. Byłoby to odkrycie się prokuratury przed stawianiem zarzutów. Dopóki Banaś nie jest bowiem stroną w sprawie (czyli w tym przypadku nie jest podejrzanym, nie ma postawionych zarzutów), nie ma prawa dostępu do materiałów z postępowania. A jako że w tej sprawie podejrzanym będzie, byłoby sprzeczne z dobrem śledztwa wystawienie głównemu zainteresowanemu zgromadzonych nań materiałów i umożliwienie przygotowania linii obrony w czasie przesłuchania (praktyką jest wysłuchiwanie podejrzanego na końcu śledztwa).

BANASIOWIE ZAKTYWIZOWANI

Najlepszą obroną jest atak. Ta stara sportowa maksyma przypomina się nie tylko na myśl o błyskawicznych kontrolach i głośnych publikacjach raportów uderzających w rząd, złożeniu zawiadomień o przestępstwach rzekomo popełnionych przez premiera, ministrów Dworczyka, Sasina i Kamińskiego, czy próbie ścigania wicepremiera Kaczyńskiego za rzekome zniesławienie prezesa NIK w wywiadach dla „Sieci" i „Wprost". Trzeba tu też pamiętać o nietypowej aktywności medialnej Mariana i Jakuba Banasiów.

Ten sam szef Najwyższej Izby Kontroli, którego powiązania z ludźmi o gangsterskiej przeszłości ujawnił TVN, dziś wpuszcza dziennikarzy tej stacji do swojego mieszkania, pokazuje, jak mieszka, wyciąga zdjęcia z rodzinnych albumów, z uśmiechem gaworzy z reporterką. Wsiada z nią do samochodu i jeździ po Polsce, pokazując swoje nieruchomości. Dziś przekaz tej telewizji się zmienił – zamiast mówić o „sutenerstwie w kamienicy szefa NIK", dziennikarze TVN24 gorliwie relacjonują opinie znajomych Banasia, według których to „państwowiec, który na sztandarach niesie najważniejsze dla niego tradycyjne wartości".

> Zarzuty już są podobno napisane, ale by można je było przedstawić, Sejm musi uchylić ustawową ochronę szefa NIK. Jak w takim głosowaniu zachowa się opozycja? Nietrudno wyobrazić sobie woltę PO, która będzie chciała oszczędzić swojego sprzymierzeńca w politycznym boju z PiS

Owszem, pytają o pokaźny majątek, ale za dobrą monetę natychmiast przyjmują jego wyjaśnienia, że „to co wydaje, ma pełne pokrycie w tym, co posiada". Wystarcza im obejrzenie odręcznie napisanego dość ogólnego „testamentu przyjaciela" czy przekonywanie, że spore pieniądze „przywiózł z USA". Przyjmują to bezkrytycznie. Zdają się też wierzyć, że nie znał gangsterów, z którymi robił transakcje na nieruchomościach, a wszystkie jego kłopoty to efekt zabiegów Mariusza Kamińskiego, który według niego miał chcieć „wstawić swojego człowieka" na prezesa NIK.

„Jestem przygotowany na wszystko. Nawet na najgorsze. Dwóch synów straciłem, trzeciego nie stracę" – mówi spoglądając w niebo, a dwoje dziennikarzy słucha ze zrozumieniem, by po chwili poinformować widzów, że „trzeci syn, jak pokazały ostatnie miesiące, znalazł się na celowniku służb".

Jakub Banaś też nie zasypia gruszek w popiele. Dotychczas mocno chronił swoją prywatność, odmawiał rozmów z dziennikarzami o swoich interesach, a nawet pozywał ich za publikowanie jego wizerunku. Zmienił taktykę i w ubiegłym tygodniu udzielił obszernego wywiadu „Dziennikowi Gazecie Prawnej".

Dywaguje w nim: „Spodziewam się wszystkiego, co służyć będzie medialnemu show pod tytułem »ostateczne rozwiązanie sprawy Banasia«. Zarzuty wobec ojca, mnie, innych osób z jego otoczenia, zatrzymania w świetle kamer – to wszystko jest bardzo możliwe, aby zdyskredytować ostatecznie Mariana Banasia w oczach opinii publicznej". Tu może mieć rację. Nie można wykluczyć takiego scenariusza. Ale to przecież standard w działaniach śledczych. Jeśli nie można tego uniknąć, warto spróbować rozbroić bombę wcześniej.

A przy okazji odpalić swoją. Banaś junior wcale nie ukrywa, że działania NIK mają na celu zaszkodzenie obozowi władzy: „Jak mówił Kaczyński, taka jest logika dynamiki politycznej, to jest to momentum. Jest dobrym strategiem i wie, że z każdym kolejnym opublikowanym przez NIK raportem będzie tracić słupki poparcia. O to jest gra, wojna, do której Pan tak wraca. (...) To niezależna, działająca zgodnie ze swoją misją NIK stanowi największe zagrożenie dla wyniku wyborczego PiS. To NIK wykonująca swoją robotę, ujawniająca złodziejstwo ludzi PiS, korupcję, udowadniając kłamstwa obozu władzy, może spowodować spadek notowań o co najmniej kilka punktów procentowych".

I jeszcze jeden cytat: „Jestem pewny, że Banaś – jeżeli pozostanie na stanowisku prezesa NIK – będzie wyskakiwać z każdej z lodówki, stanie się sennym koszmarem ludzi PiS zamieniających Polskę w kiepsko zarządzany, przaśny, partyjny folwark".

Podkreślmy: to słowa Jakuba Banasia, prywatnie syna prezesa NIK, a służbowo jego doradcy.

eprasa.pl 7e1fc54e41

UPADEK NIK

Tata chyba jest dumny ze swej pociechy. Na początku czerwca założył konto na Twitterze, które bynajmniej nie będzie służyć promocji pracy NIK. Opublikował dopiero kilka wpisów. Zdążył m.in. pokazać wspomniany wyżej wniosek o ujawnienie materiałów z dotyczącego go śledztwa, skomentować odmowę prokuratury („Widocznie mają na mnie mniej niż Zero" – pisownia nawiązuje do mało eleganckiego określenia, jakiego wobec obecnego ministra sprawiedliwości w czasie wyjaśniania afery Rywina użył Leszek Miller) i zareklamować wywiad syna dla „DGP" swawolnym komentarzem: „Ach te dzieci...".

– W moim przekonaniu całą tę agresywną strategię obrony i filozofię kultu męczeństwa Banasia przygotował nie Marian, lecz właśnie Kuba – mówi nam bardzo doświadczony urzędnik z NIK. Opowiada, jak Jakub Banaś szarogęsi się w siedzibie Izby: – Dość obcesowo traktuje ludzi. Kto może, to go unika.

Na to, że autorem koncepcji wojny totalnej może być właśnie junior, wskazuje on sam w „Dzienniku": „Trzeba było niemal dwóch lat rekolekcji, żeby Banaś przeszedł przemianę, odbył długą wewnętrzną podróż, którą właśnie niedawno zakończył. Dobił do brzegu i zaczął działać".

I dalej o „przemianie" taty: „Walczyłem o nią. Odzierałem ojca z kolejnych złudzeń i myślenia pobożno-życzeniowego. To dla niego i dla mnie był bolesny proces. I tyle. To są sprawy między nami. I Opatrznością".

Według naszych rozmówców z NIK Jakub również zakulisowo dba o PR ojca, i to jeszcze od czasu, zanim zostało oficjalnie potwierdzone, że społecznie doradza prezesowi: – To on suflował „opozycyjnym" mediom narrację o bohaterskiej walce Mariana za pomocą raportów wymierzonych w rząd. I to on decydował o wielu nominacjach kadrowych.

W tym ostatnim kontekście pojawia się nazwisko Janusza Pawelczyka, byłego komendanta ostrołęckiej policji, który z mundurem żegnał się w atmosferze skandalu w związku z tzw. aferą blue taxi – nieoznakowane radiowozy rozwoziły pijanych policjantów do domów po imprezie z okazji Święta Policji. Z Jakubem Banasiem znają się z pracy w banku Pekao SA.

Z Pawelczykiem do NIK przyszedł inny wysoki rangą były policjant (wiceszef biura kadr w komendzie głównej) Dariusz Błachnia. Na stanowisku dyrektora Biura Organizacyjnego Izby nie popracował jednak długo. Pod koniec lata ub.r. zrezygnował, bo nie godził się na „wydawanie mu poleceń przez osoby nieuprawnione". Chodziło o Jakuba Banasia, który otrzymał od ojca wyjątkowe kompetencje – dyrektorzy mieli mu udzielać „wszelkich informacji oraz przekazywać dokumenty". Według byłego policjanta naruszało to tajemnice kontrolerskie.

> Banaś junior wcale nie ukrywa, że działania NIK mają zaszkodzić obozowi władzy, „spowodować spadek notowań o co najmniej kilka punktów procentowych"

Razem z Błachnią odszedł też dyrektor Departamentu Porządku i Bezpieczeństwa Wewnętrznego NIK Marek Bieńkowski, były generał Straży Granicznej i komendant główny Policji. Doświadczonego kontrolera na dyrektorskim stanowisku zastąpił Michał Jędrzejczyk. To dobry znajomy Mariana Banasia, którego był doradcą w Ministerstwie Finansów. Nie ma jednak aplikacji kontrolerskiej, dlatego nie mógł zostać pełnoetatowym dyrektorem departamentu, a jedynie pełniącym obowiązki. Podobnie jak Jakub Banaś jest radcą prezesa NIK. Poza kierowaniem ważną jednostką Izby Jędrzejczyk jest też... nauczycielem akademickim na KUL. A nawet, jak ujawniła „Rzeczpospolita", prowadził zajęcia online ze studentami prosto z gabinetu w NIK.

Kolejny proszący o anonimowość pracownik NIK zwraca nam uwagę na najważniejsze konsekwencje prywatnej zemsty Banasia: – Dlaczego nikt nie mówi o systematycznym naruszaniu konstytucyjnej apolityczności Izby? Co chwilę zamiast o ciężkiej pracy kontrolerów słyszę o Banasiu, który NIK instrumentalnie wykorzystuje do rozwiązywania własnych problemów. My naprawdę zawsze byliśmy i jesteśmy apolitycznymi urzędnikami. Ale wobec tego, co od paru miesięcy dzieje się w firmie, świetni specjaliści pakują torby i odchodzą. Zaczynali jeszcze z Lechem Kaczyńskim, rzetelnie pracowali za kolejnych prezesów. Dziś nie chcą funkcjonować w urzędzie, który stał się prywatnym folwarkiem człowieka z takimi kłopotami majątkowymi. To katastrofa.

Inny dodaje: – Dotychczasowa praktyka była taka, że przed wyborami NIK zawsze się wyciszała. Każdy szef za wszelką cenę chciał chronić Izbę przed polityką. Niektóre raporty były nieco odsuwane w czasie, ale w dobrej wierze, w interesie instytucji. Owszem, mogliśmy w kampanii dać jakiś raport o łąkach, ale wiedząc, że nie stanie się on przedmiotem politycznej gry. Tak było też w czasie prezesury Krzysztofa Kwiatkowskiego, którego początkowo obawiano się jako byłego ministra w rządzie Tuska.

Nawet Robert Kropiwnicki, poseł KO, który kilkanaście miesięcy temu żądał dymisji Banasia, przyznaje w TVN24, że obecny scenariusz jest na rękę jego formacji: „Uważam, że prowadzi grę. Swoją grę, ale jeżeli ujawnia dokumenty i ujawnia afery, które inaczej nie ujrzałyby światła dziennego, to jest to cenne dla opinii publicznej, dla państwa (...) dla opozycji też oczywiście".

Nasi informatorzy przestrzegają jednak, że jeśli Banaś nie zostanie powstrzymany, tradycyjnie wysoki autorytet NIK kompletnie upadnie. – „Pancerny Marian" przeprowadził wątpliwą rewolucję kadrową i wplątał tę instytucję w polityczną awanturę. A przy okazji bardzo się wzmocnił. Za bardzo. Skutki tego będą opłakane. I dla NIK, i dla naszego państwa.

eprasa.pl 7e1fc54e41

Gdyby to Cichanouska napisała z irytacją na Twitterze: „Niech polski rząd szuka sobie pomocy w Moskwie", mogłaby tym sposobem zaszkodzić politycznym interesom własnym i opozycji białoruskiej. Ale w żaden sposób nie mógł polskim interesom zaszkodzić Terlecki, pisząc to samo o Cichanouskiej!

Terlecki zirytowany,

czyli o polskim rozczarowaniu Białorusią

JAN ROKITA

Po białoruskim „ćwierknięciu" na Twitterze, ironicznie odsyłającym Swiatłanę Cichanouską po pomoc do Moskwy, na szefa sejmowego klubu PiS wylała się potoczysta fala moralizatorskiego oburzenia.

W ciągu ubiegłego tygodnia można było odnieść wrażenie, jakby publicyści ścigali się z politykami w poszukiwaniu słów i gestów, które potrafiłyby jeszcze bardziej bezkompromisowo oddać emocjonalną głębię ich potępienia, ba... odrazy tak dla treści tweetu Ryszarda Terleckiego, jak i dla niego samego jako polityka. Mówiąc nawiasem, takie nagłe erupcje kolektywnej szewskiej pasji są najśmieszniejszą, ale też typową cechą polskiej polityki od niepamiętnych czasów, intelektualna kpina z tego zjawiska należy zaś do najlepszych kart klasyki polskiej literatury politycznej (od sławnej „Teki Stańczyka" sprzed półtora wieku poczynając).

Pewnie zresztą sam Terlecki, choć swym „ćwierknięciem" narobił sobie trochę politycznych kłopotów, może też czerpać satysfakcję z tego, co się wokół niego ostatnio dzieje. W końcu nie od dziś, z premedytacją, stara się w polskiej polityce grać rolę twardziela i aroganta, który zawsze wali prosto z mostu. A jego niestandardowa facjata (np. na słynnym gruzińskim zdjęciu w kamizelce kuloodpornej i z papierosem w ustach) – trzeba to przyznać – sprzyja tego rodzaju staraniom.

Fot. Andrzej Wiktor

WZBURZENIE MORALNE OPOZYCJI

Nie należy się zbytnio dziwić namiętnościom rozpętanym wokół tweetu Terleckiego przez polityków opozycji. Nieustanne umacnianie moralnego oburzenia wobec rządzącej prawicy jest tam traktowane jako sposób na odzyskanie władzy. Inna sprawa, czy jest to sposób skuteczny. Ale tak czy owak, to całkiem naturalne, że w opozycji nie przegapiono okazji przedstawienia szefa klubu PiS i zarazem zaufanego człowieka Kaczyńskiego jako jednostki obrzydliwej moralnie i współodpowiedzialnej za brutalizującą się coraz bardziej tyranię Łukaszenki. To, co o wiele bardziej może dziwić, to uczuciowa i (powiedzmy delikatnie) słaba myślowo reakcja poważnych mediów, w tym ważnych redaktorów czołowych gazet i portali politycznych. Z licznych, zawsze bardzo pryncypialnych w tonie komentarzy przebijają głównie dwa (znów powiedzmy delikatnie) raczej mało przemyślane argumenty.

Pierwszy ma dyskwalifikować Terleckiego jako polityka, gdyż (jak napisano w pewnej poważnej gazecie) „najcięższy grzech polityka to podporządkowywanie polityki zagranicznej potrzebom polityki wewnętrznej".

Straszliwa wina Terleckiego ma więc polegać na tym, że śmie on mieszać wewnątrzpolską rywalizację partyjną do kwestii polityki wobec białoruskiej emigracji politycznej. Trudno doprawdy o bardziej naiwny przesąd na temat świata prawdziwej polityki. Śmiem nawet twierdzić, że chyba nie było dotąd państwa, które na swe stosunki zewnętrzne nie patrzyłoby głównie przez pryzmat interesów krajowych. Świetnym przykładem mogą być pod tym względem Niemcy, których cała polityka wschodnia (z Nord Streamem i traktatem z Chinami włącznie) bierze się przecież nie z czego innego, jak z wewnątrzniemieckiej rywalizacji partyjnej o względy niemieckiego biznesu i niemieckich eksporterów. „Serce Niemiec podąża za niemieckim handlem", jak poetycko ujęła niegdyś ów prosty fakt pewna bardzo inteligentna tamtejsza politolożka.

Z kolei wedle argumentu drugiego – Terlecki, krytykując Cichanouską za deklarację udziału w organizowanym przez Trzaskowskiego antyrządowym Campusie Polska Przyszłości, zrujnował polską politykę zagraniczną i uderzył w „polską rację stanu".

A wydawałoby się, iż każdy powinien rozumieć chociaż tyle, że w dzisiejszej sytuacji to polityczna emigracja białoruska nagląco szuka poparcia w Polsce i na świecie, nie zaś Polska i świat starają się o względy tej emigracji. Zatem gdyby to Cichanouska napisała z irytacją na Twitterze: „Niech polski rząd szuka sobie pomocy w Moskwie", mogłaby tym sposobem zaszkodzić politycznym interesom własnym i opozycji białoruskiej. Ale w żaden sposób nie mógł polskim interesom zaszkodzić Terlecki, pisząc to samo o Cichanouskiej! W jego przypadku mogła to być najwyżej przestroga, aby liderka białoruskiej emigracji nie wdawała się na przyszłość zbyt ostentacyjnie w ostry wewnątrzpolski spór o władzę. Pewnie zresztą w każdym demokratycznym kraju Cichanouska dostałaby taką przestrogę. Choć zapewne byłoby roztropniej i chyba skuteczniej, gdyby owa przestroga padła w bezpośredniej rozmowie, a nie na Twitterze. No ale cóż, w takich czasach żyjemy, że politycy nie są już zdolni do kuluarowych akcji, bo nim je podejmą, to nie potrafią się powstrzymać, aby o nich nie „zaćwierkać". Chyba nauczyli się tego od Trumpa.

> To trzeba sobie jasno powiedzieć: bilans rewolty białoruskiej jest dla polskich interesów katastrofalny

SKĄD TEN TWEET

Naprawdę jednak politycznie doniosła jest nie tyle owa fala moralizatorstwa, która wylała się na głowę Terleckiego, ile polityczne źródła gorzkiej ironii szefa klubu PiS, odsyłającego na Twitterze Cichanouską po pomoc do Moskwy.

Myliłby się bowiem głęboko ktoś, kto by sądził, iż rzecz tkwi li tylko w irytacji Terleckiego, wywołanej przebiegiem wizyty Cichanouskiej w Warszawie. Ten tweet to wierzchołek prawdziwej politycznej góry lodowej, której nikt z polskich analityków nawet nie próbuje się przyglądnąć.

Nie byłoby nigdy ani tego tweetu, ani irytacji Terleckiego, gdyby nie trwające nie od dziś wielkie rozczarowanie obozu Kaczyńskiego zarówno wybuchem, przebiegiem, jak i zwłaszcza skutkami społecznej rewolty na Białorusi. Zarówno to rozczarowanie, jak i jeszcze bardziej obawy co do przyszłości są najzupełniej racjonalne i zrozumiałe, jeśli na serio analizować widoczne już konsekwencje kryzysu białoruskiego. Tyle tylko, że rzeczą bardzo trudną albo wręcz niemożliwą jest publiczne mówienie o tym rozczarowaniu i obawach. A źródłem tej trudności jest poczucie nadrzędności polskiej powinności solidaryzowania się z demokratami białoruskimi, którym miński tyran urządził prześladowania na skalę podobną z polskim stanem wojennym roku 1981.

Skąd owo rozczarowanie białoruską rewoltą i obawy z nią związane? Przede wszystkim z wyjątkowo niekorzystnej dla Polski zmiany geopolitycznej, jaka następuje właśnie tuż za polską granicą. Rok temu mieliśmy za Bugiem względnie łagodną tyranię, coraz mocniej skłóconą z Moskwą i zacieśniającą więzy energetyczne z Ameryką Trumpa, po to by obronić się przed presją Kremla. Mieliśmy wizytę sekretarza stanu Pompeo, zapewniającego Łukaszenkę, iż w razie blokady rosyjskiej Ameryka gotowa jest zaspokoić całość potrzeb energetycznych Białorusi. Mieliśmy kolejne przygotowywane transze zachodniej pomocy dla Mińska. I mieliśmy normalnie działające polskie szkoły w Grodnie. Dziś mamy w Mińsku zwycięskiego, ale oszalałego ze strachu tyrana, który zamknął elitę narodu do więzień, wypędził na Litwę rozkwitający białoruski biznes cyfrowy, całą społeczność tamtejszych Polaków wziął na zakładników, po czym rzucił się w objęcia swego patrona na Kremlu.

eprasa.pl 7e1fc54e41

Cichanouska po spotkaniu z Trzaskowskim w Warszawie zadeklarowała, że będzie gościem jego antyrządowego Campusu Polska Przyszłości

To trzeba sobie jasno powiedzieć: bilans rewolty białoruskiej jest dla polskich interesów katastrofalny. I co w tym wszystkim najgorsze: jedyna dzisiaj możliwa polityka sankcji i izolacji reżimu Łukaszenki stan ów jedynie pogarsza, prowadząc do już niemal nieuchronnego wchłonięcia państwowości białoruskiej przez Rosję.

Polska jest sąsiadem Białorusi. I to determinuje polskie interesy, różnicując je zarazem względem innych państw europejskich. Można i zapewne należy sympatyzować z białoruskim ruchem demokratycznym. Ale owa sympatia nie może przesłaniać tego, że polskim pierwszym interesem jest realna suwerenność państwowa Białorusi, a drugim – los tamtejszych Polaków. I dopiero dużo dalej pytanie o ustrój kraju czy swobody obywatelskie.

Rząd PiS sporo zainwestował w taką właśnie politykę, od czasu do czasu nawet schlebiając mińskiemu tyranowi w sposób mało estetyczny, w czym wyspecjalizowali się zwłaszcza Karczewski i Waszczykowski. Ten ostatni próbował nawet zamknąć pod jakimś pretekstem TV Biełsat, kłujący od zawsze mińskiego tyrana w samo serce. Ale warto pamiętać, że rząd PiS nie wymyślił sam takiej taktyki. Podążał tu tropem wyznaczonym przez ministra Radka Sikorskiego, który w roku 2008 był głównym autorem europejskiej zmiany frontu wobec Łukaszenki, m.in. całkowitego zniesienia przez Unię Europejską dawniejszych sankcji i oferty pomocy gospodarczej. Rok temu można było żywić złudzenie, że skoro miński tyran znalazł się na otwarcie wojennej ścieżce z Putinem, to taka polityka w końcu będzie święcić sukcesy. Nic z tego. Sfałszowane wybory, rewolta społeczna i fala represji wszystkie te nadzieje zniweczyła. Co więcej, całkiem prawdopodobne, że zniweczyła raz na zawsze.

Nic dziwnego, że PiS jest zirytowane, skoro musiało nie tylko o 180 stopni odwrócić wektor swojej polityki, ale jeszcze teraz musi się co rusz tłumaczyć z naiwności Waszczykowskiego czy Karczewskiego.

Zarówno Kaczyński, jak i ekipa Morawieckiego muszą zdawać sobie sprawę, że stając wraz z Litwą w pierwszej linii europejskiej konfrontacji z Łukaszenką, Polska wspiera de facto ostateczne przejęcie panowania nad Białorusią przez Kreml. Może to się zrealizować w postaci brutalnej, czyli wymuszonej tzw. federalizacji; może się odbyć w postaci łagodnej, jeśli Putinowi udałoby się wymienić Łukaszenkę na jakiegoś swojego funkcjonariusza, ale z bardziej wolnościowym stylem rządzenia. Jedno i drugie jest tak samo złe dla Polski.

A na dodatek – co z perspektywy PiS trudno, by nie miało znaczenia – przywództwo nad polityczną emigracją białoruską znalazło się w ręku polityków radykalnie liberalnych, gotowych do posłusznego wypełniania ideologicznej agendy Komisji Europejskiej i prezydenta Bidena. To dlatego właśnie emigracyjną stolicą Białorusi stało się Wilno, pod skrzydłami bardzo postępowego młodego Landsbergisa. Jeśli jest się tego wszystkiego świadomym, czy naprawdę można się dziwić wybuchłej nagle irytacji Terleckiego? Przecież to jest irytacja całego PiS, tyle że z wysiłkiem cały czas skrywana, w imię romantyczno-prometejskich polskich imponderabiliów.

NIEPOKOJĄCE GŁOSY Z UE

Ostatnio dochodzą do tego jeszcze nowe, i to najpoważniejsze obawy. Jeśli wierzyć medialnym przeciekom z ostatniego szczytu UE (m.in. „El País" i „Rzeczpospolita"), to szef unijnej dyplomacji Hiszpan Josep Borrell zaprezentował tam tezę, iż prezydent Putin będzie teraz dążył siłą do otwartego rozszerzenia rosyjskich granic zachodnich. Podobno unijni przywódcy mieli się z jego tezą zgodzić. Z czego płynąć ma polityczna konkluzja, iż Unia musi Putinowi zaproponować alternatywę: albo sankcje i konflikt w razie zmiany granic, albo przyjaźń i współpraca, jeśli zachowane zostanie graniczne status quo. Nie wiemy niestety, jaki był w tej dyskusji pogląd premiera Morawieckiego, a wiedzieć o tym byłoby rzeczą wielce interesującą.

Wiemy za to doskonale coś całkiem innego. Pod tą całą wątpliwą teorią o groźbie inwazji ze strony Rosji kryje się zakamuflowana logika pełnej zgody Europy na przejęcie przez Kreml kontroli nad Białorusią, o ile tylko nie zmienią się na skutek tego formalne granice na mapie. Jeśli to miałaby być ostateczna polityczna puenta białoruskiej rewolty, to przyznać trzeba, iż nie tylko Terlecki ma powody do rozczarowania i irytacji. Na dobrą sprawę zirytowany może być każdy Polak, któremu leży na sercu polski interes polityczny na Wschodzie.

Fot. Jakub Kaminski/East News

eprasa.pl 7e1fc54e41

Polska pułapka na Cichanouską

Dobrze byłoby, gdybyśmy w Polsce osiągnęli porozumienie w kwestiach strategicznych interesów naszego państwa, do których z pewnością należy ułożenie dobrych relacji z Białorusią. Tym bardziej cenne byłoby, aby polska elita polityczna nie zakładała „pułapek" na słabiej zorientowanych w naszych realiach reprezentantów innych narodów

MAREK BUDZISZ

Wizyta Andrzeja Dudy w Zalaszanach na Podlasiu, w czasie której prezydent Polski uczcił pamięć zamordowanych przez oddział Romualda Rajsa „Burego" w 1946 r. cywilnych mieszkańców tej zamieszkałej przez Białorusinów wsi, potomkowie ofiar uznali za historyczną. „Prezydent Andrzej Duda jest pierwszym od 75 lat politykiem z władz naczelnych naszego państwa, który przyjechał do Zaleszan. Dlatego wizytę odbieram jako historyczną" – powiedział mediom Sergiusz Niczyporuk,

Fot. Andrzej Iwańczuk / REPORTER

eprasa.pl 7e1fc54e41

krewny jednej z ofiar. Jednak ton mediów, zwłaszcza opozycyjnych wobec rządzącego w Polsce obozu politycznego, był zupełnie inny i raczej starały się one podkreślić, że Andrzej Duda, występując, nie potępił, nie odciął się ani nie stanął po jednej ze stron wciąż gorącego sporu na temat tego, co stało się w Zaleszanach w styczniu 1946 r.

Kilka tygodni temu na temat Zaleszan duży artykuł opublikował największy na Białorusi niezależny portal Tut.by. W bardzo wyważony sposób jego autor opisywał zarówno to, co się stało w 1946 r., jak i szerszy, historyczny kontekst ówczesnych wydarzeń, w tym działalność na tych terenach NKWD i polskiej partyzantki. Rozdzielał też, czego nie robią z zasady polskie media antyrządowe, kwestie związane z corocznym marszem w Hajnówce organizowanym nie przez władze, ale legalne stowarzyszenia. Nawet jeśli nie ze wszystkim się zgadzał, to czytając ten artykuł, miałem wrażenie, że jego autor stara się uczciwie przedstawić to, w jaki sposób oficjalna Polska radzi sobie z konfliktem pamięci historycznych. Może ta powściągliwość w ocenach publicysty historycznego Tut.by była związana z tym, że Łukaszenka właśnie rozpoczął intensywną kampanię propagandową wymierzoną w Polskę, w której wątki historyczne odgrywały kluczową rolę, a pretekstem dla uderzenia w Związek Polaków i aresztowanie jego działaczy było oskarżenie o gloryfikowanie „faszystów" i „ludobójców", którymi w narracji reżimu byli polscy partyzanci, w tym przede wszystkim Rajs „Bury".

Zaatakowanie przez funkcjonariuszy białoruskiego reżimu pamięci historycznej Polaków na Białorusi było tylko jednym z elementów nasilającej się akcji propagandowej, której głównym celem było zohydzenie trójkolorowego, biało-czerwono-białego sztandaru, symbolu politycznego i narodowego odrodzenia na Białorusi po zeszłorocznych wyborach prezydenckich. Sztandaru, który w narracji władz jest związany z ruchami politycznymi kolaborującymi z Niemcami w czasie II wojny światowej, co ma świadczyć o tym, że mamy do czynienia z symboliką faszystowską. Ta znajomość kontekstów skłoniła białoruskiego publicystę do większej powściągliwości i unikania uproszczonych ocen.

MOTYWY SWIATŁANY CICHANOUSKIEJ

Piszę o tym, po tym jak przez polskie media przetoczyła się dyskusja na temat krytycznego wpisu wicemarszałka Ryszarda Terleckiego pod adresem Swiatłany Cichanouskiej. Polityk Prawa i Sprawiedliwości napisał, że „jeżeli Cichanouska chce reklamować antydemokratyczną opozycję w Polsce i występować na mityngu Trzaskowskiego, to niech szuka pomocy w Moskwie, a my popierajmy taką białoruską opozycję, która nie staje po stronie naszych przeciwników". Zarówno ten wpis, jak i późniejsze jeremiady polityków polskiej opozycji domagających się natychmiastowej dymisji wicemarszałka Sejmu, tak jakby Swiatłana Cichanouska, polityk opowiadający się za demokratycznymi standardami, była osobą, której nie można bez narażenia się na infamię krytykować, wiele mówi o źródłach polskich niepowodzeń w polityce zagranicznej, ale też o sytuacji białoruskiej opozycji.

> Czy Cichanouska, deklarując uczestnictwo w jednoznacznie politycznym spotkaniu Campus Polska Przyszłości, nie przekroczyła pewnej granicy? Wydaje się, że przekroczyła. Pytanie, dlaczego tak się stało?

Poddajmy zatem kwestię szczegółowej analizie. Nie podlega dyskusji, że sformułowanie Ryszarda Terleckiego odsyłającego Swiatłanę Cichanouską do Moskwy było co najmniej niefortunne, choć być może zamierzone i zasadne, zwłaszcza w kontekście pojawiających się wiosną ub.r. informacji, że jej mąż Siarhiej, od ponad roku przebywający w więzieniu, zanim został popularnym i opozycyjnym wobec Łukaszenki Glogerem, miał związki z rosyjskimi kręgami nacjonalistycznymi, a jego postawa wobec kwestii aneksji Krymu może być uznana za co najmniej dwuznaczną. Wydaje się jednak, że irytację polityka PiS w tym przypadku spowodowało co innego, bo przecież nie rozmowy Cichanouskiej z posłami i liderami opozycji. Spotykała się ona wielokrotnie z nimi w przeszłości i tego rodzaju aktywność nie wzbudzała większych emocji. Czym innym jest jednak dialogowanie z parlamentarzystami, nawet takimi jak poseł Szczerba, reprezentującymi najradykalniejszą antyrządową część opozycji, a czym innym branie udziału w wiecach ruchów politycznych, a z tym mieliśmy do czynienia. Inicjatywa Campus Polska Przyszłości, w której spotkaniu Cichanouska wzięła udział, w świetle promującego ją Rafała Trzaskowskiego jest nowym przedsięwzięciem politycznym, którego celem, czego zresztą nie skrywa, jest pozbawienie władzy obecnego układu politycznego. To i tak postęp, że zmiana ta ma nastąpić w trybie wyborczym, a nie dzięki aktywności, jak było w niedalekiej przeszłości, „ulicy i zagranicy".

Zasadne jest jednak pytanie, czy Swiatłana Cichanouska, deklarując uczestnictwo w jednoznacznie politycznym spotkaniu Campus Polska Przyszłości, nie przekroczyła pewnej granicy, czego polityk z obcego kraju raczej powinien starać się unikać, i wreszcie, czy dobrze przysłużyła się sprawie, o którą walczy? Wydaje się, że przekroczyła granice i złamała pewne zasady, ale to tym bardziej prowokuje do stawiania pytań, dlaczego tak się stało?

Możliwe są dwie odpowiedzi. Albo jej wiedza na temat wewnętrznej sytuacji w Polsce jest ograniczona i tego rodzaju interpretację przyjął, jak się wydaje, Ryszard Terlecki, kierując do Swiatłany Cichanouskiej obszerny list, w którym wyjaśnia jej meandry polskiej polityki wewnętrznej, albo Cichanouska, uczestnicząc w spotkaniu Campus Polska Przyszłości, wiedziała, w czym bierze udział, świadomie manifestując swoje polityczne sympatie.

Jeśli w grę wchodzi ta pierwsza ewentualność, czyli brak wiedzy i orientacji

eprasa.pl 7e1fc54e41

Cichanouskiej w polskich sprawach, to zasadne jest pytanie o to, w jaki sposób przygotowana została przez jej zaplecze wizyta w Polsce? Czy rzeczywiście mamy w tym przypadku do czynienia z profesjonalistami umiejącymi poruszać się w niełatwym świecie polityki, czy raczej należy postrzegać liderów białoruskiej opozycji inaczej? To ważna kwestia nie tylko dlatego, że brak politycznego instynktu i przygotowania Swiatłany Cichanouskiej niemiłosiernie krytykuje reżimowa propaganda na Białorusi, w tym w wulgarny sposób sam Łukaszenka. Ale w tym wypadku nie chodzi o urażone ego, lecz o odpowiedź na pytanie, czy Cichanouska jest kimś więcej niż tylko symbolem, czy można polegać na formułowanych w kręgu jej doradców opiniach na temat tego, co dzieje się na Białorusi, i radach, jaka polityka wobec reżimu Łukaszenki byłaby najlepsza?

Tym bardziej że po ewidentnym niepowodzeniu scenariusza „wiosna nasza", po tym jak Białorusini zastraszeni przez władze nie wznowili masowych demonstracji, mimo wezwań zarówno Cichanouskiej, jak i Pawła Łatuszki, zarzuty pod ich adresem o brak realizmu w ocenie sytuacji i niezbędnej elastyczności pojawiły się również w kręgach niezależnych białoruskich ekspertów. W świetle tych opinii jedną z przyczyn niepowodzeń białoruskiej opozycji w walce z reżimem, oprócz tego, iż ten dysponuje siłą, jest również to, że jej kierownictwo nie umie prawidłowo ocenić sytuacji w kraju, bierze własne życzenia za rzeczywistość, a przez to realizuje politykę nierealistyczną, nie mając szans na sukces.

Jest wreszcie druga możliwość: Cichanouska i jej otoczenie zdawali sobie sprawę, że uczestnictwo w spotkaniu organizowanym przez Trzaskowskiego może zostać uznane, i tak się zresztą stało, za opowiedzenie się po jednej ze stron niezwykle gorącego sporu politycznego w Polsce. Ale mimo to uznali, że tego rodzaju manifestacja jest potrzebna. Mielibyśmy w tym wypadku do czynienia z dość często spotykaną, zwłaszcza na Wschodzie, postawą, w której radykalne poglądy antyreżimowe i prodemokratyczne łączą się z entuzjastyczną proeuropejskością, a w związku z tym lepiej lub gorzej skrywaną rezerwą i niechęcią wobec konserwatywnych sił rządzących w Polsce.

OPOZYCJA NA WSCHODZIE A POLSKA

Reprezentanci białoruskiej opozycji nie są tu wyjątkowi, podobnie niechętnie nastrojeni wobec rządów polskiej prawicy są przedstawiciele opozycji z Rosji, zarówno emigracyjnej w rodzaju Władimira Miłowa, jak i np. środowisko związane z legalną „Nową Gazietą", ale także entuzjaści integracji Ukrainy z Unią Europejską, choćby z takich mediów jak portal Europejska Prawda. Ten ostatni przykład jest godny uwagi również dlatego, że redakcja poświęciła tweetowi Ryszarda Terleckiego osobny specjalny artykuł. Można w nim przeczytać, że wicemarszałek polskiego Sejmu jest „wstrętnym politykiem", a jego wpis wywołał „międzynarodowy skandal". Autorzy, Stanisław Żelichowski, były dyplomata i doktor politologii, oraz Jurij Panczenko, redaktor naczelny portalu, są zdania, że można się spodziewać dymisji Terleckiego, a co za tym idzie, jako że mamy do czynienia z politykiem bliskim Jarosławowi Kaczyńskiemu, rychłego rozpadu koalicji rządzącej Polską. W przypadku tego medium snucie tego rodzaju negatywnych dla Zjednoczonej Prawicy scenariuszy nie jest niczym zaskakującym. Europejska Prawda wieściła kres rządów prawicy w Polsce w ostatnich kilku tygodniach już przynajmniej dwukrotnie.

Problemem nie jest jednak trafność diagnoz wpływowego ukraińskiego portalu i nieskrywane sympatyzowanie z tego rodzaju scenariuszem rozwoju sytuacji w Polsce, lecz to, że lansuje on obraz polskiej prawicy jako siły nie tylko słabej, skłóconej, bez programu, niechętnej Ukrainie i generalnie wrogiej, a w najlepszym razie protekcjonalnie nastawionej do ludzi mieszkających na wschód od Bugu. Mało tego, w kontraście do tak opisywanego świata polskiej polityki budowany jest zmitologizowany i upiększony obraz kolektywnego Zachodu wobec aspiracji Kijowa. Otrzymujemy w ten sposób skrzywiony, karykaturalny obraz Polski, który obiektywnie rzecz biorąc, utrudnia prowadzenie Warszawie polityki na Wschodzie, i nierealistyczny opis polityki Berlina czy Paryża. Można oczywiście ułatwić sobie dyskusję na ten temat, pisząc, że „Ukraińska Prawda" kontrolowana jest kapitałowo przez biznesmena Tomáša Fialę, który jest partnerem w interesach George'a Sorosa, a w związku z tym linia programowa jego dzienników i portali internetowych jest łatwa do przewidzenia. Na to nakładają się osobiste, łatwe do odczytania, sympatie korespondentów warszawskich mediów ze Wschodu i dość jednostronny, najdelikatniej mówiąc, wybór rozmówców w Polsce, głównie z kręgów dziennikarskich i opiniotwórczych związanych z dzisiejszą opozycją.

POLITYCZNE CELE, A NIE RACJA STANU

Towarzyszy temu też pokusa, wykorzystywana przez polityków w rodzaju Trzaskowskiego, raczej nieznanych z zamiłowania do ciężkiej, pozytywistycznej pracy, aby, tak jak to było w przypadku Swiatłany Cichanouskiej, zinstrumentalizować jej popularność we własnych celach. Zwycięża perspektywa partyjna, co gorsze, raczej krótkoterminowa niż nastawiona na budowanie stabilnych, długofalowych relacji. Sprawy polskiej polityki zagranicznej poddane zostają w ten sposób logice politycznych sporów wewnętrznych z oczywistą szkodą dla strategicznych interesów naszego państwa.

Nasza elita polityczna postępuje zupełnie inaczej, niż jest to w przypadku niemieckich fundacji partyjnych bardzo aktywnych na Wschodzie. Reprezentują one spojrzenie swoich formacji, ale ich zagraniczną politykę koordynuje resort spraw zagranicznych. Dobrze byłoby, gdybyśmy i w Polsce osiągnęli zbliżone porozumienie w kwestiach strategicznych interesów naszego państwa, do których z pewnością należy ułożenie dobrych relacji z Białorusią. Tym bardziej cenne byłoby, aby polska elita polityczna nie zakładała „pułapek" na słabiej zorientowanych w naszych realiach reprezentantów innych narodów. Swiatłana Cichanouska i sprawa, którą reprezentuje, nie zasługuje na to, aby wikłać ją w polskie spory.

eprasa.pl 7e1fc54e41

Prezes PiS, szczepienia i walka z dezinformacją

Nie pierwszy raz Jarosław Kaczyński uruchamia w debacie publicznej ważny i wyrazisty temat. Gdy 4 czerwca powiedział w rozmowie z Radiem Rzeszów, że idee antyszczepionkowe zostały zainspirowane w latach 80. przez KGB, pojawiła się lawina komentarzy. Trudno się oprzeć wrażeniu, że prezes PiS rzucił te stanowcze słowa przede wszystkim jako wicepremier ds. bezpieczeństwa, który dostrzega szczególne zagrożenia dla Polski roku 2021

eprasa.pl 7e1fc54e41

JAKUB AUGUSTYN MACIEJEWSKI

Na początku września 1986 r. na szczycie Ruchu Państw Niezaangażowanych w stolicy Zimbabwe Harare pojawiła się specyficzna broszurka pt. „AIDS: jego natura i pochodzenie". Delegaci ruchu, składającego się z mniejszych i słabszych państw okresu zimnej wojny, które starały się nie stawać po stronie ani USA, ani Związku Sowieckiego, czytali materiał z troską i zainteresowaniem – wszak pięć lat wcześniej zarejestrowano pierwszy przypadek tej tajemniczej choroby, która szybko zaczęła się rozprzestrzeniać po Czarnym Lądzie.

Język broszury brzmiał profesjonalnie, podawał również dużo precyzyjnych informacji, m.in. o tym, że pierwsze przypadki AIDS pojawiły się w pobliżu amerykańskiego Fortu Detrick w stanie Maryland. Autor, nieznany uczestnikom zjazdu niemiecki lekarz Jakub Segal, stwierdzał w podsumowaniu: „Śmiało można wyrazić założenie o tym, że AIDS jest efektem przygotowywania broni biologicznej".

Szokujący news stał się wkrótce tematem nawet w poważniejszych tytułach prasowych. Pojawiające się w różnych miejscach na świecie sensacyjne doniesienia zaczęły być cytowane, powielane, omawiane, aż do opinii publicznej ta teza przedostała się nawet poprzez lokalne gazetki. Przekonanie o amerykańskiej inspiracji w powstawaniu wirusa HIV pokutuje dziś w wielu środowiskach w internecie. Dopiero w latach 90. Rosjanie przyznali, że teza o AIDS jako amerykańskiej broni biologicznej powstała w gabinetach KGB, a konkretnie w Departamencie D, specjalnej komórce zajmującej się dezinformacją.

Prawdopodobnie to właśnie ten departament miał na myśli Jarosław Kaczyński, gdy wskazywał podobieństwo dzisiejszej propagandy antyszczepionkowej do dawnych operacji sowieckiego wywiadu.

Fot. Shutterstock (2X)

ROSJA OSTRZEGA PRZED SZCZEPIONKĄ

Identyczne schematy rozpowszechniania piętrowych kłamstw na temat pandemii i szczepionek można prześledzić dzięki analitycznemu projektowi Unii Europejskiej, która w 2015 r. zaczęła publikować źródła i rozprzestrzenianie się konkretnych fake newsów. Portale takie jak Sputnik, rosyjskie agencje prasowe, a także sieć mediów skupiona wokół powołanej przez Władimira Putina w 2005 r. stacji wielojęzycznej Russia Today, potrafiły rozprzestrzeniać nieprawdziwe informacje o zamieszkach, słabości państw Zachodu, niedziałających instytucjach i europejskich armiach. Koniecznym dla Rosji celem stała się Ukraina, o której pisano, że pełna jest incydentów faszystowskich: pochodów banderowców, antysemickich napisów, dewastacji miejsc pamięci przez tamtejszą prawicę.

REKLAMA

77/0521/F

eprasa.pl 7e1fc54e41

Pandemia COVID-19 stała się dezinformacyjnym rajem dla rosyjskich służb, podobnie jak epidemia AIDS w latach 80. Podobnie jak wtedy to z Zachodu ma iść największe zło – kiedyś śmiertelna choroba, dziś szczepionka. O ile w latach 2017–2019 Rosja wypuściła jedynie pięć fake newsów na temat różnych szczepionek, o tyle od 27 stycznia 2020 r. do dziś kłamstw na temat szczepień spreparowano ponad 250 (!). I tak w komunikatach z Rosji szczepionki z Zachodu mają być nieskuteczne, szkodliwe, kosztować 2 tys. euro od sztuki i rujnować gospodarkę, paszporty covidowe mają zniszczyć Unię Europejską, a europejskie i amerykańskie elity tak naprawdę nie chcą pokonać pandemii. 20 maja 2021 r. popularny publicysta Władimir Sołowiow stwierdził na swoim kanale internetowym, że szczepionka Astra Zeneca jest bardziej niebezpieczna niż trucizna nowiczok. Straszenie szczepionką to zwyczajne odbieranie społeczeństwom jedynej broni w walce z niewidzialnym wrogiem – koronawirusem.

Jednocześnie Rosja forsuje swoją własną szczepionkę – Sputnik V. W dezinformacji tamtejszych mediów pojawiają się fake newsy o błędach Europejskiej Agencji Leków, która rzekomo żałuje odrzucenia rosyjskiego produktu, a wątpliwości lekarzy to opłacana przez zachodnie koncerny kampania. Fakty jednak są druzgocące dla samej Rosji. Gdy Słowacy zakupili Sputnik V, po przebadaniu wielu dawek okazało się, że specyfik różni się od opisywanego w pismach naukowych modelu szczepionki. Po medialnym skandalu Moskwa zwróciła pieniądze za felerną szczepionkę, a nadzieja na zarobienie 15 mld dol. na sprzedawaniu Sputnika znacząco zmalały. To właśnie faktyczna słabość Kremla powoduje nasilenie działań dezinformacyjnych, które mają wyrównać dysproporcję sił.

METODY DEZINFORMACJI

Jak to możliwe, że z rosyjskich, mało wiarygodnych źródeł, mity o szczepieniach wędrują do mainstreamu? – W latach 80. przygotowana przez KGB fala dezinformacji na temat AIDS ruszyła z prasy krajów tzw. Trzeciego Świata – komentuje dla tygodnika „Sieci" Grzegorz Kuczyński, ekspert od spraw rosyjskich służb specjalnych. Ówczesne afrykańskie czy południowoamerykańskie broszury nie były zbyt wiarygodne, ale były tak liczne, że w końcu zaczęły być wzmiankowane w poważniejszych periodykach. – Tu chodzi o masowość kłamstw – precyzuje Kuczyński. – Dziś koszty przygotowań takich akcji są mniejsze, bo rolę takich podrzędnych źródeł informacji odgrywają niszowe portale internetowe, filmiki wideo, których fake newsy są potem rozkręcane przez specjalne boty – dodaje ekspert.

Rozprzestrzenianie się dezinformacji można porównać do wodospadu, w którym wielka siła (tu: aparat rosyjskich służb) wypycha wodę z dołu do góry, czyli od niszowych, mało wiarygodnych mediów do poważniejszych ośrodków przekazu.

W arsenale sowieckich narzędzi dezinformacji i dezintegracji społecznej było również inspirowanie i wspieranie przez Moskwę różnego rodzaju ruchów pokojowych. Związek Sowiecki angażował się nawet w ruchy hippisowskie, bo po rewolucji dzieci kwiatów spodziewano się zarówno osłabienia społeczeństwa amerykańskiego, jak i presji na rząd, by zaprzestał wojny w Wietnamie. Wielu z inspiratorów ruchu hipisowskiego było w przeszłości członkami Komunistycznej Partii USA, a niektórzy z tych sympatyków ZSRS, np. Harry Hay (1912–2002) zakładali demoralizujące młodzież organizacje LGBT. W latach 80. w Danii powstały ruchy na rzecz rozbrojenia atomowego, gdzie przykrywką była obawa o zagładę świata. Jednym z liderów był tamtejszy dziennikarz Jørgen Dragsdahl przyłapany na kontaktach z agentami KGB. Trudno się oprzeć wrażeniu, że i dzisiejsza troska o ekologię jest zwyczajnym narzędziem osłabiania politycznego przeciwnika pod szyldem szlachetnej idei. Myślicie państwo, że w sprawie szczepionek Rosja przespałaby okazję, by siać zamęt?

Rozprzestrzenianie się dezinformacji można porównać do wodospadu, w którym wielka siła (tu: aparat rosyjskich służb) wypycha wodę z dołu do góry, czyli od niszowych, mało wiarygodnych mediów do poważniejszych ośrodków przekazu

EGZAMIN PANDEMICZNEJ DOJRZAŁOŚCI

Jarosław Kaczyński ostrzegał więc nie tylko przed dezinformacją wokół szczepień, lecz w ogóle przed ośrodkami inspirującymi społeczny zamęt. „Chciałbym wszystkim, którzy nie chcą się szczepić, którzy wierzą w tę rozpoczętą w latach 80. przez KGB [...] operację, żeby się zastanowili, bo szczepienia są konieczne" – stwierdził w Radiu Rzeszów. „Te wszystkie bajki, które są opowiadane, są niesłychanie groźne w szczególności dla nich, ale także dla innych, bo to nie jest tak, że ktoś podejmuje decyzję co do swojego życia. Podejmuje decyzję co do życia innych" – przekonywał wicepremier.

Problem polega na tym, że dezinformacji nie da się zwalczyć decyzją administracyjną – nie można zamknąć kłamiących mediów, bo naruszyłoby to wolność słowa i byłoby pierwszym krokiem do cenzury. Odpowiedzią na kłamstwa musi być społeczna dojrzałość i zaufanie do instytucji państwa. Pandemia to egzamin dla wszystkich obywateli, a od jego wyniku zależy, czy uda nam się uniknąć kolejnych kryzysów.

eprasa.pl 7e1fc54e41

Zaangażowanie artystów w polityczne akcje jest dziś mało skuteczne. Nikt ich nie słucha, bo już dawno temu zostali zrzuceni z piedestału przez media społecznościowe, w których każdy może tworzyć swoje własne hierarchie i kreować autorytety. Tyle że oni sami jeszcze tego nie zauważyli

KONRAD KOŁODZIEJSKI

Kto dziś słucha Hołdysa?

Zbigniew Hołdys, dawna gwiazda zespołu Perfect, znany jest dziś głównie ze swojej aktywności na Twitterze. Od wielu lat prowadzi tam niestrudzoną, choć chyba mało skuteczną, kampanię przeciwko rządom PiS. Częstotliwość kolejnych wpisów mogłaby wskazywać, że dawny muzyk jest wręcz uzależniony od internetu. Ostatnio jednak Hołdys postanowił się oderwać od klawiatury i ruszyć w Polskę. Oczywiście nie z koncertami, bo tym już się chyba nie zajmuje, ale z akcją promującą konstytucję.

Pretekstem jest przypadająca w tym roku setna rocznica uchwalenia Konstytucji marcowej. Znany muzyk musiał najwyraźniej bardzo przeżyć tę rocznicę (jak nazwa konstytucji wskazuje – przypadającą w marcu), skoro w maju dał się jakoś oderwać od Twittera i został – obok m.in. Ogólnopolskiego Strajku Kobiet, Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka, KOD oraz oddziałów terenowych Stowarzyszenia Sędziów Polskich Iustitia – jednym z organizatorów tegorocznego jubileuszu.

Fot. Andrzej Wiktor

INDIANIN Z DEMOKRACJĄ W SERCU

Samej akcji, której patronuje – co nie powinno być chyba zaskoczeniem – „Gazeta Wyborcza" i portal OKO.press, warto poświęcić trochę miejsca, ponieważ dobrze ilustruje ona stan umysłu, w który popadła część środowisk opozycyjnych po sześciu latach nieudanej kampanii na rzecz odsunięcia PiS od władzy.

Jak czytamy na stronie internetowej akcji, nazwanej „Tour de Konstytucja", główną atrakcją jubileuszowych obchodów będzie dwumiesięczna peregrynacja kapsuły ze „zwojem konstytucji" (tej obecnie obowiązującej) po Polsce. Obok oglądania relikwii, której strzec będą „ludzie mający demokrację w sercu", odbędą się pogadanki oraz spotkania z tubylcami, którzy – skuszeni efektownymi gadżetami takimi jak znaczki,

eprasa.pl 7e1fc54e41

długopisy i flagi – będą mogli na własne oczy obejrzeć „zwój" oraz dowiedzieć się od mówców, że „od kilku lat Polska zmaga się z kryzysem konstytucyjnym". Kryzys ten polega na „populistycznych prawicowych rządach, odradzaniu się skrajnych ruchów nacjonalistycznych, braku akceptacji dla osób LGBTQ+ oraz łamaniu przez obóz władzy podstawowych praw obywatelskich i praw człowieka". Jeśli ktokolwiek z tubylców miałby wątpliwości co do tej diagnozy, to niechybnie oznacza to, że jest ślepy na rzeczywistość i zapewne nie ma jeszcze demokracji w sercu. Organizatorzy dostrzegają bowiem to wszystko „na co dzień od 2015 r., od kiedy wychodzą na ulice, żeby wyrazić swój sprzeciw".

Podczas tych spotkań z ludem Zbigniew Hołdys widzi siebie w roli Indianina lub ewentualnie szeryfa (albo jego zastępcy). Wyjaśnia, że wychował się na westernach i zawsze podobały mu się dwie rzeczy, „że plemię czy szczep indiański miał swoje niewzruszone reguły i nikt ich nie łamał, i że byli szeryfowie, i ich zastępcy, i źli ludzie. I ci szeryfowie walczyli o utrzymanie prawa, i nigdy go nie łamali. To będziemy starali się opowiedzieć podczas tej trasy wszystkim ludziom".

Pomimo że wśród „mających demokrację w sercu" mówców znalazły się – oczywiście obok samego Hołdysa – takie postaci jak rzecznik praw obywatelskich Adam Bodnar czy sędzia Igor Tuleya, to pielgrzymka „zwoju konstytucji" nie przyciąga na razie zbyt wielkich tłumów. W Dobczycach – jak doniosły media – trzeba było ratować frekwencję ściąganiem dzieci z miejscowego przedszkola. Choć akurat im indiańskie opowieści Hołdysa rzeczywiście mogłyby się spodobać. Tyle że zamiast Hołdysa przemawiał sędzia Waldemar Żurek i straszył Trybunałem Stanu. Nie przedszkolaków, lecz prezydenta.

HOLLYWOOD NA MIARĘ NASZYCH MOŻLIWOŚCI

Zbigniew Hołdys jest tylko ilustracją zjawiska zbyt głębokiego zaangażowania się artystów czy – szerzej – ludzi kultury w politykę. I nie chodzi tu o zarzut, że artyści powinni unikać polityki. W wolnym kraju każdy ma prawo do własnych poglądów, a w przypadku kultury jest to szczególnie ważne, tym bardziej że otaczająca rzeczywistość jest dla artysty najważniejszym tworzywem.

Chodzi o co innego, o oczywistą konstatację, że nie każdy utalentowany artystycznie człowiek jest równie utalentowany w innych dziedzinach. A zatem tak jak nie każdy piekarz będzie świetnym pilotem samolotu i nie każda nauczycielka biologii zna się równie dobrze na starożytnym Egipcie, tak nie każdy muzyk czy aktor powinien się angażować w politykę czy publicystykę. Nie powinien, co nie oznacza, że mu nie wolno. Ale jeśli nie ma odpowiednich predyspozycji, to naraża się po prostu na śmieszność. Jeszcze gorzej, jeśli politycznym ocenom towarzyszą – jak to często bywa – rytualne drwiny ze współobywateli lub wylewanie na ich głowy wiadra pomyj.

> Zbigniew Hołdys twierdzi, że jest dzisiaj „medialnym zadymiarzem". To nic, że sobie schlebia, bo jest mało skuteczny, ważne, że przynajmniej właściwie nazywa swoją obecną rolę

Ceną za taką arogancję jest zazwyczaj utrata części popularności, bo wkraczając publicznie na obszary, które dzielą ludzi, i gorliwie ustawiając się po jednej ze stron sporu, artysta musi się liczyć z tym, że jego dotychczasowy wizerunek zostaje poważnie nadszarpnięty, szczególnie w oczach tych, którzy – doceniając jego dorobek artystyczny – mają zupełnie inne poglądy polityczne. Musi mieć również świadomość, że atakując innych ludzi, wystawia się na złe emocje z ich strony.

Jest to działanie zgoła samobójcze z punktu widzenia ludzi kultury. Gdy znana i powszechnie ceniona aktorka mówi swojej widowni, że czuje się, jakby ta widownia na nią „srała", to ustawia się wobec części publiczności już nie jako artystka, lecz jako oponentka ze wszystkimi tego konsekwencjami.

Janusz Gajos sugerujący, że w obecnej Polsce rodzi się „hitleryzm", Jerzy Stuhr pomstujący na „niedouczone i niewychowane społeczeństwo", Stanisław Tym zalewający się żółcią na łamach „Polityki" oraz Krystyna Janda, która ma ochotę „zamknąć się w domu i nie wychodzić na ten kraj, nie kontaktować się z krajanami i nie identyfikować z ich ogółem", tworzą dość opłakany obraz artystów, którzy zbyt intensywnie zaangażowali się w polityczną wojnę i nie potrafią pojąć, dlaczego nie są już powszechnie kochani i akceptowani.

Oczywiście o licznych celebrytach „znanych z tego, że są znani" czy o aktorach pojawiających się częściej w plotkarskich portalach niż na scenie lub w filmie nawet tu nie wspominam, ponieważ nie odgrywają oni żadnej istotnej roli w kulturze. Wypowiadając się w mediach, chcą po prostu zwrócić na siebie uwagę ewentualnych chlebodawców lub aspirują do wyższej półki, sądząc – zapewne słusznie – że deklaracje polityczne (czytaj: antypisowskie) ułatwią im dalszą karierę.

Dziś bardzo łatwo jest być artystą przeciwnym władzy. Nie wiążą się z tym żadne wyrzeczenia, przeciwnie, można liczyć na kilkudniowe zainteresowanie mediów, rezonans w branży („jakiż ty jesteś odważny/odważna") oraz na angaże i nagrody. Wynika to z dużej jednorodności środowiska, które raźno płynie z wartkim prądem, wmawiając przy tym sobie, że kontestuje rzeczywistość. Ktoś, kto miałby inne zdanie, zostanie szybko wypchnięty za burtę, ktoś, kto się powstrzymuje, naraża się na presję. Tu – jak na obozie pionierskim – trzeba przynajmniej raz splunąć wrogom w twarz.

Nie jest to – rzecz jasna – polska specyfika. Liberalna agenda stała się dziś aktem wiary środowisk artystycznych w całym zachodnim świecie. Mamy więc i my swoje własne pseudo-Hollywood, może nie w znaczeniu produkcji filmowej, wielkich nazwisk i pieniędzy, ale na pewno w sensie politpoprawnej agitacji.

Reklama | 13/0121/F

eprasa.pl 7e1fc54e41

UPADEK KAPŁANÓW

Udział wielu artystów w politycznych akcjach jest – jak można rozumieć – rodzajem dealu. Artyści ci, wspierając antypisowską opozycję, liczą na przyszłe apanaże i uznanie od nowej władzy. Z kolei aspirujący do tej władzy mają nadzieję, że znane nazwiska zadziałają jak reklama i przekonają lud do walki z „reżimem". Tak jednak wcale nie musi być.

Zwieranie artystycznych szeregów pod hasłem rzekomej walki o wolność jest bowiem tylko zaklinaniem rzeczywistości. Artyści – podobnie zresztą jak dziennikarze, prawnicy, lekarze czy nauczyciele – cieszyli się kiedyś wielką estymą w społeczeństwie. A może im się tylko tak wydawało. Bo lud owszem podziwiał, dziękował, ale też zazdrościł niedostępnej dla szarego człowieka wielkiej sławy lub kariery. Kiedyś po cichu, ale teraz już całkiem głośno.

> Artyści cieszyli się kiedyś wielką estymą w społeczeństwie. A może im się tylko tak wydawało. Bo lud owszem podziwiał, ale też zazdrościł niedostępnej dla szarego człowieka wielkiej kariery

I nie jest tak, że „pisowski reżim" podburzył tłuszczę przeciwko światłym elitom. Te elity zrzuciła z piedestału zupełnie inna rewolucja, która w pewnym momencie wymknęła się spod kontroli. Chodzi oczywiście o internet i media społecznościowe, w których to lud sam próbuje tworzyć własne hierarchie i kreować autorytety. Próbuje, bo gdy się w końcu połapano, do czego to prowadzi, jest coraz skuteczniej korygowany, stymulowany i blokowany.

Jednak powrotu do starych czasów już nie będzie. Nadzieje, że po obaleniu „reżimu" dawni kapłani znów będą rządzić duszami, są przejawem naiwności graniczącej z głupotą. Jeżeli więc antypisowskie i wszelkie inne elity narzekają dziś, że świat został postawiony na głowie, bo lud nie kłania im się w pas i ich nie słucha, to niech kierują swoje pretensje pod adresem swoich liberalnych przyjaciół. Bo to właśnie liberałowie, wspierając z początku proces emancypacji, nie przewidzieli, że lud może mieć inne zdanie niż oni i nie zamierza się pod ich kierunkiem „oświecać".

W tym sensie Zbigniew Hołdys okazuje się bardziej spostrzegawczy od wielu artystów. Twierdzi bowiem, że jest dzisiaj „medialnym zadymiarzem". To nic, że sobie schlebia, bo jest mało skuteczny, ważne, że przynajmniej właściwie nazywa swoją obecną rolę.

REKLAMA

KASA STEFCZYKA
Zawsze u siebie

kasastefczyka.pl
801 600 100
(koszt wg taryfy operatora)

Przykład reprezentatywny z dnia 1.10.2020 r. dla Pożyczki na Nowe: Całkowita kwota kredytu wynosi 7007,00 zł. Zmienna roczna stopa oprocentowania dla całkowitej kwoty kredytu wraz z kredytowanymi kosztami (prowizją 693 zł) wynosi 7,2%. Łączny koszt prowadzenia rachunku IKS w (całym) okresie kredytowania wynosi 1749 zł. Rzeczywista roczna stopa oprocentowania (RRSO): 14,65%. Czas obowiązywania umowy – 107 miesięcy, 106 miesięcznych rat równych: 97,74 zł oraz ostatnia, 107. rata: 97,46 zł. Całkowita kwota do zapłaty: 12 206,90 zł, w tym odsetki: 2757,90 zł. Koszt połączenia wg taryfy operatora. Pożyczka na Nowe dostępna bez wychodzenia z domu dla Członków Kasy Stefczyka. Decyzja kredytowa zależy od indywidualnej oceny zdolności kredytowej.

eprasa.pl 7e1fc54e41

Jeśli chcemy mieć samodzielność w sferze przemysłowej, gospodarczej, musimy mieć niezależność energetyczną. Na samej energetyce odnawialnej i na tym gazie, który mamy bądź będziemy mieli, nie wytworzymy bezpieczeństwa energetycznego

Jedynym rozwiązaniem jest energetyka jądrowa

Jacek i Michał Karnowscy rozmawiają z prof. Maciejem Chorowskim, prezesem Narodowego Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej

Czy pandemia – dotykająca relacji człowieka z przyrodą, ze światem zewnętrznym – jest ważną cezurą również w sferze ochrony środowiska?

Maciej Chorowski: Pandemia jest ważnym doświadczeniem społecznym. Zaczęliśmy znacznie bardziej cenić bliskie otoczenie, to, co wokół nas, to, co wydawało się banalne i oczywiste. Przez długi czas nie mogliśmy z tego korzystać swobodnie, więc dziś sama swoboda poruszania się bardzo nas cieszy. Z drugiej strony jest ryzyko, że uwierzymy, iż kontakt pośredni, przez ekran, zastąpi nam relacje z innymi ludźmi.

W dużej mierze zapewne zastąpi.

Kontaktu osobistego nie da się pominąć. W kierowanej przez siebie instytucji staram się realizować zasadę, że np. spotkania cotygodniowe przynajmniej raz w miesiącu powinny się odbywać bezpośrednio. Człowiek przetwarza świat trójwymiarowo. Jeśli rozmówca jest na ekranie, nie umiemy odczytać wszystkich informacji. Objąłem stery Funduszu w środku pandemii i bardzo brakowało mi możliwości bezpośredniego spotkania z wszystkimi pracownikami, z poszczególnymi zespołami. Z drugiej strony w całej gospodarce przyspieszyła digitalizacja, uproszczono wiele działań, uporządkowano różne procedury, zaoszczędzono mnóstwo czasu, który wcześniej poświęcano na dojazdy. Ale gdy pandemia minęła – o ile już tak jednoznacznie możemy powiedzieć – z wielką łatwością i ulgą zrzucamy z siebie – w Funduszu i w całej Polsce – większość ograniczeń. Znów chętnie się spotykamy. To ważne także dlatego, że przedłużająca się izolacja może wpędzić wiele osób w poważne problemy psychiczne. Myślę więc, że pandemia i jej skutki okażą się w dużej mierze zjawiskiem przemijającym, pozostawiając jednak nawyki wykorzystywania komunikatorów w pracy zawodowej.

Nie było to więc coś, co przełamało nasze biografie na pół?

Nie sądzę. Pandemia przyspieszyła wiele procesów, które i tak by postępowały. Rozwój, który obserwowaliśmy, był mechanizmem źle zbalansowanym. Wszystko nieustannie przyspieszało, ignorując granice biologiczne człowieka i kontekst cywilizacyjny. Trzeba też pamiętać, że gdyby nie technologia, lockdowny nie byłyby możliwe. Bez internetu i łączności zdalnej pracy by nie było. Inna sprawa, że przemysł czy budownictwo pracowały bez przestojów. I w sumie na razie nie wiemy, czy zapłaciły za to większą liczbą zakażeń.

Dla części radykalnych ekologów to, że można żyć bez podróży lotniczych, z rzadka korzystając z samochodu, jest dowodem, że można żądać znacznie więcej niż wcześniej. Ekologizm będzie teraz dużo bardziej radykalny?

Społeczeństwa dostosowały się do narzuconych regulacji dość łatwo, eskalacja strachu okazała się skutecznym narzędziem. I ta sytuacja ma dwa oblicza, co oznacza, że może być w przyszłości także nadużywana.

eprasa.pl 7e1fc54e41

Tę bitwę wygrała jednak nauka. Szczepionki okazały się skuteczne i przygotowano je bardzo szybko.

Tak, to jest tryumf nauki. Z drugiej strony poglądem powszechnie akceptowanym staje się teza, że ten wirus mógł powstać za sprawą naukowców. Na pewno trzeba brać pod uwagę różne opcje, także tę, że nie stoi za nim naturalna mutacja. Można więc uznać, że jest remis: nauka poradziła sobie z problemem, który być może sama wygenerowała.

Człowiek zaczął być dla siebie niebezpieczny?

Tak. I to od pewnego czasu. W chwili gdy zatracił zdolność zdefiniowania swojego miejsca na Ziemi. Dziś coraz częściej słyszymy, że to my, ludzie, jesteśmy największym zagrożeniem dla świata, w którym żyjemy. Jeśli tak, to powinniśmy dokonać jakiegoś radykalnego samoograniczenia, które nie wiadomo gdzie ma się skończyć i kto powinien definiować tę granicę. W skrajnym przypadku można odnieść wrażenie, że celem jest nieomalże samounicestwienie, które umożliwi naturze prawdziwy rozwój.

Kieruje pan wielką instytucją, która ma wpisaną w nazwę ochronę środowiska. Jak pan rozumie to pojęcie w czasach, gdy słowo „ekologia" ma wiele znaczeń i czasem brzmi groźnie, a czasem oznacza po prostu lewicowy program polityczny?

Myślę, że trzeba się opierać na intuicyjnym rozumieniu pojęcia „ochrona środowiska". Świat jest pewnym depozytem, który został nam przekazany, wszystkim razem i każdemu z osobna i musimy go przekazać dalej. Nie powinniśmy więc go degradować czy niszczyć. Z drugiej strony „mamy sobie czynić ziemię poddaną", czyli mamy ją zagospodarowywać, korzystać z tego, co oferuje. Konieczny jest więc kompromis między korzystaniem z zasobów planety a jej skuteczną ochroną.

Czy nasze czasy przyniosły istotną zmianę w podejściu do tego kompromisu?

Do pewnego czasu atmosfera, ziemia, wody były traktowane jako nieskończone magazyny, które zawsze pozostaną takimi, jakimi są, niezależnie od tego, co do nich trafi. Przez prawie całą historię ludzkości to była zresztą prawda. Człowiek – nawet gdy zbudował pierwsze miasta – szkodził relatywnie niewiele. Zmianę przyniosły era przemysłowa i związana z nią koncentracja ludności, wraz z którą pojawiła się koncentracja zanieczyszczeń. Dziś uporaliśmy się zarówno technologicznie, jak i faktycznie ze znakomitą większością zanieczyszczeń emitowanych do powietrza na skalę przemysłową.

> W latach 60. czy 70. nawet trawa w Polsce była dużo mniej zielona niż na Zachodzie. Gdy upadał system komunistyczny, poziom katastrofy środowiskowej przypominał zniszczenia wojenne. Dziś już nie rozmawiamy o siarce w powietrzu, o różnych toksycznych pyłach. Prawie nie ma tego w przemyśle, eliminujemy też tzw. małą emisję

Także w Polsce?

Oczywiście, choć sporo jest do zrobienia w kwestii tzw. niskiej emisji generowanej przez kominy pojedynczych gospodarstw domowych. Odziedziczyliśmy po PRL bardzo zanieczyszczone środowisko, ale zdołaliśmy je w ogromnej większości oczyścić. W latach 60. czy 70. nawet trawa w Polsce była dużo mniej zielona niż na Zachodzie, i to nie tylko w przenośni. Gdy upadał system komunistyczny, poziom katastrofy środowiskowej przypominał zniszczenia wojenne. Dziś już nie rozmawiamy o siarce w powietrzu, o różnych toksycznych pyłach. Prawie nie ma tego w przemyśle, eliminujemy też tzw. małą emisję. Jesteśmy w podobnej sytuacji jak np. północne Włochy. Z polityką ochrony środowiska, rozumianą jako dążenie do utrzymania bądź odtworzenia status quo, radzimy sobie dobrze, nad tym panujemy. Nadchodzi jednak epoka, w której Narodowy Fundusz Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej staje się w istocie funduszem klimatycznym.

Teraz Fundusz będzie walczył z ociepleniem klimatu?

Coraz częściej mówi się o gwałtownych zmianach klimatycznych, a więc zarówno o ociepleniu, jak i o ochłodzeniu. O intensyfikacji różnych zjawisk pogodowych, takich jak tornada. W ramach tego procesu w Europie może teoretycznie pojawić się lodowiec, jeśli się zatrzyma Golfsztrom.

Pan wierzy, że to jest coś, co zagraża ludzkości w bliskiej perspektywie?

Obserwujemy zjawiska, co do których jeszcze nie do końca możemy stwierdzić, kiedy to są zjawiska klimatyczne, a kiedy jedynie pogodowe. Cykle pogodowe zmieniają się od wieków. W Polsce było i dużo cieplej niż obecnie, i dużo zimniej, był okres, gdy Bałtyk zamarzał. Z kolei w V w. w całej Europie szalały tak silne wichury, że – jak twierdzą niektórzy badacze – powalone zostały olbrzymie połacie drzew i nasz kontynent na dużych obszarach stał się swego rodzaju leśną pustynią. W sumie coraz więcej umiemy zmierzyć, porównać, ale pytanie, co jest przyczyną tych zjawisk, pozostaje otwarte. Czy to aktywność człowieka jest najważniejsza, czy może np. aktywność geologiczna, sejsmiczna czy astronomiczna.

Świat uznał jednak, że problemem jest dwutlenek węgla. Polska też nie może od tej tezy uciec, bo presja jest zbyt duża.

Praktycznie każda materia organiczna redukuje się ostatecznie do dwutlenku

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 7e1fc54e41

węgla. Leżąca w lesie kłoda też skończy m.in. jako dwutlenek węgla. I tu pojawia się największy znak zapytania: czy możliwe jest szybkie przejście do takiej gospodarki, która byłaby gospodarką nieemisyjną, czyli wolną od emisji dwutlenku węgla?

To jest możliwe?

Właściwie wszyscy jesteśmy zgodni, że to nie jest możliwe. Możemy jedynie dyskutować o dynamice tego procesu. Prawdą jest też, że zasoby paliw kopalnych są ograniczone. One też są teoretycznie odnawialne, ale trwa to kilkadziesiąt milionów lat, więc nie możemy tyle czekać. Musimy też pamiętać, że to, co dzieje się obecnie, to także procesy o charakterze gospodarczym. Za tym wszystkim kryją się ogromne interesy.

Energetyka odnawialna rozwiąże problemy ludzkości?

Tradycyjny miks energetyczny, budowany przez dziesięciolecia, a nawet wieki, zakładał istnienie pewnej stałej podstawy. Niektóre kraje wybrały gaz, inne węgiel, jeszcze inne atom. Uzupełnieniem tej bazy była energetyka regulacyjna, a także inne źródła. Francja postawiła na atom, Niemcy miały system bardziej zrównoważony. Dziś próbuje się zastąpić tę bazę energią odnawialną, która ma jedną podstawową wadę: nie jest stabilnym źródłem. Czasem tej energii jest dużo więcej, niż potrzeba, a później, gdy nie ma słońca, albo gdy nie wieje wiatr, zaczyna jej brakować. Pojawiają się dziury, doliny i czymś trzeba je wypełnić.

Czym?

W istocie pozostaje energetyka atomowa i gazowa. A jeśli gaz, to kluczowe są stabilne dostawy. Dlatego tak ważne dla Niemiec są gazociągi Nord Stream. Jeśli zapewniony jest gaz, można nim zastąpić dotychczasową stabilną podstawę, a więc w przypadku np. Niemiec atom i węgiel. Dodatkowo, czeka nas zapewne „prawne zazielenienie" rosyjskiego gazu, a więc przesunięcie tego paliwa do kategorii źródła ekologicznego. Do tego wystarczy np. pewna domieszka metanu ze źródeł odnawialnych, choćby z biogazowni.

Jeśli dobrze rozumiemy, Polska w tej sytuacji, przy tej presji na eliminację węgla, ma tylko jedno wyjście: elektrownie atomowe?

Europejski Zielony Ład jest konceptem wypracowanym na poziomie europejskim, ale jest on faktem i próbujemy się do niego dostosować. Uważam, że na falsyfikowanie Zielonego Ładu szkoda energii i trudno tu o dobry finał. Trzeba iść inną drogą. Bo korzystając z pasma dopuszczalnych rozwiązań, możemy dojść do dobrego miksu energetycznego. Wciąż możemy to zrobić, choć to pasmo, ta szczelina, zaczyna się coraz bardziej zawężać. Decyzje muszą więc zapadać szybko.

> Pandemia przyspieszyła wiele procesów. Rozwój, który obserwowaliśmy, był mechanizmem źle zbalansowanym. Wszystko nieustannie przyspieszało, ignorując granice biologiczne człowieka i kontekst cywilizacyjny. Ale trzeba pamiętać, że gdyby nie technologia, lockdowny nie byłyby możliwe. Bez internetu i łączności zdalnej pracy by nie było

Zapadają?

Wiele zrobiliśmy. NFOŚiGW wprowadził program „Mój Prąd", który daje dziś energetyce całe gigawaty energii z fotowoltaiki. Teraz – mając już jakąś bazę energetyki odnawialnej – zmieniamy ciepłownictwo powiatowe. Ten program zakłada remont i poważną przebudowę ok. 300 ciepłowni, działających pod rygorem ETS. Wiele z nich stoi na progu bankructwa, ponieważ cena emisji tony CO_2 przekracza już 50 euro, jest absurdalnie wysoka. Te ciepłownie muszą się stać elektrociepłowniami zasilanymi np. gazem, opartymi na turbinach gazowych, dającymi dużą stabilność. W sumie będziemy mogli powoli wypychać węgiel z podstawy naszego systemu. Ale coś w zamian musimy włożyć. Na samej energetyce odnawialnej i na tym gazie, który mamy bądź będziemy mieli, nie wytworzymy bezpieczeństwa energetycznego. Wciąż jedynym rozwiązaniem tego równania jest energetyka jądrowa.

Także bardzo często piętnowana i atakowana. Może za chwilę się okaże, że i atom jest niezgodny z polityką Unii, czyli Niemiec?

Cywilizacyjnie nie możemy sobie pozwolić na takie zaniechania, które sprawią, że później już nie będziemy mogli zbudować elektrowni atomowych. Z drugiej strony wiele ośrodków dochodzi do wniosku, że nie da się zbudować bezemisyjnej gospodarki bez tego źródła. W Europie buduje się elektrownie atomowe, wkrótce powinna ruszyć np. fińska. Jest oczywiście kwestia wyboru technologii – czy to powinny być duże reaktory, czy też małe albo bardzo małe. One są ucieczką od dużych, rosnących kosztów, mogą też zastąpić bloki węglowe o mocy 200-megawatowej.

To jednak technologia nowa, jeszcze nigdzie nieprzetestowana.

To prawda. Pamiętajmy jednak, że pasmo naszych możliwości szybko się zawęża. Czas ucieka. Musimy wybrać technologie, rozpocząć budowę i trzymać się wybranej ścieżki. Czekanie na nową generację reaktorów może być pułapką, bo się okaże, że będzie już za późno. Wciąż mamy inżynierów, którzy mają doświadczenie przy dużych projektach. Z tego zasobu, który niestety słabo się odnawia, też trzeba zdążyć skorzystać.

Czy przyjęty przez rząd Polski Ład rozstrzyga te dylematy?

Najważniejszy dokument w tej sferze to „Polityka energetyczna Polski do

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 7e1fc54e41

roku 2040" przyjęty przez rząd. On wyraźnie wskazuje na energetykę jądrową, ale podaje tak szerokie zakresy mocy reaktorów, że wybór technologii i partnera zagranicznego wciąż jest sprawą otwartą. Ważne jest to, że weszliśmy na ścieżkę transformacji energetycznej. Nie możemy się zatrzymać. Jeśli chcemy mieć samodzielność w sferze przemysłowej, gospodarczej, musimy mieć niezależność energetyczną.

Jaka będzie rola Narodowego Funduszu Ochrony Środowiska w tym procesie?

NFOŚiGW powstał ponad 30 lat temu i w pewnym sensie wyprzedził swój czas. Postawiono na instytucję, która okazała się zdolna do bycia liderem również w procesach transformacji energetycznej. To wynikało z tego, o czym już mówiłem: z konieczności podjęcia działań nadzwyczajnych po okresie PRL, który zdegradował środowisko w stopniu skrajnym. NFOŚiGW jest pewnym wyjątkiem na tle Europy. To dziś jest nasza szansa, dziś, gdy polityka ochrony środowiska zmienia się w politykę klimatyczną. Rola Funduszu będzie w mojej ocenie rosła. To instytucja, która umożliwi Polsce realizację celów na poziomie unijnym. To także instytucja, która pozwala np. łączyć osiąganie celów energetycznych z retencją, z troską o wodę. A wiemy, że woda staje się coraz cenniejsza.

Czyli konstrukcja systemu, który mamy, umożliwia równoczesne działanie na wielu polach?

Tak. Możemy i musimy myśleć bardzo odważnie, także wracając do tego, co było kiedyś. Np. wieże ciśnień mogą być traktowane nie tylko jako zbiornik wody, lecz także jako ważne elementy systemu energetycznego. Można je napełniać w chwili, gdy mamy nadmiar energii z niestabilnych źródeł odnawialnych. Co ważne, ponieważ wynosząc wodę na wysokość, uzyskaliśmy energię potencjalną, możemy później odzyskać energię elektryczną. To jednak wymaga koordynacji z polityką urbanistyczną. Świat przyszłości tak będzie wyglądał. Będzie wymagał dużej kreatywności. Ale powtarzam: to nigdy nie będą systemy w pełni autonomiczne, one potrzebują tej podstawy, którą w Polsce stanowi węgiel, a w przyszłości stanowić może atom.

> Tradycyjny miks energetyczny, budowany przez dziesięciolecia, zakładał istnienie pewnej stałej podstawy. Niektóre kraje wybrały gaz, inne węgiel, jeszcze inne atom. Dziś próbuje się zastąpić tę bazę energią odnawialną, która ma jedną podstawową wadę: nie jest stabilnym źródłem

A co z tą „starą" rolą NFOŚiGW? Z programami typu Czyste Powietrze, z akcjami typu Zmień Piec, z dotacjami na termoizolację budynków, na ich osuszanie? Z kanalizacją miast i wsi?

Ta rola oczywiście pozostanie istotna. To są programy o charakterze cywilizacyjnym, zwiększające komfort życia. To są w dużej mierze zmiany i oczekiwania pokoleniowe, związane również z nowym stylem życia. Te procesy następują naprawdę szybko, np. gdy idzie o wymianę pieców, otrzymujemy od 3 do 4 tys. wniosków tygodniowo i tyle samo decyzji podejmujemy. To są w istocie decyzje o poważnym remoncie całego domu. To największy tego typu program w Europie. Trzeba jednak działać rozważnie, adekwatnie do warunków. Nie w każdym gospodarstwie pompa ciepła jest idealnym rozwiązaniem, nie na każdym dachu powinna być instalowana fotowoltaika. Nasze programy Czyste Powietrze, Mój Prąd, Moja Woda – mają charakter indywidualny. Kierujemy ofertę, zachęcamy, kreujemy potrzebę, pokazujemy korzyści indywidualne i społeczne, ale decyzje należą do obywateli.

Fundusz finansuje wiele remontów, także obiektów zabytkowych, kościelnych. Wiemy, że presja w tej sprawie jest ogromna, często jest 10 razy więcej wniosków niż pieniędzy.

Zawsze celem remontu finansowanego przez Fundusz jest osiągnięcie celu środowiskowego. Chodzi więc o to, aby dany obiekt mniej emitował czy był mniej energochłonny. Budynki użyteczności publicznej, zabytki, kościoły, bardzo dobrze wpisują się w misję NFOŚiGW. One służą społeczeństwu, nam wszystkim, mają też obiektywną wartość historyczną, kulturalną, którą trzeba zachować także podczas modernizacji. Tej misji dbałości o polskie dziedzictwo Fundusz nie porzuci.

eprasa.pl 7e1fc54e41

Mroczny instynkt drapieżnika

Nigdy nie przestają być niebezpieczni. Przestępcy seksualni są jak bomba, która w każdej chwili może wybuchnąć. Czy niektórym zbrodniom można zapobiec?

MAJA NARBUTT

Gdyby na naszej wycieraczce stanął dobrze ubrany, sympatycznie wyglądający mężczyzna, moglibyśmy bez oporów otworzyć mu drzwi. I nawet zaprosić do domu, jeśliby nas elokwentnie przekonał. Co innego gdybyśmy zobaczyli kogoś zaniedbanego, niepotrafiącego się wysłowić. A różnica polegałaby tylko na tym, że ten pierwszy byłby seryjnym zabójcą typu zorganizowanego, a drugi niezorganizowanego – mówi mi dr Maciej Szaszkiewicz, emerytowany adiunkt z krakowskiego Instytutu Ekspertyz Sądowych.

Jest jednym z pierwszych polskich profilerów, czyli ekspertów tworzących portrety psychologiczne sprawców najcięższych przestępstw.

Nie ma wątpliwości, że przeciętny człowiek nie potrafi się w porę zorientować, że ma do czynienia z psychopatycznym zabójcą czy przestępcą na tle seksualnym. Takie kompetencje powinni mieć biegli sądowi i cały wymiar sprawiedliwości. Zbyt często jednak popełniają błędy, których konsekwencje są tragiczne. Tak było w przypadku zbrodni, która kilka tygodni temu zbulwersowała opinię publiczną. Optyk z Sosnowca uprowadził z ulicy 11-letniego Sebastiana. Przetrzymywał chłopca i następnie go udusił.

– Sprawca, który zabił to dziecko, powinien zostać potraktowany jako poważne zagrożenie znacznie wcześniej. Już wiele lat temu należało mu się przyjrzeć bardzo dokładnie. Właściwie powinien być jak pod szkłem powiększającym, zbadany i czujnie obserwowany – mówi dr Maciej Szaszkiewicz. W sposobie działania Tomasza J. dostrzega pewien złowrogi wzór. – Z pozoru spokojny, prowadzący banalne i uporządkowane życie człowiek może mieć swoją mroczną stronę. Zwykłe życie mu nie wystarcza. Nie cofnie się przed niczym, żeby zrealizować swoje seksualne fantazje. Nie ma żadnych skrupułów ani wyrzutów sumienia. Jest jak myśliwy, który poluje – opowiada.

Po raz pierwszy Tomasz J. zapolował 13 lat temu. Tak jak teraz, znalazł na ulicy chłopca i wciągnął do samochodu. Sprawa nie miała wtedy tragicznego finału – przerażone dziecko wróciło do domu. Jednak okoliczności tej historii są bulwersujące – policja zatrzymała wówczas Tomasza J., ale prokurator i sąd potraktowali go pobłażliwie. Uznali najwyraźniej, że zwabienie dziecka do samochodu i przetrzymywanie w piwnicy, nakłanianie do pozowania nago, a także posiadanie pornografii dziecięcej nie jest czymś szczególnie nagannym ani niepokojącym.

Tomasz J. dostał dwa lata w zawieszeniu, a o tak łagodny wyrok wnioskował sam prokurator. Wyrok zapadł zaocznie, matka uprowadzonego dziecka zaś twierdzi, że nie wiedziała nawet, że może się od niego odwołać.

– To zaskakująco łagodna kara. Oczywiście 13 lat temu była inna filozofia karania niż teraz, ale nawet jak na ówczesne czasy wyrok może się wydawać dziwny. Dziś zresztą podobna sytuacja nie mogłaby się zdarzyć, bo wyroku dwóch lat nie można dostać w zawieszeniu – mówi karnista i adwokat prof. Piotr Kruszyński.

Przykład Tomasza J. pokazuje, jak przestępcy na tle seksualnym mogą się prześlizgiwać przez sito wymiaru sprawiedliwości. Bulwersujące jest zwłaszcza to, że sąd oparł się wówczas na opinii biegłego, który uznał, że Tomasz J. nie ma skłonności pedofilskich. Eksperci mogą się mylić, a postawienie diagnozy jest trudne – w ten sposób niektórzy prawnicy starają się teraz usprawiedliwić fatalny błąd biegłego,

eprasa.pl 7e1fc54e41

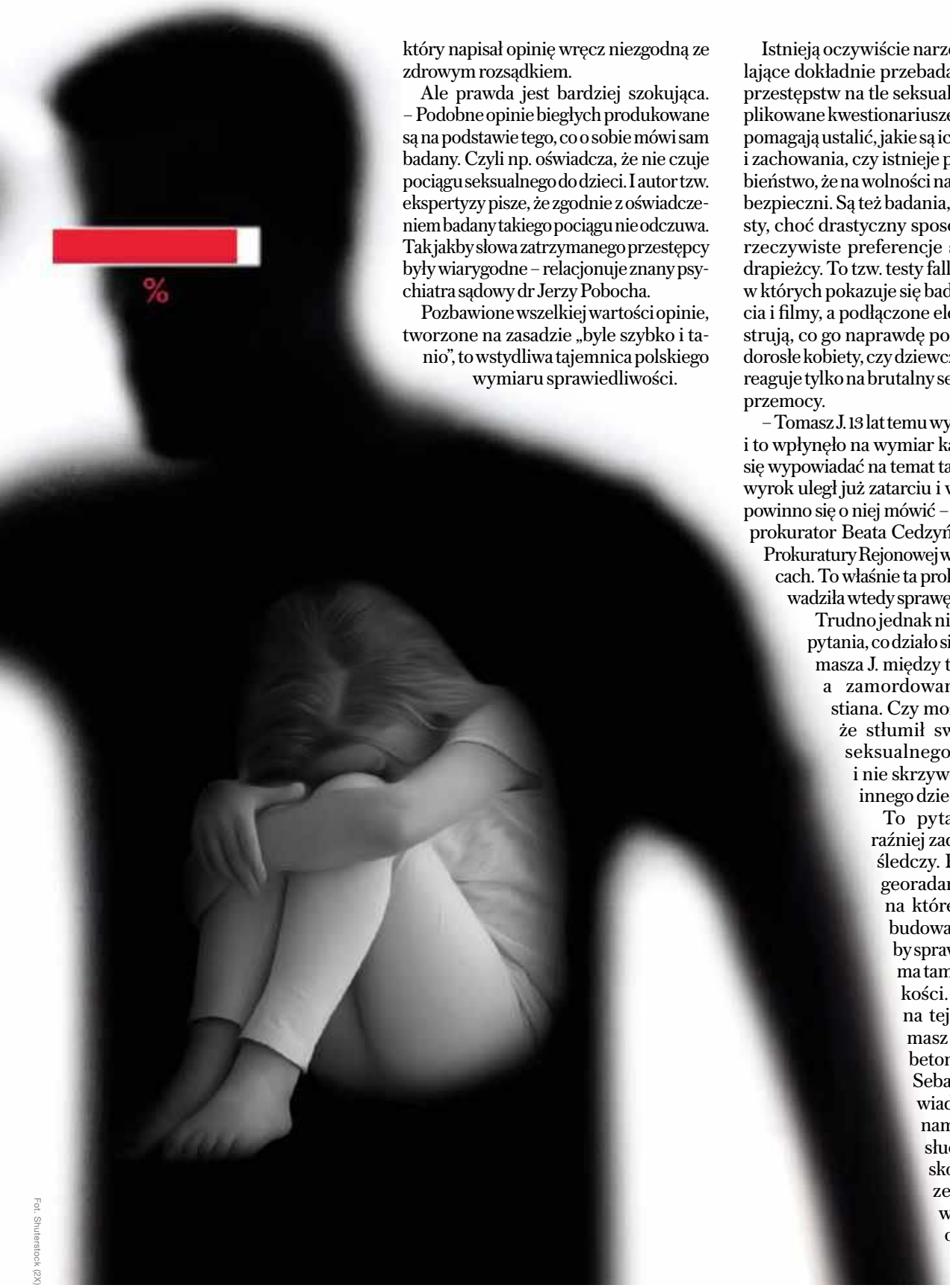

Fot. Shutterstock (2X)

który napisał opinię wręcz niezgodną ze zdrowym rozsądkiem.

Ale prawda jest bardziej szokująca. – Podobne opinie biegłych produkowane są na podstawie tego, co o sobie mówi sam badany. Czyli np. oświadcza, że nie czuje pociągu seksualnego do dzieci. I autor tzw. ekspertyzy pisze, że zgodnie z oświadczeniem badany takiego pociągu nie odczuwa. Tak jakby słowa zatrzymanego przestępcy były wiarygodne – relacjonuje znany psychiatra sądowy dr Jerzy Pobocha.

Pozbawione wszelkiej wartości opinie, tworzone na zasadzie „byle szybko i tanio", to wstydliwa tajemnica polskiego wymiaru sprawiedliwości.

Istnieją oczywiście narzędzia pozwalające dokładnie przebadać sprawców przestępstw na tle seksualnym. Skomplikowane kwestionariusze i testy, które pomagają ustalić, jakie są ich motywacje i zachowania, czy istnieje prawdopodobieństwo, że na wolności nadal będą niebezpieczni. Są też badania, które w prosty, choć drastyczny sposób ujawniają rzeczywiste preferencje seksualnego drapieżcy. To tzw. testy fallometryczne, w których pokazuje się badanemu zdjęcia i filmy, a podłączone elektrody rejestrują, co go naprawdę podnieca – czy dorosłe kobiety, czy dziewczynki, a może reaguje tylko na brutalny seks z użyciem przemocy.

– Tomasz J. 13 lat temu wyraził skruchę i to wpłynęło na wymiar kary. Nie chcę się wypowiadać na temat tamtej sprawy, wyrok uległ już zatarciu i właściwie nie powinno się o niej mówić – opowiada mi prokurator Beata Cedzyńska, szefowa Prokuratury Rejonowej w Siemianowicach. To właśnie ta prokuratura prowadziła wtedy sprawę Tomasza J.

Trudno jednak nie zadać sobie pytania, co działo się w życiu Tomasza J. między tamtą sprawą a zamordowaniem Sebastiana. Czy można wierzyć, że stłumił swój instynkt seksualnego drapieżcy i nie skrzywdził żadnego innego dziecka?

To pytanie najwyraźniej zadają sobie też śledczy. Przeszukano georadarem posesję, na której Tomasz J. budował nowy dom, by sprawdzić, czy nie ma tam zakopanych kości. To właśnie na tej działce Tomasz J. chciał zabetonować zwłoki Sebastiana. Opowiadał o tym beznamiętnie, przesłuchującym go skojarzyło się to ze sposobem, w jaki można odczytywać menu w restauracji.

eprasa.pl 7e1fc54e41

SCENARIUSZ MORDERCY

Emocji związanych z popełnioną zbrodnią nie zdradza też Dawid J., który kilka tygodni temu udusił 18-letnią Magdę. To nie było jego pierwsze morderstwo. 15 lat wcześniej zgwałcił i zabił 13-letnią Sylwię. Miał wówczas zaledwie 14 lat i został uznany za najmłodszego przestępcę seksualnego Europy. Trafił do poprawczaka, w czasie przepustki molestował młodszą siostrę.

– Dobrze ułożony, grzeczny, mógł sprawiać dobre wrażenie. W Szczecinie w schronisku dla nieletnich, gdzie trafił po ucieczce z poprawczaka, badała go psychiatra. Zadała mu pytanie: „Jak spojrzysz w oczy ludziom ze swojej wsi, gdy już wyjdziesz na wolność?". Popatrzył na nią spokojnie: „Jakoś to będzie" – opowiada dr Pobocha.

W wieku 18 lat Dawid J. wyszedł z poprawczaka i wrócił do rodzinnego Sulikowa. To rodzina zamordowanej przez niego Sylwii wyprowadziła się ze wsi, nie mogąc znieść obecności zabójcy. On sam napadł jeszcze z nożem na kobietę i odsiedział za to dwa lata. Później pozornie ułożył sobie życie, znalazł partnerkę, urodziło mu się dwoje dzieci.

A potem znów zabił.

– Dlaczego przestępcy zabijają na tle seksualnym? Często dlatego, że coś im nie wyszło. Nie tak miało być. Sprawca miał ułożony dokładny scenariusz, wszystko sobie zaplanował i wyobraził. Ale rzeczywistość okazała się inna. Zawodzi np. fizjologia. Przestępca uważa, że kobieta go ocenia. Nie sprawdził się jako mężczyzna, ośmieszył się, więc usuwa świadka swej kompromitacji – tłumaczy psycholog prof. Kazimierz Pospiszyl, autor akademickiego podręcznika o przestępcach na tle seksualnym.

Zdarza się też, że przestępca zabija, bo chce uniknąć odpowiedzialności. Dochodzi do wniosku, że ofiara przyczyni się do jego ujęcia. Jedenastoletni Sebastian zapewne przypieczętował swój los, gdy w dziecięcej naiwności powiedział Tomaszowi J., że o wszystkim powie mamie.

Decyduje zimna kalkulacja – przestępca myśli o swoim czynie wyłącznie w kategoriach kary, jaka może go spotkać. Brutalna eliminacja osoby, która go pogrąży, wydaje mu się logicznym rozwiązaniem.

NAJWAŻNIEJSZE TO PRZEŻYĆ

Doktor Pobocha przeprowadził niezliczone rozmowy z przestępcami na tle seksualnym. Powtarzał się ten sam wątek – nawet jeśli sprawca nie miał zamiaru zabijać ofiary, to decydował się na to w mgnieniu oka, gdy poczuł, że może go zdemaskować.

– Słyszałem często: „Panie doktorze, po gwałcie nawet byłem zadowolony, rozładowałem napięcie. Ale wtedy ona powiedziała: zgnijesz w więzieniu, zgłoszę się na policję. Więc zacisnąłem ręce na jej szyi" – opowiada dr Pobocha.

> Przestępca myśli o swoim czynie wyłącznie w kategoriach kary, jaka może go spotkać. Brutalna eliminacja osoby, która go pogrąży, wydaje mu się logicznym rozwiązaniem

Zastanawiał się nawet, czy nie przekazać kobietom swojej zgromadzonej przez kilkadziesiąt lat wiedzy. Nauczyć, jak unikać sytuacji niebezpiecznych i jak się zachować, gdy dojdzie do przestępstwa. Ale kiedy zaproponował działaczkom Kongresu Kobiet, by zorganizować takie szkolenia, przyjęły to zimno.

Wiktymologia to gałąź kryminologii, która zajmuje się ofiarami przestępstw. Ostatnio nie jest popularna. Poprawność polityczna sprawia, że mówienie o tym, co ma robić kobieta, by nie paść ofiarą gwałtu, jest traktowane jako obwinianie ofiary. A przecież chodzi o to, by kobiety znały zasady survivalu – jak przetrwać nawet w ekstremalnej sytuacji. Brzmi to nie najlepiej, ale gdy sprawca jest wyjątkowo brutalny, dr Pobocha radzi, by nie stawiać zaciętego oporu. Bo najważniejsze jest, aby przeżyć.

– Niektóre kobiety walczą do ostatniej krwi i kończą z rozbitą czaszką lub wybitym okiem. Ale przede wszystkim absolutnie nie powinny zdradzić, że mają zamiar natychmiast zgłosić gwałt na policję. Pamiętam taką sprawę: sprawca zgwałcił portierkę w hotelu. Rozegrała to psychologicznie: wyszedł z hotelu przekonany, że nie powie o gwałcie nikomu, nawet się pożegnał. Przez szybę zobaczył, że sięga po telefon. Rzucił się w jej kierunku, ale drzwi były już zamknięte – opowiada dr Pobocha.

PATRZĄC W OCZY OFIARY

Jednak czasem ofiara przestępcy seksualnego od początku jest bez szans. To najgorsze, najmroczniejsze przypadki, które zna każdy profiler czy doświadczony psychiatra sądowy.

– Są sprawcy, którzy mają w swej głowie własny program seksualny. Do osiągnięcia satysfakcji potrzebne jest im cierpienie ofiary. Najgorsi chcą widzieć, jak uchodzi z niej życie, do końca patrzą jej w oczy. Nic innego ich nie zadowala – mówi dr Szaszkiewicz.

Jeśli powstanie sadystyczny wzorzec zachowań seksualnych, sprawca zwykle będzie go powtarzał. Między popełnianymi przez niego zbrodniami może upłynąć sporo czasu, ale powtórzenie zbrodni jest bardzo prawdopodobne.

Przypadek, który zapamiętał dr Jerzy Pobocha, dotyczył mężczyzny, który podczas seksu z kobietą został przez nią wyśmiany. Zabił ją, odciął piersi i poczuł, że dopiero to sprawiło mu prawdziwą przyjemność.

– Został skazany, odsiedział wyrok. Wyszedł na wolność, ożenił się, miał dzieci Ale rozstał się z żoną. I wtedy umówił się z inną kobietą, zabił ją i odciął jej piersi – opowiada dr Pobocha. Jak mówi, jego praktyka przekonała go, że przestępcy na tle seksualnym są jak materiał wybuchowy – wystarczy impuls, by doszło do eksplozji.

Powtarzający się ponury schemat widać także w historii Dawida J., zabójcy dwóch nastolatek. Zaatakował je i udusił, ciała usiłował ukryć, a przesłuchiwany przez śledczych kluczył i wymyślał inną wersję wydarzeń.

eprasa.pl 7e1fc54e41

Rokowania w przypadku przestępców na tle seksualnym są z reguły niedobre. Przyczyna jest prosta: sprawca wie, że jego zachowania są społecznie nieakceptowane i podlegają karze, ale zazwyczaj nie chce uznać, że są naprawdę złe.

POPĘD NA SMYCZY

– Nie wymyślono niczego lepszego niż terapia poznawczo-behawioralna. Nie trzeba szukać nowych rozwiązań. Należy sięgnąć po te przyjęte na świecie, uczyć przestępcę, jak ma zmienić swoje reakcje i zachowania – mówi mi prof. Wojciech Zalewski, kierownik Zakładu Kryminologii na Wydziale Prawa i Administracji Uniwersytetu Gdańskiego.

Terapię sprawców przestępstw na tle seksualnym, przede wszystkim pedofilów, prowadzi się w kilku zakładach karnych, m.in. w Rawiczu i Rzeszowie. Zazwyczaj jest to terapia grupowa, więźniowie spotykają się raz w tygodniu. To bardzo mało, zwłaszcza że przeciętnie terapia trwa rok. Tymczasem, aby się powiodła, jak twierdzą specjaliści, powinna trwać całe lata.

Mówiąc, że skazany odbywa karę w systemie terapeutycznym, uspokaja się więc sumienie, że zrobiło się wszystko, co możliwe. W rzeczywistości prawdopodobieństwo, że trwale się zresocjalizowało pedofila, jest małe. Jak nieoficjalnie mówi mi profesor psychologii, autor prac naukowych na temat przestępstw na tle seksualnym, teoretycznie należy każdemu dać szansę i wierzyć, że z niej skorzysta. Jednak on sam nie zgodziłby się, by nawet po zakończonej terapii pedofil, który dopuścił się poważnych przestępstw, przebywał w towarzystwie jego wnuka.

Podstawowym problemem skuteczności terapii jest bowiem to, czy sprawca wytrenuje hamowanie popędu seksualnego. Tak naprawdę musi stale trzymać swój popęd na smyczy, praktycznie godząc się na celibat. A tego zazwyczaj nie chce zrobić i – jak przyznają specjaliści – najchętniej usłyszałby, że nie ma szans na wyleczenia. Byłoby to dla niego rodzajem usprawiedliwienia.

Dlatego właśnie prędzej czy później w debacie o przestępstwach seksualnych pojawia się termin „kastracja" – chemiczna lub nawet chirurgiczna.

LEK LUB SKALPEL

Większość Polaków jest za przymusową kastracją pedofilów. Kiedy ponad dziesięć lat temu dyskutowano nad chemiczną kastracją, badanie TNS OBOP pokazało, że akceptuje ją prawie 70 proc. Z późniejszych badań, już nie na taką skalę, bo przeprowadzanych dla celów naukowych, wynika, że nic się nie zmieniło, co więcej, większość respondentów chętnie wprowadziłaby nawet kastrację chirurgiczną.

Mniej entuzjastyczni są z reguły prawnicy, którzy uważają, że kastracja powinna być przeprowadzana wyłącznie na wniosek pedofila.

Tak naprawdę stosowana w Polsce chemiczna kastracja oznacza podawanie leków, które zmniejszają ilość testosteronu i obniżają popęd.

– Pociąga to za sobą przykre skutki uboczne. Prowadzi do atrofii jąder, może spowodować osteoporozę, przerost sutka, cukrzycę, uszkodzenie wątroby. Budzi spore kontrowersje i powinna być dobrowolna – wyjaśnia prof. Wojciech Zalewski.

Gdy odstawi się leki, po dwóch miesiącach poziom testosteronu wraca do normy. Oznacza to, że kontrola przestępcy seksualnego, który po odbyciu kary wychodzi na wolność, jest fikcją.

Dlatego pojawia się pomysł, by zamiast leków użyć skalpela. – Kastracja chirurgiczna, w przeciwieństwie do chemicznej, jest nieodwracalna. Uznaje się ją za sprzeczną z artykułem trzecim europejskiej konwencji praw człowieka, który zakazuje tortur i nieludzkiego lub poniżającego traktowania. Trudno więc sobie wyobrazić, by można ją było u nas wprowadzić, choć zrobiły to w swoim czasie Niemcy i Czechy – mówi prof. Zalewski.

Jednak chociaż prawnicy wstrzemięźliwie wypowiadają się o kastracji, to zupełnie inaczej traktują to specjaliści, którzy w praktyce stykają się z przestępstwami na tle seksualnym.

– Gdy mówi się o kastracji, zawsze podnosi się krzyk, że to barbarzyńskie i nieludzkie. Nikt nie używa tego argumentu, gdy chirurgicznie zmienia się płeć lub przeprowadza podobne operacje ze wskazań medycznych – mówi dr Pobocha. – Jeśli położy się na jednej szali dobro i godność przestępcy seksualnego, a na drugiej jego ofiar, także tych potencjalnych, wybór wydaje mu się oczywisty – dodaje.

Istnieje jeszcze jedna możliwość kontroli przestępców na tle seksualnym, o której wspominają moi rozmówcy. To na razie temat nieznany opinii publicznej, ale rozmawia się o nim już na konferencjach naukowych. Wszczepianie czipów pedofilom i gwałcicielom jest podobno całkiem bliską perspektywą. Kryminolodzy i psychiatrzy, z którymi rozmawiałam, wypowiadają się o tym z entuzjazmem.

Niektórzy mają już nawet przemyślane szczegóły. Jak powiedział mi dr Paweł Moczydłowski, kryminolog i były szef więziennictwa, czipy powinno się wszczepiać pod kręgosłup, by przestępca nie mógł ich usunąć.

PRZESTĘPCA W OCHRONCE

To odwieczny spór prawny: czy najważniejsza jest nieuchronność kary, czy jej surowość. W przypadku przestępstw na tle seksualnym problem polega na tym, że nawet świadomość nieuchronności kary często nie powstrzymuje sprawców. Popęd seksualny nie wygasa, lecz stale się odradza. Zostają złapani, odsiadują karę i znów popełniają takie same brutalne przestępstwo. Jak określa się to w kryminalistyce, niektórzy to tzw. sprawcy niepoprawni.

– Ile razy można im dawać szansę? Jeśli w ten sposób odbiera się ją ich potencjalnym ofiarom? – pyta dr Maciej Szaszkiewicz.

Długotrwała izolacja przestępców na tle seksualnym jest więc traktowana jako forma ochrony społeczeństwa. Wszystko wskazuje na to, że zarówno Tomasz J., który zabił 11-letniego Sebastiana, jak i Dawid J., zabójca Sylwii i Magdy, trafią do więzienia na bardzo długo, nawet jeśli nie zostanie wprowadzona postulowana przez ministra Ziobrę kara bezwzględnego dożywotniego więzienia.

Czeka ich zresztą nie tylko izolacja od społeczeństwa, ale także od innych więźniów. – Trafią do „ochronki", jak w slangu więziennym określa się specjalnie chronione cele. Więzienna subkultura odtrąca pedofilów i sprawców przestępstw tzw. majtkowych. Są na samym dnie hierarchii – mówi dr Paweł Moczydłowski.

eprasa.pl 7e1fc54e41

UNICEF pochwala pornografię

UNICEF, agenda ONZ mająca w założeniu poprawiać sytuację najmłodszych, przygotowała raport, z którego wynika, że pornografia nie musi być szkodliwa dla dzieci

DOROTA ŁOSIEWICZ

Według UNICEF treści o charakterze pornograficznym mogą być okazją do odpowiedzi na pytania związane z dojrzewaniem i tożsamością seksualną. W opracowaniu zatytułowanym „Digital Age Assurance Tools and Children's Rights Online across the Globe", wywołanym kwestią zabezpieczeń wprowadzanych przez niektóre państwa w celu uniemożliwienia dzieciom dostępu do treści pornograficznych w internecie, UNICEF się martwi, co stanie się z permisywną edukacją seksualną w sieci. Agenda ONZ przywołuje badanie przeprowadzone w 19 krajach europejskich. W raporcie czytamy, że w większości krajów przeważająca liczba dzieci, które oglądały obrazy o charakterze seksualnym w internecie, „nie była ani zdenerwowana, ani szczęśliwa (od 27 proc. w Szwajcarii do 72 proc. na Litwie); od 10 proc. do 4 proc. było dość lub bardzo zdenerwowanych; a od 3 proc. dzieci (w Estonii) do 39 proc. (w Hiszpanii) przyznało, że czują się szczęśliwe po obejrzeniu takich zdjęć". Niestety w badaniach, o których mowa, określano stan dziecka w momencie oglądania treści o charakterze pornograficznym i w żaden sposób nie odnoszono się do długofalowych konsekwencji.

– Ta agenda ONZ została założona, aby pomagać dzieciom przesiedlonym po II wojnie światowej. Krytycy twierdzą, że UNICEF oddalił się daleko od swojej założycielskiej wizji, a to wezwanie do dostępu dzieci do pornografii pod przykrywką praw człowieka i edukacji seksualnej podkreśla tę zmianę – nie ma wątpliwości dr Sabina Zalewska, psychoterapeutka związana z Mazowieckim Centrum Psychoterapii.

– W 2018 r. kompulsywne zachowania seksualne wpisano jako chorobę do klasyfikacji WHO (dzięki m.in. polskim badaniom). Dr hab. Mateusz Gola przeprowadził wraz z zespołem bardzo szczegółowe badania w tym zakresie. Aż 4/5 osób, które zgłaszają się po pomoc w związku z problematyczną hiperseksualnością, deklaruje, że ich głównym problemem jest korzystanie z pornografii. A pozostała 1/5 to ci, dla których głównym problem jest korzystanie z płatnych usług seksualnych lub ryzykowne zachowania seksualne – dodaje dr Zalewska.

Prof. Gola stwierdza, że w grupie wiekowej 18–30 lat z pornografii raz w tygodniu korzysta przynajmniej 80 proc. mężczyzn i ok. 30 proc. kobiet. Zdaniem badacza średni szacowany wiek pierwszego zetknięcia się z pornografią to 10 lat. – Wśród dzieci i młodzieży odsetek chłopców i dziewczynek korzystających z pornografii jest już prawie równy – diagnozuje Gola. Jak przypuszcza, z czasem liczba osób w społeczeństwie, które korzystają z pornografii, będzie wzrastała.

Według danych Instytutu Profilaktyki Zintegrowanej, przeprowadzonych na grupie ponad 10 tys. uczniów II i III klas szkół gimnazjalnych, wśród dzieci w wieku 14–16 lat blisko 60 proc. chłopców i ponad 20 proc. dziewcząt przyznaje się do oglądania pornografii. Co więcej, nie jest to kwestia przypadkowych kontaktów, tylko regularnego dostępu do takich treści. Niestety aż co czwarty rodzic nie zdaje sobie sprawy z tego, że problem jest aż tak poważny. Aż 25,3 proc.

Fot. M.Moira/Shutterstock

eprasa.pl 7e1fc54e41

rodziców przyznaje, że nie wie, czy dziecko ogląda treści wulgarne i zawierające przemoc. To z kolei wynika z badania NASK „Rodzice nastolatków 3.0".

Badania nie pozostawiają wątpliwości, że korzystanie z pornografii przez dzieci bywa dla ich mózgu dewastujące. Niezależnie od tego, czy układ nerwowy jest pobudzany przez środki psychoaktywne, czy też bodźce seksualne, w obu przypadkach ścieżka pobudzenia jest ta sama. Nielimitowany czasem i ilością dostęp do pornografii doprowadza u jej odbiorcy do nieznanej wcześniej hiperstymulacji mózgu, do czego nie jest on ewolucyjnie przygotowany i może prowadzić do uzależnienia. To zaś pociąga za sobą poważne konsekwencje. Chłopcy mający częsty kontakt z pornografią częściej rozpoczynają inicjację seksualną przed 15. rokiem życia. U osób korzystających z pornografii zauważa się efekt eskalacji, tzn. potrzebę sięgania po coraz bardziej ekstremalne treści. Mózg dostosowuje się do bodźców, które wcześniej sprawiały przyjemność i aby osiągnąć ponownie zaspokojenie, sięga się po coraz mocniejsze stymulanty.

Warto zauważyć, że publikacja raportu przez UNICEF odbyła się zaledwie kilka dni po tym, gdy Amerykańska Agencja ds. Rozwoju Międzynarodowego ogłosiła odnowienie wieloletniego partnerstwa z UNICEF, przeznaczając dodatkowe 300 mln dol. na działalność organizacji. Stany Zjednoczone są największym darczyńcą UNICEF, którego finansowanie w 2020 r. osiągnęło prawie 994 mln dol. w programach humanitarnych i rozwojowych.

– Na podstawie dostępnych badań stwierdzenia UNICEF są żenujące i śmieszne. Przerażające jest to, że głosi to organizacja z takimi ideami.

Mnie zastanawia dotacja z USA, która stoi za raportem. Jakie lobby ją przyznało? Wszyscy wiedzą, że od czasów fałszywych badań Alfreda Charlesa Kinseya machina finansowa związana z konsumpcją pornografii jest ogromna. Stoją za tym wielkie pieniądze. Wciąż poszukuje się nowych rynków i obszarów zbytu. Dzieci są idealne do tego celu. Są grupą, która dotychczas nie była tu konsumentem. Poza tym jest duża pewność, że jeśli zainteresowanie pornografią zacznie się już w młodym wieku, to zaburzenie się utrwali i z biegiem czasu taka osoba stanie się stuprocentowym konsumentem takich treści. Tak czy inaczej nie zmierza to ku dobru dziecka, a sprzedaży pornografii i powiązanych z tą branżą akcesoriów. A badania, na które powołuje się UNICEF, budzą moje poważne zastrzeżenia metodologiczne. Bo jeśli dziecko, widząc pornografię, nie czuje szczęścia, to o niczym jeszcze nie świadczy. A wnioski z tego są zbyt daleko idące – komentuje dr Zalewska.

W badaniu „2020 EU Kids Online Study", na którym opierają się eksperci UNICEF, stwierdzono, że niektóre dzieci i młodzież „celowo poszukują treści o charakterze seksualnym" z różnych powodów, a oglądanie obrazów seksualnych „może również stanowić okazję" do udzielenia odpowiedzi na pytania dotyczące dojrzewania i tożsamości seksualnej. Badanie zachęcało do „dostrzegania niuansów", które prowadzą dzieci do wyszukiwania i oglądania treści seksualnych w internecie.

Natomiast UNICEF twierdzi, że wszelkie próby zablokowania dzieciom dostępu do pornografii mogą naruszać prawa człowieka. Agenda ONZ wywodzi swoje twierdzenie z międzynarodowego paktu praw obywatelskich i politycznych. „Zaprojektowanie bardziej zniuansowanego systemu klasyfikacji wiekowej wiązałoby się z dodatkowymi wyzwaniami, ponieważ wymagałoby ustalenia jaśniejszej definicji pornografii, a także klasyfikacji w ramach tej definicji, która byłaby odpowiednia dla różnych grup wiekowych" – stwierdza raport UNICEF, martwiąc się o projektowane w różnych krajach ograniczenia dostępu do treści pornograficznych. „Z punktu widzenia praw potrzebna byłaby szczególna ostrożność, aby uniknąć wykluczania dzieci z dostępu do informacji o zdrowiu seksualnym i reprodukcyjnym w internecie: edukacja seksualna, w tym zasoby do edukacji w zakresie LGBTQ, może być w niektórych kontekstach sklasyfikowana jako pornografia" – czytamy w dokumencie.

– Tezy UNICEF wpisują się w ogólnoświatowy trend promowania tzw. edukacji seksualnej, która w modelu proponowanym przez WHO jest de facto wulgarną seksualizacją dzieci. Świadczą o tym treści zawarte w tzw. standardach WHO, w których można znaleźć zachęty do informowania dzieci (w wieku do 4 lat) o „radości i przyjemności z dotykania własnego ciała", „różnych rodzajach związków i rodzin", a także „orientacjach płciowych" czy „prawa do badania tożsamości płciowych". Co ciekawe w parze z tym zjawiskiem idzie w późniejszym wieku promowanie antykoncepcji oraz lansowanie rzekomego „prawa do aborcji". Rewolucja kulturowa niesie ze sobą także zachętę do częstych zmian partnerów seksualnych i wczesnej inicjacji seksualnej. Z pewnością choćby częściowe przyzwolenie na konsumpcję pornografii przez dzieci i młodzież tylko przyspieszy postępującą seksualizację i deprawację – nie ma wątpliwości Paweł Ozdoba, prezes Centrum Życia i Rodziny.

– UNICEF jest doskonałym przykładem tego, jak lewacki marsz przez instytucje zmienia je i degeneruje – twierdzi Marek Grabowski, prezes Fundacji Mamy i Taty. – Pornografia, której elementem jest niewolnictwo kobiet, gwałty, przemoc, rozmaite zwyrodnienia natury psychicznej, jest tym „produktem", przed którym powinno się chronić dorosłych i dzieci. Zwłaszcza dzieci, którym kontakt z tak drastycznymi treściami zmienia postrzeganie budowania relacji międzyludzkich, płciowości, w końcu rozbudzając je seksualnie, naraża na pedofilię – dodaje Grabowski.

Dr Zalewska przywołuje niedawno zasłyszaną wypowiedź seksuologa prof. Zbigniewa Izdebskiego, która ją zaskoczyła. – Chodzi o propozycję zmiany kategorii w badaniach młodych ludzi prostytuujących się. Z kategorii negatywnej na styl życia. Bo się upowszechnia. To właśnie dzieci i młodzież korzystający z pornografii później trafiają do tej grupy – mówi psychoterapeutka.

– Zajęcia performatywne z seksedukacji, które chce wprowadzić Rafał Trzaskowski, a przeciwko którym protestują rodzice zrzeszeni wokół Fundacji Mamy i Taty, bezpłatne hostele dla LGBT, gdzie być może będą przebywać osoby małoletnie, czy też zalew programów atakujących dzieci brutalną golizną. Z tym jako rodzicom przychodzi nam się zmagać. I niech nie uspokajają nas pseudoraporty, że oglądanie pornografii nie przynosi strat psychicznych i duchowych – dodaje Marek Grabowski.

Kto wie, może kolejny raport UNICEF będzie dowodził, że prostytucja wśród młodzieży wcale nie jest zła. A rodzicom pozostaje czujność.

eprasa.pl 7e1fc54e41

Polski duch ukształtował się na Kresach

W wielu miejscach na Ziemiach Odzyskanych spotyka się ludzi, którzy mówią, że nie do końca są u siebie, mimo że to już trzecie, czwarte pokolenie, to jednak sentyment, opowieści rodziców i dziadków swoje robią. W obecnym województwie lubuskim jest najwięcej tych przybyszów ze Wschodu i tam te tradycje są najsilniejsze

Z Adamem Hlebowiczem, dyrektorem Biura Edukacji Narodowej Instytutu Pamięci Narodowej, rozmawia Aleksandra Jakubowska

GOŚĆ JAKUBOWSKIEJ

Za czym tęsknią Kresowianie?

Adam Hlebowicz: Za utraconą Atlantydą, czyli za dzieciństwem, przyjaciółmi, domem rodzinnym, niekoniecznie musi to być od razu dwór czy pałac, bo w nich mieszkali nieliczni. To jest tęsknota za czymś, co bezpowrotnie zostało utracone przez tych ludzi, te pokolenia. Dochodzi jeszcze do tego utracona ziemia, relacje międzyludzkie, spotkania, wielokulturowość ziem wschodnich dawnej Rzeczypospolitej. Jakbyśmy sobie różne regiony dawnej Rzeczypospolitej zważyli na wadze, nie da się oczywiście powiedzieć, że Wileńszczyzna jest ważniejsza od Wielkopolski, natomiast jeśli popatrzymy na to, co na tych Kresach powstawało, nie tylko tych II Rzeczypospolitej, ale głębiej się cofając – i Mińsk, i Kamieniec Podolski, i Żytomierz, właściwie ziemie pod Smoleńsk podchodzące, Dzikie Pola – to się okazuje, że to, kim jesteśmy dzisiaj, jakimi jesteśmy Polakami, w dużej mierze zostało ukształtowane właśnie tam na Wschodzie, stamtąd wywodzi się taka liczba wspaniałych wieszczów, literatów, ale także mężów stanu, jak Józef Piłsudski czy Ignacy Paderewski, a także trzech królów Polski.

Cofnijmy się do momentu, kiedy w Jałcie ustalono naszą wschodnią granicę i zaczął się exodus. Używa się nie bardzo lubianego przez historyków słowa „repatriacja". Przecież wysiedlono ludzi z ich wiosek, miast, gdzie korzenie sięgały kilku pokoleń.

Od kilkunastu lat staramy się usuwać to określenie, bo dla tych ludzi to nie „repatriatio", czyli powrót do ojczyzny, ale wyrwanie ich z ojczyzny i rzucenie na zupełnie inne tereny, i to Ziem Odzyskanych, które do tamtego momentu miały na ogół niewielkie albo żadne związki z Polską, z polską kulturą i językiem. Właściwszym słowem jest „ekspatriacja", czyli pozbawienie ojczyzny, bo to chyba najlepiej oddaje to, co się wydarzyło od 1944 do 1946. Wtedy wysiedlono 1,5 mln Polaków z Kresów. Potem w latach 1956–1959, kiedy do Polski przyjechało jeszcze 250 tys. naszych rodaków. Mieszkańcy takich miast jak Lwów czy Wilno bardzo długo trwali w nadziei. Mimo że informacje o Teheranie, Jałcie, Poczdamie do nich docierały, zakładali, że choć obca władza, narzucona z Moskwy, będzie rządzić Polską, to niemożliwe, żeby ich miasta znalazły się poza wschodnią granicą. Sowieci, kiedy się zorientowali, jak wyglądają duchowość i mentalność Polaków, użyli bardzo brutalnych środków, żeby ich wyrzucić z tych miast i wsi. We Lwowie 3–4 stycznia 1944 r. aresztowano 17 tys. inteligencji lwowskiej, osadzono ją w więzieniach, większość wysłano do Donbasu, do kopalni węgla, wysłano tam profesorów, elitę, takich ludzi, którzy stanowili nie tylko o jakości Lwowa, lecz także jakości całej Polski. Część zmarła w trakcie tej pracy, a chodziło przede wszystkim o to, żeby wywrzeć presję na reszcie społeczeństwa, udowodnić, że polski etap

eprasa.pl 7e1fc54e41

historii tych ziem dobiegł końca. „Odpolszczenie" Kresów Wschodnich dokonało się najpierw w masowych deportacjach na Wschód, a potem w tych dwóch rzutach ekspatriacyjnych.

Wsiadali do wagonów, zostawiali domy, pola, cmentarze, na których spoczywały prochy ich bliskich, i jechali w nieznane. Nie wiedzieli, gdzie ich los rzuci, rzucił na Ziemie Odzyskane. Dzisiaj w każdym z naszych województw są ludzie deklarujący posiadanie przodków urodzonych na Kresach Wschodnich, ale najwięcej jest ich w województwach lubuskim – 51 proc. – i dolnośląskim – 47 proc. 6 mln Polaków ma swoje korzenie na Kresach Wschodnich. Czy to jest mit, że ludzie, którzy przyjechali z Kresów na zachód Polski doznali szoku? Czy poziom cywilizacyjny Ziem Odzyskanych tak bardzo odstawał od tego, co było na wschodzie?

Trochę jest w tym mitu. Rzeczywiście tereny wschodnie II Rzeczypospolitej gospodarczo były najsłabiej rozwinięte, ale też nie można zapominać o tym, że ówczesna Polska się zmieniała, powstawały nowoczesne zakłady, np. Elektrit w Wilnie (1,1 tys. pracowników) – była to nowoczesna fabryka radioodbiorników, huta szkła Niemen czy zakłady spirytusowe Baczewskiego we Lwowie. W dwudziestoleciu międzywojennym dokonano wielu inwestycji na tych terenach. Faktem jest jednak, że były to najuboższe ziemie II Rzeczypospolitej i Kresowiacy zostali osiedleni w regionie cywilizacyjnie stojącym na innym poziomie, ale jednak obcym. Często jeszcze stykali się z ludźmi, którzy tutaj byli gospodarzami przed nimi, czyli z Niemcami, nie były to sytuacje proste, ale być może istniało pewne zrozumienie między tymi, którzy pod przymusem już opuścili swoją ojcowiznę, a tymi, którzy za chwilę będą musieli doznać tego samego. W wielu miejscach na Ziemiach Odzyskanych spotyka się ludzi, którzy mówią, że nie do końca są u siebie, mimo że to już trzecie, czwarte pokolenie, ale sentyment, przywiązanie, wspomnienia dawnych ziem, opowieści rodziców i dziadków swoje robią. W obecnym województwie lubuskim jest najwięcej tych przybyszów ze Wschodu i tam te tradycje są najsilniejsze.

> Od kilkunastu lat staramy się usuwać określenie „repatrianci", bo dla tych ludzi to nie było „repatriatio", czyli powrót do ojczyzny, ale wyrwanie z niej i rzucenie na zupełnie inne tereny. Lepszym słowem jest „ekspatriacja", czyli pozbawienie ojczyzny

Oprócz poczucia, że to nie jest ich ojcowizna, była jeszcze niepewność, przecież granicy na Odrze i Nysie właściwie do 1970 r. RFN nie uznawała. Był co prawda układ zgorzelecki z 1950 r., ale podpisany tylko z NRD. Niepewność, czy drugi raz nie zostaną wyrzuceni ze swojej nowej ojczyzny tkwiła wśród Kresowian?

Absolutnie tak. Walizki były spakowane, przekonanie, że wrócą do siebie, swoich wsi, swoich miasteczek, wydawało się irracjonalne, ale rzeczywiście istniało. Nadzieje Kresowian w latach 1944–1945, że takie miasta jak Grodno, Brześć, Lwów, które są prawie na granicy i znajdą się jednak po naszej stronie, były dość duże.

Po wojnie używanie określenia „Kresy", „Kresy Wschodnie" było zabronione, tak samo, jak mówienie o tym, że te ziemie były kiedyś polskie i jaka tradycja się z nimi wiąże. Historycy twierdzą, że zostało to wymazane z polskiej pamięci zbiorowej.

To prawda, pamięć o Kresach była podtrzymywana na emigracji, emigracja, która znalazła się w Wielkiej Brytanii, to byli głównie Kresowianie.

Rząd londyński nigdy nie uznał granicy na Bugu...

...i był w tym wspierany przez 100 tys. ludzi generała Andersa, wcześniej deportowanych przez Sowietów, potem cudem wyprowadzonych z „ziemi czerwonej". Oni podtrzymywali tę pamięć o Kresach. A w kraju? Były zapisy cenzuralne, które nie pozwalały nawet wymieniać nazw typu Wilno czy Lwów, a jeżeli już, to w transkrypcji litewskiej czy ukraińskiej, także w odniesieniu do innych miast. W ogóle nie można było o tych ziemiach mówić, bo przecież myśmy je „słusznie oddali", one nie były nasze, taka była interpretacja. Był to bardzo trudny bój o świadomość, nie Kresowian, oni ją mieli, chodziło o to, żeby Polacy podtrzymali mentalną więź z tymi ziemiami. Nie chodzi tylko o samą geografię, ale przede wszystkim o to, co przez stulecia udało się tam stworzyć, a co można krótko określić mianem polskiego ducha. On w dużej mierze kształtował się na Kresach, np. nie byłoby polskiego romantyzmu bez „Ballad i romansów" Adama Mickiewicza, które rodziły się właśnie tam, na Rusi Czarnej, potem na Litwie. To, jacy jesteśmy dzisiaj, kształtowało się na terenach wschodnich przez stulecia.

Prof. Andrzej Nowak twierdzi, że termin „Kresy" można rozumieć nie tylko przestrzennie, lecz także czasowo, jako kres istnienia polskiej kultury, tożsamości na ziemiach, które się znalazły poza granicami Polski, a prof. Wojciech Śleszyński uważa, że to także kres pamięci, wymazanie z polskiej pamięci zbiorowej dziedzictwa ziem wschodnich.

Rzeczywiście różne interpretacje możemy do tego pojęcia stosować. Wyobraźmy sobie lipiec 1914 r. Mamy trzy zabory, pod którymi znajdują się polskie ziemie, i zadajmy sobie pytanie, co wówczas jest kresami. Zachodnimi kresami Imperium Rosyjskiego była Warszawa, a Lwów, który w tym czasie był stolicą Galicji i Lodomerii, był autentyczną stolicą Polski, stolicą duchową przede wszystkim. Wtedy nastąpił największy rozwój miasta, uniwersytetu, politechniki, literatury. Gabriela Zapolska, Maria Konopnicka, Władysław Bełza, uczący dzieci

eprasa.pl 7e1fc54e41

„Kto ty jesteś? Polak mały", i wielu innych. Gdyby wówczas powiedzieć, że Lwów jest na kresach Polski, to wyśmiano by tę teorię. Pojęcie Kresy Wschodnie w dużej mierze ukształtowało się II Rzeczypospolitej, trochę zniekształcając ten obraz. Nawiązując do twierdzenia prof. Nowaka, rzeczywiście nadszedł kres pewnego świata, jednak mamy ciągle Polaków na tych terenach, oczywiście ta liczba jest dużo mniejsza, ale jednak tam są, odgrywają pewną rolę, mniejszą czy większą, polityczną, samorządową, przede wszystkim jednak kultywują i tworzą polską kulturę, mówią i myślą po polsku, tworzą dzieła literackie, muzyczne i w tym sensie bym się nie zgadzał, że kres tego świata już nastąpił. Bo fenomen tej ziemi polegał m.in. na wielokulturowości, na tym, że ścierały się tam tożsamości, zarówno narodowe, jak i religijne, różne postawy, to były autentycznie wielokulturowe miasta, głównie polsko-żydowskie. Polacy dominowali w Wilnie, we Lwowie, ale bez Ormian, Tatarów, Karaimów, Białorusinów, Rosjan, Niemców, Czechów ten świat byłby niepełny.

Te tereny zamieszkiwało prawie 30 narodowości, występowało kilkanaście religii. Jak to ukształtowało tych ludzi, którzy potem znaleźli się na Ziemiach Odzyskanych? Czy wyjeżdżali zbiorowo, całymi wsiami i trafiali w jedno miejsce. Co wynieśli z takiego wielonarodowościowego charakteru Kresów?

Na tereny Lubuskiego i Dolnośląskiego rzeczywiście trafiały całe wsie, dlatego ta tożsamość, kontynuowanie tradycji kresowych są tam tak bardzo żywe, ale też w przypadku takich miast jak np. Gliwice czy Wrocław, gdzie tradycja lwowska była i jest nadal silna. To, że lwowskie pomniki Aleksandra Fredry, Kornela Ujejskiego i Jana III Sobieskiego trafiły akurat do Wrocławia, Szczecina i Gdańska, nie jest przypadkiem.

17 września 1939 r. Rosjanie wkroczyli na tereny Kresów Wschodnich i zaczęły się brutalne represje wobec Polaków i obywateli polskich innych narodowości.

Musimy pamiętać o pakcie Ribbentrop–Mołotow. Już Lenin, a potem Stalin, przywódcy bolszewiccy, a potem sowieccy byli bardzo konsekwentni w swojej polityce wobec Kresów. Oni już w 1921 r. w traktacie ryskim rościli sobie prawa do tych terenów. Do momentu wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej, 22 czerwca 1941 r., oba te totalitaryzmy, brunatny i czerwony, ręka w rękę walczyły z polską elitą, inteligencją. Z jednej strony pamiętna akcja „Inteligencja", potem Akcja AB pacyfikacji polskiej inteligencji w 1940 r. na terenach Generalnej Guberni, z drugiej – mord w Katyniu. Symboliczne losy dwóch córek gen. Dowbor-Muśnickiego. Jedna, Irena Lewandowska, ginie w Katyniu, zamordowana przez Sowietów, a jej siostra Agnieszka zostaje rozstrzelana w Palmirach przez Niemców. Sowieci po wejściu na terytorium Polski 17 września 1939 r. zaczynają masowe deportacje Polaków na Syberię i do Kazachstanu. W tym czasie Niemcy rozstrzeliwują polskich profesorów i nauczycieli nie tylko we Lwowie, lecz i w Wilnie. Potem, kiedy dochodzi do wojny niemiecko-sowieckiej, sytuacja paradoksalnie się klaruje, mamy wspólnego wroga, którym są Niemcy, ale byli ludzie bardzo przenikliwi – np. Józef Ma-

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 7e1fc54e41

ckiewicz – którzy mówili: nie, to nie jest nasz sojusznik, Związek Sowiecki zawsze będzie naszym wrogiem, zawsze będzie chciał zabrać nasze ziemie, zawsze będzie nas dławił, będzie nas niszczył mentalnie. I dokładnie to się spełniło w 1944 r.

Wspomniał pan, że Lwów był w czasie zaborów taką duchową stolicą Polski, ale przecież tam od XVII w. znajdowała się siedziba uniwersytetu, który w dwudziestoleciu międzywojennym nosił imię swojego założyciela króla Jana Kazimierza. Przed wojną pracowało tam wielu wspaniałych uczonych, wykładowców, przynajmniej kilku z nich mogłoby dostać Nagrodę Nobla, gdyby nie różnego rodzaju okoliczności polityczne i historyczne.

Przykładowo prof. Rudolf Weigl, który wynalazł szczepionkę przeciwko tyfusowi. Jego instytut w czasie II wojny światowej był także przykrywką dla lwowskiej inteligencji i podziemia, bo mieli mocne ausweisy jako „karmiciele wszy" w tym zakładzie. Ocenia się, że w ten sposób profesor uratował około 5 tys. osób. Tylko i wyłącznie polityka zadecydowała o tym, że Weigl nie dostał Nagrody Nobla w 1948 r., komunistyczne władze skutecznie to uniemożliwiły i człowieka, który odmówił Niemcom wpisania się na listę narodowości niemieckiej, oskarżyły o kolaborację z nimi.

> To, że lwowskie pomniki Aleksandra Fredry, Kornela Ujejskiego i Jana III Sobieskiego trafiły akurat do Wrocławia, Szczecina i Gdańska, nie jest przypadkiem

Postać prof. Weigla, jego życie i działalność, to fragment wielkiej, kresowej mozaiki, na którą składają się pokolenia zamieszkujące te tereny. Warto przywrócić to wszystko polskiej pamięci zbiorowej. Działa wiele stowarzyszeń Kresowian, w Polsce i za granicą. Mówił pan o przekazywaniu wiedzy o miejscu urodzenia dziadków, rodziców, ale przecież dorastają następne pokolenia. Co z tej tradycji, kultury jest teraz kultywowane?

Odbywają się różne festiwale upamiętniające kulturę kresową, są zespoły folklorystyczne, przekazywanie tych wszystkich legend, opowieści, które funkcjonowały na Kresach. Ale pamiętajmy także, że po 1989 r., kiedy Polska odzyskała niepodległość, my, jako Macierz – tak Polacy teraz mieszkający na Kresach mówią o Polsce – stworzyliśmy młodym ludziom stamtąd warunki do studiowania na polskich uczelniach i bardzo wielu ich tutaj przybyło, większość z nich w Polsce została. Ta kultura kresowa ciągle jest podtrzymywana, może nie tak, jak to było tuż po wojnie, w latach 50., ale chcę powiedzieć, że to od nas, od takich podmiotów jak Instytut Pamięci Narodowej, zależy to, czy ta pamięć będzie kultywowana. W ramach wielu konkursów, które organizujemy, nagrodą jest wyjazd młodych Polaków na Kresy. Uczestniczyłem w takich wyjazdach, widziałem reakcję tych młodych ludzi, dla których często był to pierwszy wyjazd za wschodnią granicę. I kiedy widzą cmentarz Orląt, cmentarz Łyczakowski, kiedy widzą krzyże z polskimi napisami, polskie pałace, pomniki i tablice ku czci Mickiewicza, Słowackiego, Paderewskiego właśnie tam, to zaczynają się zastanawiać, skąd my jesteśmy, skąd nasza tożsamość. Łatwiej wtedy czytać „Pana Tadeusza" czy wiersze Zbigniewa Herberta o mieście utraconym. I to jest bardzo dobra lekcja historii. Jak ktoś się zarazi Kresami, będzie tam wracał.

Przez wiele lat nie można było odwiedzić swoich rodzinnych stron.

Do 1956 r. praktycznie było to niemożliwe, nawet śmierć kogoś bliskiego nie pozwalała na takie podróże. Potem trzeba było mieć zaproszenie i te podróże zaczęły się w latach 60., 70. Była ścisła inwigilacja, każdy przyjazd Polaka na Kresy to był obowiązek meldowania się w miejscowym urzędzie, trzeba było wskazać trasę, po której będziemy się przemieszczać, KGB śledziło takie podróże. Jednocześnie dzięki Polakom odwiedzającym ojczyste strony zaczęła do środowisk polskich na Kresach napływać literatura, najpierw religijna, czyli modlitewniki, książeczki do nabożeństwa, z pieśniami religijnymi, ale także książki dla nielicznych inteligentów, którzy tam zostali, potajemnie przemycane. Rok 1991 – powstanie niepodległych Ukrainy, Litwy i Białorusi – zmienił tę sytuację, ale wielu wiekowych Kresowian już nie żyło, a niektórzy nie chcieli tam jechać, np. Zbigniew Herbert. Chcieli sobie zostawić ten obraz „raju utraconego" z dzieciństwa, nie chcieli oglądać tych zniszczeń, obecności sowieckiej, zmian mentalności.

Może to nie jest do końca prawda, że z pamięci zbiorowej wymazano Kresy. Może jest jakaś nadzieja w tym kolejnym pokoleniu Kresowian, którzy jednak jakoś kultywują pamięć o miejscu urodzenia swoich dziadków czy rodziców.

Mamy taką nadzieję, że jednak nigdy do końca Kresy nie zostaną wypreparowane z naszej tożsamości, z naszej duchowości, bo to jest bardzo ważna część nas i to dzieło musi być kontynuowane. Do tego są potrzebne programy, stypendia, wyjazdy. Zainaugurowaliśmy wyjazdy polskich nauczycieli w tamte strony po to, żeby swoim uczniom opowiedzieli, co tam można zastać, odwiedzić, że choć Wschód jest z całą pewnością uboższy materialnie, to jednak fascynujący. Ma to coś, czego na pewno na Zachodzie nie znajdziemy – gościnność ludzi, otwartość, folklor, który przetrwał. Odnajdziemy tam wieloreligijność i wieloetniczność. Pomimo hekatomby II wojny światowej, komunizmu pewne rzeczy zostały ocalone i o to trzeba dbać. Niezwykle ważne jest funkcjonowanie Kresów w kulturze, powstają kolejne dzieła, powieści, wiersze, sztuki teatralne, które nawiązują duchowością właśnie do tamtych terenów, tamtych postaci, ludzi, którzy stamtąd wyszli. I to jest podstawowa gwarancja, że ta tradycja i ten fundamentalny element naszej tożsamości przetrwają!

eprasa.pl 7e1fc54e41

Ogień i woda

Po długim pacie politycznym w Izraelu udało się w końcu sformować nowy rząd. Jest to egzotyczna koalicja ośmiu partii – od prawicy po islamistów. Jej nadrzędnym celem jest odsunięcie od władzy obecnego premiera Beniamina Netanjahu. Dla Polski nowy rząd może być trudnym partnerem. Jeśli oczywiście przetrwa

ALEKSANDRA RYBIŃSKA

Rok 2019 nie był dobrym czasem dla Naftali Bennetta (na zdj.). Jego partia Nowa Prawica (Ha-Jamin He-Chadasz) nie przekroczyła progu w kwietniowych wyborach do Knesetu. Bennett stracił mandat, a jego kariera polityczna wisiała na włosku. Dwa lata i trzy wybory parlamentarne później kariera Bennetta na nowo rozkwitła.

ZMIANA

To on ma zostać nowym premierem Izraela, po tym jak egzotycznemu blokowi ośmiu partii opozycyjnych, zrzeszającemu całe spektrum klasy politycznej – od skrajnej lewicy przez centrum po skrajną prawicę, zahaczając o niezależne partie arabskie – udało się utworzyć rząd jedności narodowej. Koalicja pod jakże trafną nazwą Zmiana ma jeden zadeklarowany cel: zakończyć 12-letnie rządy Beniamina Netanjahu i jego partii Likud (Zjednoczenie). Netanjahu był kiedyś mentorem i patronem Bennetta; teraz ma zostać przez niego zastąpiony na stanowisku premiera. Do 2023 r., bowiem potem pałeczkę od niego przejmie Ja'ir Lapid, były prezenter telewizyjny i dziennikarz oraz lider centrowego ugrupowania Jest Przyszłość (Jesz Atid). Jeśli nowa koalicja oczywiście przetrwa, czyli zdobędzie wotum zaufania w Knesecie, a następnie znajdzie wspólny język polityczny. Nowi koalicjanci bowiem nie ukrywają, że poza wspólną chęcią zepchnięcia Netanjahu do opozycji niemal wszystko inne ich dzieli.

Bennett to religijny żyd i nacjonalista, zwolennik jednostronnej aneksji Zachodniego Brzegu, dawny dyrektor Rady Jesza – największej instytucji zrzeszającej osadników i reprezentującej ich interesy. Jest mu zdecydowanie bliżej do Netanjahu niż do Lapida, który lubi się określać jako „głos świeckiej klasy średniej" i propaguje ideę utworzenia państwa palestyńskiego. Jeśli Bennetta i Lapida dzieli ideologiczna przepaść, to jest ona jeszcze głębsza w przypadku niektórych innych koalicjantów, wśród których jest choćby mała arabska/islamska partia Zjednoczona Lista Arabska (Ra'am) Mansoura Abbasa, czy skrajnie lewicowy Merec (Wigor), centroprawicowa Nowa Nadzieja – Jedność dla Izraela (Tikwa Chadasza), oraz Partia Pracy, nie zapominając o Nasz Dom Izrael (Jisra'el Betenu) Avigdora

Fot. Cohen Magen/Shutterstock.com

eprasa.pl 7e1fc54e41

Liebermana, reprezentującego głównie rosyjskojęzycznych imigrantów.

Plany, jakie nowa koalicja ma dla Izraela, to uchwalenie nowego budżetu – pierwszego od dwóch lat, skrócenie kadencji premiera oraz przeprowadzenie reformy systemu wyborczego. Obecny jest tak złożony, że nie pozwala na formowanie trwałych koalicji. W konsekwencji w ciągu ostatnich dwóch lat wybory w Izraelu odbyły się aż cztery razy.

ROZBIĆ KOALICJĘ

Większość, którą nowa koalicja rządząca ma w Knesecie, jest cienka jak papier. Wystarczy, by wyłamał się jeden poseł i zawali się jak domek z kart. A Netanjahu nie zamierza się tak łatwo poddać. We wtorek Likud postanowił zarezerwować trzy mandaty na swojej liście dla potencjalnych odstępców od nowej koalicji, stwarzając zachętę do dezercji.

Jak można przeczytać na łamach „Israel Today", Netanjahu jest przekonany, że nowy rząd, nawet jeśli zostanie zaprzysiężony, szybko się potknie, choćby o sporną kwestię nielegalnej konstrukcji domów Palestyńczyków na terenach Judei i Samarii, oznaczonych jako „strefa C", które są pod pełną kontrolą Izraela. O to, jak poradzić sobie z tym problemem, wybuchł w minionym tygodniu ostry spór między koalicjantami. Premier Izraela i możliwy przyszły lider opozycji ma także nadzieję, że o wiele bardziej przychylna Palestyńczykom administracja Joego Bidena wywrze presję na Bennetta i Lapida, by całkowicie zamrozili budowę żydowskich osiedli na Zachodnim Brzegu. Partie tworzące koalicję odpowiedziałyby na amerykańską presję zapewne w bardzo różny sposób, generując kolejny spór. A sprzeciw ze strony jednej osoby może zniszczyć każdy kompromis. I na to Netanjahu liczy. Przy okazji przypuścił ostry atak na swojego wychowanka, sugerując, że utworzenie nowego rządu to efekt „przekrętu stulecia". Ostrzegł prawicowych wyborców, że ich głosy „zostaną przekazane lewicy", której Bennett się już dawno sprzedał, „tylko po to, by zostać premierem". Lider Nowej Prawicy w odpowiedzi zaapelował do Netanjahu, by „odpuścił" i zaakceptował to, że można utworzyć rząd bez jego udziału. „Pozwól krajowi pójść naprzód" – zaapelował.

Według izraelskich mediów zwolennicy skrajnej prawicy od tygodni koczują przed domami niektórych posłów Yaminy (W Prawo), wyborczej platformy złożonej z Nowej Prawicy Bennetta oraz Unii Narodowej, bądź śledzą ich na ulicy, wyrażając w ten sposób swoją dezaprobatę dla wspólnych rządów z lewicą. Posłowie Yaminy oskarżyli Netanjahu o „niebezpieczne podgrzewanie atmosfery". Bennett przez chwilę otrzymał nawet policyjną ochronę.

Zachowanie Netanjahu może się wydawać nieodpowiedzialne, ale on gra o wszystko. Likud zdobył w ostatnich wyborach prawie dwukrotnie więcej mandatów niż kolejna co do wielkości partia (Jesz Atid Lapida), a mimo to nie udało mu się sformować rządu. A to dlatego, że większość innych partii politycznych nie chciała zasiadać w rządzie kierowanym przez niego. Ostatnie kilka wyborów było plebiscytami za lub przeciwko Netanjahu. A ich wynik nie był jednoznaczny. Izraelczycy nie potrafili zdecydować, czy nadal chcą go widzieć w roli szefa rządu, czy nie, i to mimo że są dziś w zdecydowanej większości prawicowi. Inaczej liderzy partii. Większość współtworzyła w przeszłości rządy z Netanjahu i była przez niego bezwzględnie rozgrywana. To jest ich zemsta za te ostatnie 12 lat.

Jeśli nowy rząd zostanie zaprzysiężony, a następnie utrzyma się przez co najmniej rok, Likud znajdzie się w opozycji, wtedy Netanjahu może szybko stracić swoją pozycję lidera, w partii mnożą się bowiem głosy, że jego epoka minęła i ktoś inny powinien przewodzić Likudowi w następnych wyborach. Ktoś nowy, świeży. A to byłby koniec jego politycznej drogi. Ponadto ciążą na nim poważne zarzuty korupcyjne i oskarżenia o nadużywanie urzędu. Trwa w tej sprawie proces. To wszystko jest wystarczającym powodem, by ostro walczyć o przetrwanie.

TRUDNI PARTNERZY

Dla Polski wydarzenia w Izraelu także nie są bez znaczenia. Zarówno Bennett, jak i Lapid aktywnie uczestniczyli w 2018 r. w sporze o nowelizację ustawy o IPN. W przeciwieństwie do Netanjahu nie byli gotowi pójść w tej sprawie na ugodę. Lapid, wówczas lider opozycji, otwarcie oskarżył Polskę o współudział w Holokauście. „Holokaust narodził się w Niemczech, ale setki tysięcy Żydów zostało zamordowanych, nie spotykając nigdy niemieckiego żołnierza. Były polskie obozy śmierci i żadne prawo nigdy tego nie zmieni" – przekonywał. Według

Spółka Cedrob Cargo zakończyła realizację i wdrażanie Projektu „Zakup taboru i sprzętu celem uruchomienia przewozów intermodalnych przez CEDROB Cargo Sp. z o.o." nr POIS.03.02.00-00-0047/18 w ramach działania 3.2 Rozwój transportu morskiego, śródlądowych dróg wodnych i połączeń multimodalnych oś priorytetowa III Rozwój sieci drogowej TEN-T i transportu multimodalnego Programu Operacyjnego Infrastruktura i Środowisko 2014 – 2020, na który otrzymała dofinansowanie w kwocie 11.472.101,78 zł.

Fundusze Europejskie Infrastruktura i Środowisko
cupt CENTRUM UNIJNYCH PROJEKTÓW TRANSPORTOWYCH
Rzeczpospolita Polska
Unia Europejska Europejski Fundusz Rozwoju Regionalnego
www.mapadotacji.gov.pl
Reklama | 14/0621/F

eprasa.pl 7e1fc54e41

Czy to koniec politycznej kariery Beniamina Netanjahu?

niego Polacy byli antysemitami i ochoczo mordowali Żydów. Jak twierdził, jego prababcia Hermina zginęła w Auschwitz. Obozie, który Niemcy ulokowali w Polsce „nie bez powodu". „Niemcy wiedzieli, że przynajmniej niektórzy z miejscowych będą współpracować" – dodał. Tyle tylko, że rodzina polityka nie miała żadnych związków z Polską, a co przynajmniej nie udało się takich znaleźć. Wszędzie w notach biograficznych przewijają się dzisiejsza Serbia i Węgry. Ojciec polityka Tommy Lapid urodził się w Nowym Sadzie. Czy Lapid kłamał w sprawie prababci Herminy, czy nie, nie da się ustalić. On sam w końcu uciął dyskusję, mówiąc, że to dla niego „bardzo osobista sprawa". Afera o prababcię i ustawę o IPN pokazała jednak, że lider Jesz Atid będzie dla Warszawy trudnym partnerem. To zła wiadomość, ponieważ zanim w 2025 r. obejmie stanowisko premiera po Bennetcie, będzie piastował funkcję ministra spraw zagranicznych.

Nie inaczej jest z Bennettem. Także on oskarżył Polaków o współudział w Holokauście. Był wówczas ministrem edukacji w rządzie Beniamina Netanjahu i miał przyjechać w lutym 2018 r. do Warszawy z oficjalną wizytą. Została ona przez stronę Polską odwołana. Pytany rok później o kryzys na linii Polska–Izrael odparł: „Wielu Polaków było antysemitami i mordowało Żydów". „Nie możemy nikomu pozwolić na korygowanie historii, dla dobra przyszłości. To nie jest droga do budowania relacji. Musimy się zmierzyć z rzeczywistością, że Polacy byli ofiarami, ale niemała liczba Polaków była też antysemitami" – dodał. Opowiedział przy okazji historię rodziny swojej żony, która miała zostać zamordowana przez Polaków. „Dziadek mojej żony mieszkał w Polsce i przez cztery lata razem z matką i dwójką rodzeństwa ukrywał się w lesie. Znalazł pracę i przynosił im jedzenie do miejsca, w którym się schowali. Pewnego dnia, krótko przed przybyciem Rosjan, kilku młodych Polaków przyszło do niego, ze śmiechem mówiąc: »Zabiliśmy twoją rodzinę«. Pobiegł do kryjówki i znalazł martwe ciała matki i rodzeństwa. To jest fakt. Tego nie możemy zmienić" – przekonywał.

> Większość, którą nowa koalicja rządząca ma w Knesecie, jest cienka jak papier. Wystarczy, by wyłamał się jeden poseł i zawali się jak domek z kart. A Netanjahu nie zamierza się tak łatwo poddać. We wtorek Likud postanowił zarezerwować trzy mandaty na swojej liście dla potencjalnych odstępców, stwarzając zachętę do dezercji

Relacje z Polską nie będą zapewne dla nowej koalicji rządzącej Izraelem priorytetowe. Będzie ona musiała rozwiązać wiele wewnętrznych problemów, szczególnie rosnące napięcie w Strefie Gazy, Jerozolimie i na Zachodnim Brzegu, oraz poukładać sobie na nowo relacje z USA. Przede wszystkim Bennett i Lapid będą musieli walczyć o przetrwanie ich chwiejnej i kruchej koalicji, będącej jak ogień i woda. A to oznacza, że relacje na linii Tel-Awiw–Warszawa raczej zbytnio nie rozkwitną.

Fot. Cohen Magen/Shutterstock.com

eprasa.pl 7e1fc54e41

Giganci nauki PL odc. 4

polscy wynalazcy, odkrywcy i pionierzy nauk ścisłych

Mamy w naszej historii wspaniałych odkrywców i wynalazców, zmieniających losy Polski i świata. Często wiemy o nich niewiele albo zgoła nic. Przez całe dziesięciolecia od wojny byli świadomie zapominani i niedoceniani. Nadszedł czas, byśmy mogli z dumą o nich mówić i przypominać Polsce i światu o wspaniałych rodakach

Stefan Bryła
(1886–1943)

rys. Krzysztof Wyrzykowski

PARTNER DODATKU

ORLEN

PARTNER MERYTORYCZNY

INSTYTUT PAMIĘCI NARODOWEJ

PAN IHN

eprasa.pl 7e1fc54e41

Inżynier – z mowy włoskiej do polskiej

Po raz pierwszy słowo „inżynier" użyte zostało w języku polskim w 1643 r. przez Jana Dekana w przekładzie podręcznika artylerii napisanego przez Włocha Diega Ufana

Fot. P. Życieński

Bohaterami niniejszego wydania „Gigantów nauki PL" są trzej inżynierowie działający w końcu XIX i na początku XX w. Cofnijmy się jednak do wieku XVII. W opinii wielu historyków to właśnie wówczas położono podwaliny współczesnej, opartej na eksperymencie nauki i techniki. Rzeczpospolita, zajęta licznymi wojnami, uczestniczyła w tym procesie w niewielkim stopniu...

Prof. Bolesław Orłowski: Nie całkiem się zgadzam. W Rzeczypospolitej znaleźli się uczeni i inżynierowie, których działalność była dostrzegalna na arenie międzynarodowej. Skoro o wieku XVII mówimy jako o stuleciu wojen, to skoncentrujmy się na technice wojskowej. Pamiętajmy, że potrzeby wojska zdecydowały o wykształceniu się zawodu inżyniera. W sektorze cywilnym wynalazki pozostawały mniej lub bardziej anonimowe, chronione przez tajemnice cechowe i powstające bez konieczności łączenia wiedzy naukowej z praktyką, jak to było w przypadku artylerii i fortyfikacji.

W Rzeczypospolitej w dziedzinie techniki wojskowej chętnie wyręczano się cudzoziemcami: Niemcami, Włochami, Holendrami czy Francuzami.

Ale byli także znani Polacy...

Na pierwszym miejscu trzeba wymienić torunianina Adama Freytaga (1608–1650). Z wykształcenia był lekarzem, a inżynierii nauczył się w Niderlandach w czasie wojny przeciw Hiszpanii. Jego dzieło życia, „Architectura militaria", ukazało się w 1631 r. w Holandii. Miało osiem wydań, co świadczy o dużej popularności. Freytag walczył przeciw Rosji w wojnie o Smoleńsk (1632–1634). Jego rówieśnikiem był Kazimierz Siemienowicz (1600–1651), również weteran wojny smoleńskiej, a także wojen w Niderlandach. Napisana przez niego „Wielka sztuka artylerii" ukazała się w Niderlandach w 1651 r. Trzecią ważną postacią polskiej myśli wojskowej był Józef Naronowicz-Naroński (zm. 1678), autor podręcznika „Księgi nauk matematycznych", w którego skład weszło również opracowanie poświęcone sztuce fortyfikacji.

W dziele Naronowicza-Narońskiego jest fragment definiujący termin „inżynier"...

Po raz pierwszy słowo „inżynier" użyte zostało w języku polskim w 1643 r. przez Jana Dekana w przekładzie podręcznika artylerii napisanego przez Włocha Diega Ufana. U Naronowicza-Narońskiego zyskało ono pełniejsze objaśnienie. Pisał on: „Ingenier, a z włoska nazwany indzienier – słowo to jest tytułu wysokiego i bardzo zacnego [...] – od wynalazków wszelkich, inwencji, struktur i machin generaliter jest nazwany. [...] A większy i zacniejszy jest tytuł i honor być ingenierem niż matematykiem [...]. Może być matematyk tylko matematykiem, a nie być ingenierem, lecz ingenier musi być matematykiem. Jako tedy daleko zacniejszą z nauką praktyka od samej nauki, tak też ingenier od gołego w teoretyce matematyka". Godne uwagi jest rozgraniczenie tego, co nazywamy dziś badaniami podstawowymi, a stosowanymi i nacisk na praktykę.

Jeśli przyjrzymy się biografiom wspomnianych inżynierów wojskowych, to zauważymy, że na ich kariery wielki wpływ mieli król Władysław IV oraz Radziwiłłowie z hetmańskiej linii birżańskiej.

Władysław IV jest władcą niedocenianym. Mało kto pamięta o jego patronacie nad sztuką, nauką i reformach wojskowych. Celem tych ostatnich było wprowadzenie w szeregi armii autoramentu cudzoziemskiego, czyli rodzaju wojsk zorganizowanego wedle rozwiązań zachodnich. To była reakcja na pierwsze klęski poniesione przez Rzeczpospolitą w wojnie ze Szwecją, najpierw w Inflantach, a potem na Pomorzu w pierwszej ćwierci XVII w. Szwedzi dowodzeni przez króla Gustawa Adolfa stosowali zmodyfikowane rozwiązania niderlandzkie. Jako pierwszy bił na alarm hetman wielki litewski Krzysztof Radziwiłł, który finansował działania Arciszewskiego, Freytaga i Siemienowicza.

Reformatorskie działania Władysława IV nie zostały wsparte przez szlachtę. Podejrzewała ona monarchę o dążenie do absolutyzmu i po prostu nie chciała ponosić zobowiązań podatkowych na rzecz państwa. Tak więc potencjał intelektualny istniał, ale zabrakło woli politycznej i zaufania do państwa. Co się stało potem, wszyscy wiemy. Powstanie Chmielnickiego, potop szwedzki, wojna o Ukrainę. Do rangi symbolu urasta plądrowanie Warszawy przez szwedzkich najeźdźców, podczas którego zrabowano kolekcje zgromadzone przez Władysława IV, który był także mecenasem sztuki i nauki.

Rozmawiał prof. Michał Kopczyński

eprasa.pl 7e1fc54e41

Tytan pracy

Stefan Bryła (1886–1943)

W dzisiejszym odcinku promocyjnym „Słownika" postacią flagową jest Stefan Bryła. Należał on do ścisłej elity kadry technicznej niepodległej Drugiej Rzeczypospolitej. A podczas okupacji był ważnym członkiem władz konspiracyjnego Państwa Podziemnego, który zginął na posterunku, pełniąc tę zaszczytną, ale i bardzo niebezpieczną funkcję. Za naturalne uzupełnienie sylwetki Bryły uznaliśmy życiorysy jego polskich prekursorów w dziedzinach jego głównych osiągnięć – Stanisława Olszewskiego w zakresie spawalnictwa i Rudolfa Modrzejewskiego w zakresie mostownictwa. Z tym ostatnim, który od schyłku XIX w. do połowy lat 30. XX stulecia był najwybitniejszym mostowcem świata, Bryła zetknął się osobiście, przebywając w Stanach Zjednoczonych. Podziwiał wzniesione przez niego mosty i doceniał jego dorobek. To właśnie Bryła 4 czerwca 1930 r. na posiedzeniu Rady Wydziału Inżynierii Lądowej i Wodnej Politechniki Lwowskiej uzasadniał merytorycznie wniosek o nadanie Modrzejewskiemu doktoratu honoris causa tej uczelni. Co jeszcze tego samego dnia zebranie ogólne jej profesorów pod przewodnictwem jej ówczesnego rektora Kazimierza Bartla zatwierdziło. Związki między obu panami były więc profesjonalne i poświadczone udokumentowanymi faktami

Fot. NAC

PROF. BOLESŁAW ORŁOWSKI

Stefan Władysław Bryła urodził się w Krakowie 17 sierpnia 1886 r. Był synem Pawła, nauczyciela gimnazjalnego, polonisty, i Eligii z Chrzanowskich, działaczki społecznej i publicystki.

W 1903 r. ukończył z odznaczeniem szkołę realną w Stanisławowie, a w 1908 – również z odznaczeniem – wydział inżynierii Szkoły Politechnicznej we Lwowie. Już od 1907 r. był asystentem na tej uczelni, a w 1909 r. uzyskał na niej doktorat nauk technicznych, co wówczas było jeszcze rzadkością. Warto bowiem przypomnieć, że polska kadra inżynierska długo nie miała w zwyczaju robienia doktoratów, toteż nie posiadała ich zdecydowana większość profesorów wyższych uczelni technicznych w dwudziestoleciu niepodległości, znakomitych przecież fachowców praktyków. Od czerwca 1910 r. Bryła rozpoczął wykłady statyki budowli we Lwowie jako docent.

Już jesienią tego roku krakowska Akademia Umiejętności wysłała go na zagraniczne studia uzupełniające.

eprasa.pl 7e1fc54e41

Pogłębiał wiedzę kolejno w Königliche Technische Hochschule w Berlinie – Charlottenburgu, w paryskiej École des Ponts et Chaussées i na uniwersytecie londyńskim. Zaznajamiał się także z praktycznymi metodami stosowanymi w tych krajach przy wznoszeniu konstrukcji stalowych. W 1912 r. przebywał w Kanadzie i USA, uczestnicząc w wielkich budowach, m.in. stawianiu najwyższego podówczas na świecie gmachu Woolworth Building w Nowym Jorku (250 m). W drodze powrotnej zwiedził Chicago, Detroit, park narodowy Yellowstone, Kalifornię, Hawaje, Japonię, Koreę, północne Chiny i Mandżurię, skąd przez Syberię koleją dotarł do kraju. W 1913 r. podjął pracę we lwowskiej Szkole Politechnicznej.

Zasmakowawszy w podróżach, podczas wakacji w 1914 r. wybrał się w podróż poślubną do Turcji, Persji i na Kaukaz, z zamiarem dotarcia do Armenii. Przerwał ją wybuch I wojny światowej. Jako poddany austro-węgierski został wraz z żoną internowany w Tyflisie (obecnie Tbilisi) w Gruzji, a następnie w Kijowie, gdzie pracował w biurze mostowym, wykładał budownictwo ogólne w Polskim Kolegium Uniwersyteckim i działał społecznie w polskich organizacjach, m.in. jako prezes Związku Inżynierów i Techników Polskich na Rusi, był wiceprzewodniczącym Zjazdu Techników Polskich w Rosji, który odbył się w Moskwie w październiku 1917 r.

Wiosną 1918 r. powrócił do kraju. W listopadzie uczestniczył w obronie Lwowa, za co został odznaczony Krzyżem Walecznych. Od 1919 r. pracował w Ministerstwie Robót Publicznych w Warszawie, niebawem jako naczelnik wydziału mostowego. W 1920 r. walczył ochotniczo w wojnie polsko-bolszewickiej.

W 1921 r. Bryła został profesorem zwyczajnym Politechniki Lwowskiej, na którą przemianowano wówczas Szkołę Politechniczną. Objął w niej kierownictwo II Katedry Budowy Mostów, znacznie rozszerzając i unowocześniając program wykładów, m.in. w zakresie kratownic przestrzennych, żelbetnictwa, a z czasem spawania konstrukcji stalowych. Wprowadził do teorii mostów pojęcie przestrzennej powierzchni wpływowej. W 1923 r. ponownie odwiedził USA, zapoznając się ze standaryzacją w tamtejszym budownictwie. Podczas powrotnej podróży statkiem ciężko chorował na zapalenie stawów, czego następstwem było kilka operacji chirurgicznych i trwałe skrócenie jednej nogi.

Od 1932 r. był członkiem Akademii Nauk Technicznych w Warszawie. Powołany w 1934 r. na Katedrę Budownictwa Konstrukcyjnego wydziału architektury Politechniki Warszawskiej, zorganizował przy niej Zakład Badawczy Budownictwa. Prowadzono w nim badania laboratoryjne z zakresu mechaniki gruntów, akustyki budowlanej i ognioodporności materiałów budowlanych, posługując się m.in. techniką rentgenowską. W 1938 r. został wybrany na dziekana.

Bryła zajmował się też aktywnie praktyką inżynierską. Ponadkrajowym jego osiągnięciem był pierwszy w dziejach stalowy most spawany na rzece Słudwi w Maurzycach pod Łowiczem, o rozpiętości 29 m, oddany do użytku 12 sierpnia 1929 r. Bryła był pionierem stosowania spawania w budownictwie. Przepisy, jakie w 1928 r. opracował w tym zakresie dla Ministerstwa Robót Publicznych, stały się wzorem dla analogicznych przepisów w innych krajach. Wiązało się to wówczas z pewnym ryzykiem, gdyż do lat 50. XX w. nie można było w sposób pewny kontrolować jakości wykonania spoin.

Bryła zaprojektował spawany szkielet wieżowca Towarzystwa Ubezpieczeniowego „Prudential" przy pl. Napoleona w Warszawie, najwyższego wówczas budynku w stolicy (60 m), czyli dzisiejszego hotelu Warszawa przy pl. Powstańców Warszawy. Jego konstrukcja okazała się nadzwyczaj wytrzymała – nie zawaliła się pomimo trafienia przeszło stu pociskami artyleryjskimi podczas powstania warszawskiego.

Jako szkieletowe konstrukcje spawane zaprojektował też gmachy Biblioteki Jagiellońskiej w Krakowie, Hali Targowej w Katowicach oraz kilku budynków wojskowych w Warszawie, m.in. obecnej siedziby Dowództwa Wojsk Lotniczych i Obrony Powietrznej przy ul. Żwirki i Wigury.

Projektował też gmachy o szkielecie żelbetowym, w Warszawie m.in. halę fabryki parowozów, akademik przy pl. Narutowicza, Powszechny Zakład Ubezpieczeń Wzajemnych przy ul. Kopernika.

Wiele publikował, troszcząc się o przydatność nowoczesnych ustaleń w praktyce inżynierskiej. Był inicjatorem, głównym redaktorem i autorem siedmiu rozdziałów czterotomowego „Podręcznika inżynierskiego" (1927–1932) – pierwszej polskiej encyklopedii z zakresu budownictwa. Opublikował wiele podręczników i artykułów, także w zagranicznej prasie fachowej. Był autorem ponad 250 prac naukowych.

Liczba zajęć, w które się angażował, była tak duża i urozmaicona, że podobno orientowała się w ich rozkładzie jedynie starsza pani, będąca jego osobistą sekretarka. Złośliwi mówili, że tylko dzięki niej Bryła wie, gdzie i co wykłada, ale też gdzie i z kim ma randkę...

Uczestniczył też w życiu politycznym. Trzykrotnie wybierano go do Sejmu z listy Chrześcijańskiej Demokracji. Działał również w związanym z nią ruchu związkowym. Był współzałożycielem Polskiego Związku Inżynierów Budowlanych (1934).

Bryła był odważny nie tylko jako projektant. Podczas okupacji niemieckiej aktywnie uczestniczył w konspiracyjnym kształceniu politechnicznym, wykładając też od 1942 r. w oficjalnej Państwowej Wyższej Szkole Technicznej.

Pełnił również ważne funkcje w strukturach Polskiego Państwa Podziemnego. Kierował wywiadem techniczno-przemysłowym oraz koordynował planowanie powojennej odbudowy Polski i kierunków jej przyszłego rozwoju. Aresztowany w listopadzie 1942 r., po miesiącu wykupiony z Pawiaka, nie zaprzestał działalności podziemnej. Ponownie aresztowany z całą rodziną rok później, został 3 grudnia 1943 r. rozstrzelany wraz z grupą zakładników w pobliżu zajezdni tramwajowej przy ul. Puławskiej w Warszawie.

Już od 1964 r. Polski Związek Inżynierów i Techników Budownictwa przyznaje nagrodę jego imienia. Jego imię nosi też ulica na Mokotowie, a od 1994 r. audytorium w gmachu wydziału architektury PW na rogu Lwowskiej i Koszykowej.

eprasa.pl 7e1fc54e41

Znakomici poprzednicy Stefana Bryły

Mowa o dwóch Polakach, którzy zrobili oszałamiającą karierę – jeden w Cesarstwie Rosyjskim, drugi w Stanach Zjednoczonych – na przełomie XIX i XX w. Obaj nigdy nie wyrzekli się Polski

PROF. BOLESŁAW ORŁOWSKI

Stanisław Olszewski (1852–1898)

Tropiąc polskie wątki w przeszłości spawalnictwa, natrafiamy w „Słowniku" na rodaka, który maczał palce w wynalezieniu elektrycznego spawana łukowego. Nie tak wiele starszego od Bryły, można by rzec, iż jak na słownikowe kryteria, omalże mu współczesnego.

Kacper Stanisław Olszewski herbu Kościesza urodził się w Warszawie 6 stycznia 1852 r. Był synem Antoniego, urzędnika Dyrekcji Ubezpieczeń, i Kamilli ze Starczewskich.

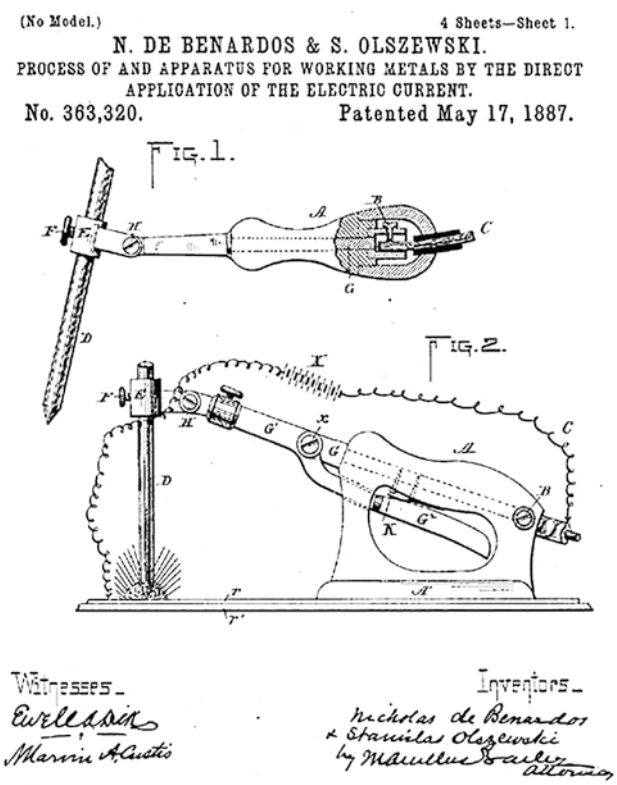

Studia, rozpoczęte w Szkole Głównej Warszawskiej, kontynuował po jej zamknięciu w 1869 r. na wydziale mechanicznym École des Arts et Manufactures et des Mines w Liège w Belgii. W sierpniu 1875 r. uzyskał tam dyplom inżyniera technologa. Pracował w Petersburgu jako przedstawiciel generalny na Rosję warszawskiego Akcyjnego Towarzystwa Przemysłowego Zakładów Mechanicznych Lilpop, Rau i Loewenstein, a z czasem też sekretarz generalny trzech największych rosyjskich syndykatów związanych z koleją (wagonowego, szynowego i akcesoriów kolejowych). Prowadził własne biuro techniczne.

10 października 1885 r. opatentował wspólnie z wynalazcą rosyjskim Nikołajem Benardosem łukowe spawanie elektryczne, najpierw we Francji, w tym samym roku także

Fot. BGWM

eprasa.pl 7e1fc54e41

w Belgii, Wielkiej Brytanii, Niemczech i Szwecji, w 1886 r. w Rosji, a w 1887 we Włoszech, Austro-Węgrzech, USA i Hiszpanii. W warszawskiej fabryce firmy Lilpop, Rau i Loewenstein spawanie ich metodą wprowadzono w 1887 r. Wspólnie z Benardosem prowadzili też firmę Elektrohefest-Benardos-Olszewski.

Wygląda na to, że udział Olszewskiego w wynalezieniu spawania był nie tylko formalny, wynikający z układów biznesowych, ale i merytoryczny. Zdaje się o tym świadczyć to, że Olszewski samodzielnie skonstruował praktyczną spawarkę na prąd zmienny, którą wyposażył w transformatory – eliminując stosowane wcześniej ciężkie i nieporęczne w obsłudze akumulatory.

Warto chyba dodać, że najstarszy syn Olszewskiego, Antoni Stanisław (1879–1942), też inżynier technolog, jako minister przemysłu i handlu odrodzonej Polski w latach 1921–1924 zajmował się rewindykacją dóbr kulturalnych i gospodarczych z ZSRR po traktacie ryskim, a podczas okupacji po 1939 r. kierował sporządzaniem dokumentacji strat wojennych w Delegaturze Rządu na Kraj.

15 listopada 1985 r. Zarząd Główny sekcji spawalniczej Stowarzyszenia Inżynierów Mechaników Polskich odsłonił uroczyście tablicę pamiątkową na grobie Olszewskiego wynalazcy na Cmentarzu Powązkowskim, a od 1987 r. przyznaje się zasłużonym spawalnikom medal jego imienia.

Rudolf Modrzejewski (1861–1940)

Istotnie przyczynił się do rozwoju nowoczesnego mostownictwa, nie tylko poprzez nowatorstwo konstrukcyjne, lecz także przez promowanie stali stopowych, odważnych metod posadawiania filarów i stosowania żelbetu.

Rudolf Modrzejewski urodził się w Bochni 27 stycznia 1861 r. Był synem Heleny, aktorki używającej pseudonimu Modrzejewska, która z czasem zyskała światową sławę, i prowincjonalnego aktora Gustawa Zimajera.

Wczesne dzieciństwo spędził na wędrówkach z trupą teatralną po Galicji i Mołdawii. W latach 1866–1869, wykradziony przez ojca, przebywał z nim w Rumunii i na Węgrzech. Od 1870 r. mieszkał u babki w Krakowie, gdzie uczył się w gimnazjum, uprawiał sport i brał lekcje gry na fortepianie u Kazimierza Hofmana. Wykazywał wybitne uzdolnienia muzyczne i przez jakiś czas myślał o karierze pianisty. Od 1875 r. był już wszakże zdecydowany zostać inżynierem, marzył o udziale w budowie planowanego wówczas Kanału Panamskiego. W 1876 r. wyjechał z matką i jej mężem Karolem Chłapowskim do USA. Towarzyszył matce w teatralnych podróżach po kraju i szybko opanował biegle język angielski. W 1877 r. za jej przykładem zmienił nazwisko na łatwiejsze dla Amerykanów: Ralph Modjeski (czytaj: Ralf Modżeski).

W 1878 r. został wysłany do Paryża, gdzie na kursach w Institut Duvigneau de Lanneau przygotowywał się do studiów w École des Ponts et Chaussées. W 1881 r., po niepowodzeniu na wstępnym egzaminie konkursowym do tej uczelni, rozważał, czy nie poświęcić się muzyce, jednak rok później zdał pomyślnie egzamin i 27 października 1882 r. został przyjęty w poczet studentów. Był prymusem przez całe studia, dyplom uzyskał 6 lipca 1885 r. W 1883 r., podczas wakacji spędzanych w USA, przyjął obywatelstwo amerykańskie. Od 1885 r. pracował w biurze projektowym znanego budowniczego stalowych mostów kolejowych G.S. Morisona, początkowo jako asystent, a niebawem szef biura rysunkowego przy budowie mostu dla kolei Union Pacific w stanie Nebraska. Następnie pełnił tę funkcję na budowie pięcioprzęsłowego mostu wspornikowego przez Missisipi w Memphis. Od 1888 r. kierował przygotowaniem konstrukcji mostowych w zakładach hutniczych w Athens w Pensylwanii, a następnie pracował w centrali firmy Morisona w Chicago, gdzie zapoznał się z organizacją prac projektowych i funkcjonowaniem administracji przedsiębiorstwa.

Osiadłszy z żoną (kuzynką Felicją Bendówną) i dziećmi w Chicago, otworzył tam w 1893 r. własne biuro konstrukcyjne zajmujące się projektowaniem i budową mostów oraz konsultacjami w zakresie mostownictwa. Firma istnieje nadal pod nazwą Modjeski and Masters.

W ciągu swej kariery inżynierskiej Modrzejewski zbudował ponad 30 mostów stalowych przez wielkie rzeki amerykańskie (w tym sześć przez Missisipi). Odegrał też znaczącą rolę w unowocześnianiu konstrukcji mostowych i stał się jednym z głównych pionierów nowoczesnych mostów wiszących o ogromnych rozpiętościach.

W 1896 r. otrzymał pierwsze zamówienie na wielki, samodzielnie wykonany most. Był to dwupoziomowy kolejowo-drogowy most przez Missisipi między Davenport w stanie Iowa a Rock Island w stanie Illinois. Zdobył renomę i rozgłos dzięki wybudowaniu w Thebes (Illinois) pięcioprzęsłowego kratowego wspornikowego mostu przez Missisipi, długości 839 m, z dwoma dojazdowymi łukowymi wiaduktami żelbetowymi (1904). Przyniosło mu to także uznanie w publicznej ankiecie prasy amerykańskiej na najwybitniejszego mostowca w 1903 r. Ugruntował swą pozycję, stawiając w Saint Louis ośmioprzęsłowy McKinley Bridge – kolejowo-drogowy most przez Missisipi, którego główne przęsła kratowe miały po 210 m rozpiętości (1910). Ważnym dziełem Modrzejewskiego był również Harahan Bridge w Memphis (1916). W tym wczesnym okresie opracował też dla kolei Northern Pacific typowe

Fot. Library of congress

eprasa.pl 7e1fc54e41

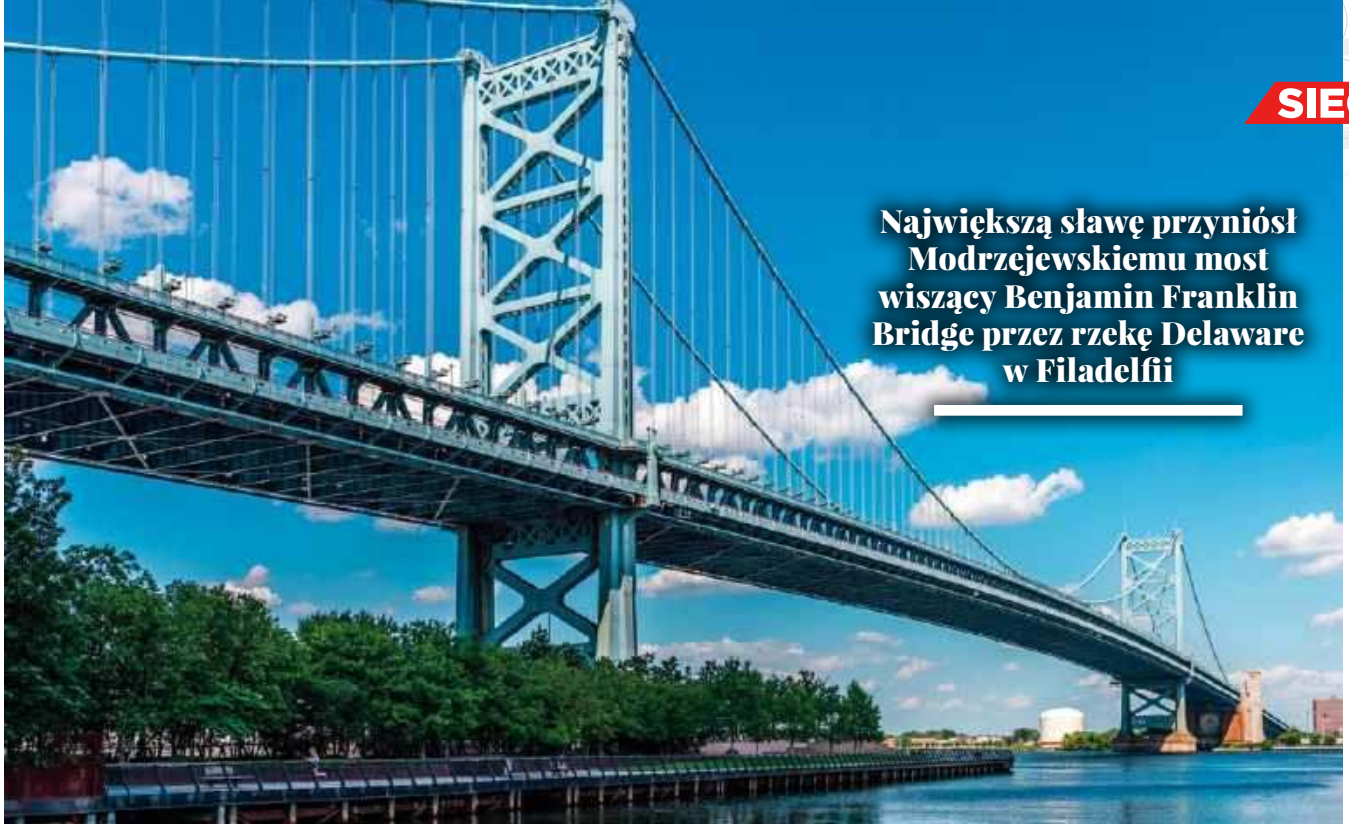

Największą sławę przyniósł Modrzejewskiemu most wiszący Benjamin Franklin Bridge przez rzekę Delaware w Filadelfii

Fot. shutterstock

projekty przęseł mostowych o rozpiętości do 75 m, stosowane przez wiele lat. W latach 1905–1908 zbudował mosty kolejowe w Oregonie, na rzekach Kolumbia i Willamette. Jeden z nich wyposażył w największe wówczas przęsło obrotowe o rozpiętości ramion po 72 m. W latach 1905–1915 był naczelnym inżynierem budowy mostów dla linii kolejowej Bend–Celilo w Oregonie. Wzniósł tam, nad głębokim na przeszło 100 m kanionem rzeki Crooked, most łukowy o rozpiętości 107 m; jego montażu dokonał jednocześnie z obu stron, bez rusztowań. W 1907 r. Modrzejewski był członkiem komisji badającej przyczyny zawalenia się mostu wspornikowego o rekordowej wówczas rozpiętości przęsła (549 m) na Rzece Świętego Wawrzyńca w Quebecu, a następnie uczestniczył w jego przeprojektowaniu; nadzorował także wznoszenie tej konstrukcji, zakończone w 1917 r. W Metropolis (Illinois) wzniósł sześcioprzęsłowy most kratowy przez rzekę Ohio (1918).

Największą sławę przyniósł Modrzejewskiemu most wiszący Benjamin Franklin Bridge przez rzekę Delaware w Filadelfii. Miał rekordową podówczas rozpiętość przęsła podwieszonego (533 m) i sprężyste stalowe pylony nośne o wysokości 110 m (1926), zapoczątkował charakterystyczny dla naszej epoki typ mostów wiszących. Niebawem Modrzejewski zbudował podobne: Ambasador Bridge w Detroit na rzece Detroit (1929), mający przez trzy lata światowy rekord rozpiętości przęsła (564 m), most przez rzekę Hudson w Poughkeepsie (1930), odznaczający się piękną sylwetką, i most o rozpiętości 606 m na rzece Ohio w Evansville.

Ukoronowaniem kariery Modrzejewskiego był most wspornikowy przez Missisipi pod Nowym Orleanem, którego wzniesienie oznaczało w powszechnym przekonaniu przesunięcie możliwości technicznych mostownictwa poza granice tego, co uznawano wówczas za wykonalne, a także twórczy udział projektowy i konsultacyjno-doradczy w budowie wielkiego mostu San Francisco–Oakland Bay Bridge (Trans-Bay Bridge) przez zatokę San Francisco, mającego łącznie ponad 13 km długości (1936). Wkład wniesiony przez Modrzejewskiego w konstrukcję tego mostu stał się przyczyną mylnego przypisywania mu w polskich publikacjach autorstwa innego mostu przez zatokę San Francisco, Golden Gate Bridge (1936), będącego dziełem jego ucznia J.B. Straussa.

Modrzejewski należy do niewielu, którzy istotnie przyczynili się do rozwoju nowoczesnego mostownictwa, nie tylko poprzez nowatorstwo konstrukcyjne, lecz także przez promowanie stali stopowych, odważnych metod posadawiania filarów i stosowania żelbetu. Sam był wprawdzie głównie budowniczym mostów stalowych, ale wzniósł też trzy mosty żelbetowe, spośród których na wymienienie zasługuje most przez rzekę Maumee w Toledo (1912). Opinii Modrzejewskiego zasięgano nie tylko w kwestiach mostowych, np. w 1916 r. oceniał on możliwości zbudowania tunelu pod rzeką Hudson w Nowym Jorku, a następnie uczestniczył w opracowaniu projektu wstępnego tej budowli. Odegrał też znaczącą rolę w kształceniu następnego pokolenia mostowców amerykańskich. W 1913 r. opublikował rozprawę o projektowaniu wielkich mostów. W 1924 r. pozyskał bliskiego współpracownika w osobie Franka M. Mastersa, który z czasem stał się jego następcą w kierowaniu firmą. Modrzejewski cieszył się powszechnym uznaniem, otrzymał wiele nagród i wyróżnień, nie tylko amerykańskich.

W 1911 r. University of Illinois przyznał mu stopień doktora inżynierii, w 1922 r. The Franklin Institute w Filadelfii odznaczył go medalem i powołał na honorowego członka, w 1930 r. przyznano mu John Fritz Gold Medal, w 1931 r. Washington Award, a w 1926 r. – francuską Legię Honorową. Nie zabrakło polskich wyróżnień: otrzymał wielką nagrodę na Powszechnej Wystawie Krajowej w Poznaniu (1929) oraz doktorat honoris causa Politechniki Lwowskiej (1930).

Był pod silnym wpływem matki, której perfekcjonizm mu imponował. Bardzo ją kochał, ale w pełni swobodnie poczuł się dopiero po jej śmierci (1909). Do późnej starości grał na fortepianie, do końca życia mówił i pisał po polsku, utrzymując żywe kontakty z krajem.

Dodatek powstał we współpracy z IPN | 48/0521/F

eprasa.pl 7e1fc54e41

Giganci nauki PL

polscy wynalazcy, odkrywcy i pionierzy nauk ścisłych

Kolejny odcinek ukaże się 12 lipca

rys. Krzysztof Wyrzykowski

w tygodniku SIECI

STANISŁAW ROGALSKI
– inżynier, konstruktor lotniczy, doradca NASA

Więcej o bohaterach tego i następnych dodatków z serii „Giganci nauki PL” w serwisie YouTube na kanale: IPNtv

PARTNERZY MERYTORYCZNI

INSTYTUT PAMIĘCI NARODOWEJ

PAN IHN

GIGANCI NAUKI

INSTYTUT PAMIĘCI NARODOWEJ

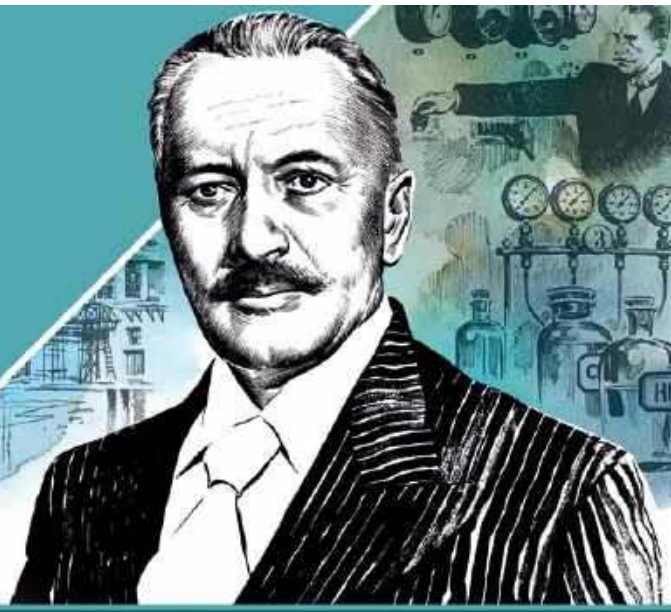

Wielcy polscy wynalazcy w II Rzeczypospolitej

IPNtv

Cykl filmów w reżyserii Aliny Czerniakowskiej obejrzyj na kanale IPN TV

oprasa.pl 7e1fe54e41

Piotr Fronczewski, odtwórca kilkuset ról i kilku pamiętnych medialnych wcieleń, człowiek ujmujący skromnością i niedzisiejszą klasą, skończył właśnie 75 lat. Czy wróci do widzów na dłużej?

Wszechstronny Pan Piotruś

Fot. Gałązka/AKPA

eprasa.pl 7e1fc54e41

Fot. NAC/ Archiwum Fotograficzne Edwarda Hartwiga

JOLANTA GAJDA–ZADWORNA

Dla jednych to przede wszystkim Pan Piotruś z kabareciku Olgi Lipińskiej. Dla innych niedościgniony sceniczny Cyrano de Bergerac i Hamlet. Wśród wspominanych ekranowych wcieleń pojawia się kasiarz Szpicbródka i – zaraz obok niego – autoironiczny Franek Kimono z deklaracją: „Ja jestem King Bruce Lee Karate Mistrz...". Są Pan Kleks i telewizyjni ojcowie, m.in. z „Rodziny zastępczej" czy serii „Tato, a Marcin powiedział".

Ponoć nikt jak Piotr Fronczewski nie melorecytował „Całuję Twoją dłoń, Madame..." ani nie śpiewał (sam zainteresowany uważa, że śpiewać nie potrafi, choć nagrał... kilkanaście płyt) „To ostatnia niedziela...". Dzisiejsi 20-latkowie nie potrafią sobie wyobrazić świata Harry'ego Pottera bez jego głosu w audiobookach.

KONTRAKT Z HISTORIĄ

Znają go, cenią i kochają przedstawiciele kolejnych pokoleń. Człowiek z klasą – życiową i zawodową (niezależnie od przypominanego mu przez brukowce małżeńskiego zakrętu sprzed wielu lat), nieuwikłany, wiarygodny. Także w kolejnych aktorskich rolach. Czy po przerwie spowodowanej kłopotami zdrowotnymi znajdzie siłę, by znów spotykać się z widzami?

Jego nazwisko widnieje w obsadzie dwóch czekających na premierę tytułów. W tym kostiumowego „Kontraktu" w reżyserii kinowego debiutanta, 37-letniego Brunona Brejta, gdzie wystąpił w drugim planie. Przede wszystkim jednak do współpracy namówił go, również debiutujący w roli reżysera pełnometrażowej fabuły, Jacek Gwizdała (rocznik 1954) – producent, kierownik produkcji, scenarzysta i do tej pory reżyser dokumentalista.

Zdjęcia do filmu „Klecha", opartego na historii księdza Romana Kotlarza z czasów radomskiego czerwca '76, zrealizowane zostały w 2017 i 2018 r. Rolę pozbawionego skrupułów, cynicznie manipulującego ludźmi szefa specoddziału MSW o pseudonimie Mistrz zagrał Piotr Fronczewski, ks. Romana – Mirosław Baka. Widzowie mogą się spodziewać mistrzowsko-aktorskiego starcia.

MÓJ DRAMATYCZNY

Tymczasem pan Piotr, w świetnej formie i nowej stylizacji (z brodą), pod koniec kwietnia tego roku przyjął zaproszenie do teatru, w którym – jak wspomina – spędził dziesięć niezwykłych lat. Przy pustej widowni (pandemiczne obostrzenia) podczas rozmowy prowadzonej w ramach cyklu „Mój Dramatyczny" spotkał się z publicznością dzięki współczesnej technologii. Przebieg wydarzenia można było śledzić na bieżąco. Na stronie Teatru Dramatycznego wciąż jest dostęp do tego nagrania.

Dołączenie do zespołu Dramatycznego było kwestią czasu. Gustawa Holoubka w jego kolejnych kreacjach młody aktor podziwiał od wczesnych lat 60. „Edyp, Hamlet, Płatonow, same wielkie role [...]. Mówiąc po gombrowiczowsku, »dutknął« mnie" – wspomina bohater wydanego kilka lat temu wywiadu rzeki „Ja, Fronczewski".

Po ukończeniu warszawskiej PWST w 1968 r. dostał angaż, najpierw w Teatrze Narodowym, potem Współczesnym, kiedy jednak w 1973 r. współpracę zaproponował mu dyrektor Holoubek nie wahał się ani chwili. Propozycję przejścia do Dramatycznego usłyszał w... zatłoczonym pociągu pospiesznym relacji Warszawa–Wrocław. Angaż przypieczętowany został dwiema porcjami jajecznicy ze szczypiorkiem zjedzonymi wspólnie w Warsie.

„Wszystko, co osiągnąłem w teatrze, zawdzięczam Gustawowi. To, że obdarzył mnie sympatią, a może nawet zaufaniem i przyjaźnią, traktuję jak wielki przywilej, wspaniały dar od losu" – podsumowywał w wywiadzie rzece.

NAJZWYKLEJSZY CZŁOWIEK

Ma na koncie kilkaset ról (w ponad 90 filmach, 43 serialach, 119 (!) spektaklach Teatru Telewizji i 59 sztukach; nie licząc pół setki zadań dubbingowych w produkcjach dla małego i dużego ekranu oraz 30 w grach komputerowych), a mimo to, jak deklarował w rozmowie z Marcinem Mastalerzem, „chociaż uprawiam ten zawód dłużej, niż wielu żyje na świecie, to ilekroć przygotowuję się do nowej roli, czuję się tak, jakbym robił to po raz pierwszy w życiu. Ten sam lęk. Niepewność. Trema jak przed debiutem. Chociaż właściwie nie. Większa...".

Z dystansem do siebie przywoływał też słowa Gustawa Holoubka, powtarzającego często: „Jak Fronczewski idzie do teatru, to wygląda jak jakiś księgowy z teczuszką, na którego nikt nie zwróciłby uwagi". I rzeczywiście, kiedy szedł do teatru, tak się właśnie czuł – wspominał. Jak najzwyklejszy w świecie człowiek, który idzie po prostu do pracy.

eprasa.pl 7e1fc54e41

ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM

W TVP Kultura czasem dyskutują

Sezon w TVP Kultura kończy się w dziwnym momencie. Dopiero od paru tygodni możemy chodzić na premiery teatralne i filmowe. Wiele z nich przed nami. Tymczasem zamknięto z końcem maja program, który nam to wszystko zapowiadał. Mowa o „Tego się nie wytnie", kulturalnym talk-show Mariusza Cieślika.

Z social mediów wiem, że budził kontrowersje. Bywał krytykowany z pozycji konserwatywnych, przy czym chodziło głównie o formę. O skrótowość, bo rozmowa trójki gospodarzy z dwójką gości plus masa dygresji wymuszały zawrotne tempo i wbrew nazwie cięcia. O mieszanie tematów poważnych z lekkimi. O goszczenie aktorów czy piosenkarzy obok myślicieli i pisarzy.

Mam wrażenie, że można w tych narzekaniach zgubić prawdziwą misję: zachęcenie ludzi skąpanych w popkulturze, aby przy okazji, pośród błyskotek i gadżetów, zatrzymali się nad czymś poważniejszym. Zresztą sama popkultura nie jest wyłącznie sieczką. Warto się jej przypatrywać.

Liberałowie raczej nie krytykowali, bo już dawno przestali śledzić ofertę TVP, także w tych jej segmentach, gdzie było coś ambitnego i ponadpolitycznego. Z tych samych powodów z obojętnością przyjęły te kręgi kryzys Teatru Telewizji, poddawanego od miesięcy tajemniczym reorganizacjom.

Największą wartością był w tym cyklu sam Cieślik, dowcipny, dobrze poinformowany i dbający o ideowy oraz stylistyczny balans, co staje się pośród ludzi mówiących u kulturze ewenementem. Dodano mu na przemian po dwoje komentatorów. Skontrastowanych, choć kontrasty to były różne.

Duet Łukasz Adamski i Justyna Melonowska był niby konserwatywny, ale to całkiem różne rodzaje konserwatyzmu. Zafascynowanemu popkulturą, i to nie tylko z powodów misyjnych, lecz także dla czystej zabawy, otwartemu na inne poglądy krytykowi filmowemu towarzyszyła doktor filozofii, dawna katolicka feministka, dziś w opozycji do współczesności.

I może nawet ciekawe było przeglądanie się kultury popularnej w oczach kogoś, kto słabo rozumie jej sens i jest programowo nieufny. Ale kilka razy potrafiła mnie zaszokować. Choćby wtedy, kiedy reżysera „Ludzi i bogów" Bodo Koxa pouczyła, że ona jako matka kazałaby swojemu synowi walczyć podczas wojny, a nie odciągała go od tego. Naprawdę wie pani, jak by się pani zachowała w piekle?

Drugi duet był jeszcze zabawniejszy. Kiedy pojawiał się temat politycznej poprawności, a pojawiał się często, bo on nabrzmiewa, kolejna pani doktor, Karolina Wigura z „Kultury Liberalnej", zawsze i za wszelką cenę broniła jej absurdów, choć często poprzez bagatelizowanie i uniki. I może takie podejście byłoby i warte dyskusji, gdyby nie słabość jej partnera. Tomasz Terlikowski, dawny katolicki jastrząb, człek zaskakująco dobrze zorientowany w meandrach twórczości artystycznej, konsekwentnie schodził pani doktor z drogi.

Obie panie onieśmielały mnie ideologiczną drapieżnością, choć o przeciwnych wektorach. Kobiety daleko nie zawsze łagodzą obyczaje. A jednak warto było być wiernym widzem „Tego się nie wytnie".

Żeby, przykładowo, zobaczyć, jak świetnie umie powiedzieć, w limitowanym czasie i pośród żartów, kilka sensownych rzeczy o kulturze czasów kryzysu Krzysztof Zanussi czy Antoni Libera. A jak broni swoich literackich wyborów i gustów Wacław Holewiński. Ale też żeby się przekonać, jak głębokimi i ciekawymi ludźmi są choćby tacy aktorzy jak Wojciech Solarz czy Ewa Błaszczyk. O klasie Jana Englerta, Haliny Łabonarskiej, Emiliana Kamińskiego czy Jerzego Zelnika jedynie wspomnę.

Zaryzykuję twierdzenie, że przy wszystkich deformacjach to jeden z ostatnich programów, gdzie ktoś z kimś serio dyskutuje. Pomimo gadżetów.

Piotr Zaremba

eprasa.pl/7e54e41

Osiemdziesiątka to jeszcze nie katastrofa!

Od początku niepoprawny indywidualista, a jednak bardzo przywiązany do wspólnoty – ducha, obyczaju, kultury, języka – mówi o sobie Leszek Długosz, poeta, pisarz, felietonista, kompozytor, pianista, artysta legendarnej Piwnicy pod Baranami, w rozmowie z Anną Wiejak

Fot. Andrzej Wiktor

Minister kultury, wicepremier Piotr Gliński powiedział o panu: „Jego twórczość cechuje wyjątkowa wrażliwość, subtelna emocjonalność i poetycka zaduma". Obchodzi pan 80. jubileusz swoich urodzin. Jak po tych wszystkich latach patrzy pan na swoją twórczość?

Leszek Długosz: To miła opinia pana premiera. Z perspektywy własnej powiedziałbym przewrotnie, że pomimo upływu lat nie miałem czasu zająć się syntezą samego siebie. Zawsze byłem zaangażowany na bieżąco, niewyposażony w taktykę – ani w życiu, ani w twórczości. Znalazłem piękny wiersz Balińskiego, poety zakazanego w PRL, i postanowiłem go zaśpiewać. Tak powstała piosenka „Jaka szkoda". Zachwyciłem się Liebertem i „Karczma jurgowska" towarzyszy mi od lat. Podobnie „Berlin 1913" Tuwima. Te wiersze kształtowały także moją wrażliwość jako autora własnych

eprasa.pl 7e1fc54e41

tekstów. Dążyłem do realizacji tego, co było we mnie impulsywne, ważne, potrzebne, aktualne, co mnie zajmowało z różnych powodów. Z perspektywy rzeczywiście widać, że historia moich piosenek, wierszy i książek układa się w pewną całość. Czuję się rzecznikiem i spadkobiercą tradycji – kultury polskiej, ale i europejskiej. Wracam do Kochanowskiego, ale i do Ronsarda, do Wyspiańskiego, do poetów dwudziestolecia. Z ich utworami spędziłem piękne życie. Nie szukałem wygody, nie biłem się o posady ani stanowiska. Robiłem to, co mnie interesowało i wydawało mi się, że jest potrzebne. I tak niespodziewanie minęło 80 lat.

Czyli po prostu nie patrzy pan wstecz?

Nie patrzę wstecz, ponieważ nie mam możliwości żadnej zmiany. Czuję, że na ogół zachowałem się odpowiednio. Byłem częścią Piwnicy pod Baranami, a później odszedłem, gdy poczułem potrzebę bycia obok, pójścia swoim szlakiem. Do końca jednak pozostałem wierny wielu piwnicznym przyjaźniom.

Ciągle coś mnie gnało – do grania, śpiewania, pisania. Bez określonych umów, całe życie czułem się niesłychanie – aż do komiczności – zajęty. Może dlatego, że uprawiam parę ogródków, zmieniam warsztaty. Wstaję od biurka i siadam do fortepianu, odrywam się od pisania tekstu i przechodzę do komponowania muzyki. Sporo jak na jedną osobę. Po latach myślę, że cokolwiek robiłem, zawsze starałem się mieć coś przekonującego do przekazania, być rozpoznanym głosem, znakiem pewnej postawy. A jednocześnie zachowałem prawo do wolności – żeby mój głos wyrażał to, co chcę przekazać, a niekoniecznie to, czego oczekiwano ode mnie lub chciano mi przypisywać.

Mówi się o panu, że pokonał pan system. Stojąc po stronie prawdy i wartości, nie pozwolił pan złamać się systemowi kłamstwa i antywartości...

To są sformułowania, które rozumiem, ale jestem o wiele bardziej kameralny, wolę używać prostego języka. Wychowałem się w niewielkim Zaklikowie, gdzie moja przyszywana matka chrzestna, opiekunka i mentorka Anna Nagórska uczyła mnie odróżniać dobre od złego. Była dziedziczką wielkich wartości, jeszcze XIX-wiecznych – klasy i stylu. Podpatrywałem ją i starałem się naśladować. I kiedy przyszło mi w życiu wybierać iść tu czy tam – pytałem sam siebie, co podpowiada przyzwoitość, sumienie. Mogłem się czasem mylić, ale to było moje najważniejsze kryterium. Normy przyzwoitości, jakie uzyskałem z domu, z dzieciństwa i potem już z własnych wyborów: gdzie chcę być, a gdzie na pewno nie. I tyle.

Ciągle coś mnie gnało – do grania, śpiewania, pisania. Bez określonych umów, całe życie czułem się niesłychanie – aż do komiczności – zajęty. Może dlatego, że uprawiam parę ogródków, zmieniam warsztaty

Czyli biblijne: niech mowa wasza będzie tak, tak, nie, nie.

Można tak to strawestować. Jeśli byłem zaangażowany, to na sposób obywatelski, patriotyczno-obywatelski. Nie należałem do żadnych partii ani stowarzyszeń (oprócz tych stricte zawodowych), nie zapisałem się do harcerstwa, nie chodziłem nawet do przedszkola. Od początku niepoprawny indywidualista, a jednak bardzo przywiązany do wspólnoty – ducha, obyczaju, kultury, języka. Wojciech Wencel powiedział o mnie w księdze pamiątkowej, wydanej na 80. urodziny, że jestem obywatelem „Polski wiecznej". Bardzo mnie tym wzruszył i ucieszył, bo tak właśnie czuję. Ta Polska to wspólnota ducha – coś, o czym pisali poeci, do których bezustannie powracam.

Jarosław Kaczyński w jubileuszowym wywiadzie wspominał o panu w słowach: „Z mojego punktu widzenia Leszek Długosz stanął po właściwej stronie. Ogromnie cenię, bo ten wybór był niesłychanie trudny". Jak trudny był ten wybór? Jakich wymagał wyrzeczeń?

Opowiadając się w debacie publicznej po określonej stronie, zaryzykowałem tzw. karierę, dosięgnął mnie ostracyzm dużej części środowiska artystycznego i nie tylko. Zaryzykowałem dochody, brak zaproszeń. Zostałem wyszydzony. Z osoby atrakcyjnej towarzysko stałem się w wielu miejscach kimś niepożądanym.

Ale czy to znowu taka wielka strata? Mam wielu wspaniałych przyjaciół, z którymi dzielę wrażliwość i opinie. Zobaczyłem też, że są i takie osoby, które nie podzielając moich poglądów, potrafią docenić, jakim jestem twórcą. To bardzo wartościowe doświadczenie. Przygotowuję się teraz do koncertu jubileuszowego, w którym wystąpią zaproszeni goście. Kryterium współpracy jest w tym wypadku wyłącznie wspólna wrażliwość, radość z poezji i muzyki. Dobrze, że wśród podziałów i napięć możliwa jest ciągle wspólnota ducha, więź niezależna od różnic. Bardzo jej wszyscy potrzebujemy.

Co dziś, po tych wszystkich doświadczeniach, powiedziałby pan młodszym od siebie pokoleniom, które dopiero wkraczają na drogę trudnych wyborów?

Że warto iść za głosem sumienia. Przychodzą chwile rozstrzygających wyborów. I trzeba się zdobyć na takie. Trzeba być świadomym strat, ale warto dokonywać wyborów ocalających twarz. To przydaje się w chwilach samotnej prawdy przed lustrem. Tego nauczyła mnie także dawna Piwnica pod Baranami, której byłem częścią.

eprasa.pl 7e1fc54e41

Najbardziej brak mi dawnego środowiska Piwnicy pod Baranami. Tego, w którym byłem w latach 60. i 70., ponieważ byli to ludzie z ogromną fantazją, niezwykle utalentowani – mówi Jubilat

Fot. PAP/Jan Morek

Jestem wyczulony na nieautentyczność form. Na ciągłe kalkulowanie, jakie obowiązują mody, czego oczekuje środowisko, czy to, co myślę i czuję, jest opłacalne. Nie akceptuję takiego stylu życia.

Jest pan legendą, osobą niezmiernie ważną dla wielu pokoleń Polaków.

Wie pani, jak się tak trochę dłużej pożyje, to każdy staje się jakąś tam legendą...

Ale nie każdy ma tak wielki dorobek.

Cóż takiego zrobiłem? Napisałem 20 książek, w większości tomików poetyckich, ale nie tylko. Stworzyłem setkę, może dwie, piosenek. Napisałem kilkaset felietonów, odbyłem kilka tysięcy koncertów, zagrałem w paru filmach, stworzyłem sporo programów radiowych i telewizyjnych. Sporo też podróżowałem, i to szeroko. Zajmowałem się pedagogiką, prowadziłem warsztaty poetyckie. Byłem niesłychanie aktywny i nigdy nie miałem czasu podsumowywać się, myśleć, ile jeszcze zostało. Wiedziałem, że czas biegnie i że na końcu biegnie o wiele szybciej. Nagle ta ósemka jak stempel spadła na moje czoło, wszyscy się tym interesują, a ja – zdezorientowany – nie wiem, co mam zrobić. Jestem zupełnie nieprzygotowany na starość [śmiech].

Jestem wyczulony na nieautentyczność form. Na ciągłe kalkulowanie, jakie obowiązują mody, czego oczekuje środowisko, czy to, co myślę i czuję, jest opłacalne. Nie akceptuję takiego stylu życia

Czy kiedy był pan młodym człowiekiem, miał wyobrażenie o tym, jak będzie w przyszłości? Czy oczami wyobraźni widział się pan w miejscu, w którym jest teraz?

Absolutnie nie spodziewałem się, że dożyję tego wieku. Tym bardziej że miałem tyle złych prognoz, włącznie z chorobami po drodze. Jednak los sprawił, że ta ósemka stuknęła. To piękny prezent. Jest wspaniale, ale też smutno. Zostaje się coraz bardziej osamotnionym, bez ludzi, z którymi się coś zdobywało, budowało, z którymi chciałoby się dzielić radości.

Ale część z tych ludzi nadal jest.

I chwała Bogu. Jest parę osób, które można objąć, mrugnąć do nich i wszystko wiadomo. Czyli osiemdziesiątka to jeszcze nie katastrofa!

W książce „80. jubileuszowa opowieść o Leszku Długoszu" znalazły się liczne wyrazy podziwu pana talentu artystycznego i pańskiej osoby.

Jestem autentycznie wzruszony tak pięknymi wypowiedziami. Chyba mogę zaryzykować twierdzenie, że nie ma tam jakiegoś specjalnego lukru ani kadzidła, że to są wypowiedzi szczere, oparte na autentycznym odczuciu wielu osób, które wpisały się do owej księgi pamiątkowej. To wielka satysfakcja.

eprasa.pl 7e1fc54e41

Znalazły się w tej książce wywiady z ludźmi, którzy spotkali pana na różnych etapach swojego życia. Które spotkanie najbardziej utkwiło panu w sercu i w pamięci?

Najbardziej brak mi dawnego środowiska Piwnicy pod Baranami. Tego, w którym byłem w latach 60. i 70., ponieważ byli to ludzie z niedzisiejszą klasą, z ogromną fantazją, niezwykle utalentowani. Zawsze można było liczyć na ich inwencję, niezwykłe bogactwo twórczości i talentów. Powstały wtedy rzeczy, które po latach uchodzą za wybitne osiągnięcia polskiej kultury. To patetycznie brzmi, ale tak jest. Piwnica, teatr Kantora czy ówczesny Teatr Stary to moja młodość, środowisko i wyżyny polskiej kultury. Akurat tak się stało, że miałem szczęście być na tym stadionie i uczestniczyć w tej grze.

Gdyby pan miał jednym zdaniem opisać, podsumować całą swoją drogę artystyczną, to jak by ono brzmiało?

Kiedyś usłyszałem takie powiedzenie: „Umrzeć? To jutro. Ale dziś? Jeszcze się zachwycić!".

Czyli nie zamierza się pan zatrzymać?

Nie widzę powodu. Póki gram na wszystkich klawiszach, to gram.

Chciałam jeszcze poprosić o kilka słów na temat zbliżającego się koncertu jubileuszowego. Wielkie nazwiska, wielkie talenty. Jakie przemyślenia nasuwają się panu przed tym wielkim wydarzeniem? Jakie uczucia panu towarzyszą?

Przed każdą batalią artystyczną pojawia się niepokój, trema, ale wiem, że mogę liczyć na zaproszonych artystów. Wszystkich uczestników koncertu jubileuszowego lubię i szanuję, doceniam ich talenty. Stworzyliśmy scenariusz składający się z moich piosenek i wierszy z bardzo atrakcyjną stroną wizualną, z pięknymi projekcjami i światłem. To wszystko jest możliwe dzięki organizatorom – Narodowemu Centrum Kultury i Instytutowi Łukasiewicza. Jestem wdzięczny wicepremierowi Piotrowi Glińskiemu, który wsparł koncert i bardzo zaangażował się w pomoc, a także koncernowi PKN Orlen – mecenasowi jubileuszu. Wieczór w Teatrze Polskim w Warszawie zostanie zarejestrowany i będzie – jestem pewien – wartościową pamiątką. Warto więc było dożyć osiemdziesiątki.

Dziękuję bardzo za rozmowę. Proszę przyjąć gratulacje i najlepsze życzenia od zespołu tygodnika „Sieci" oraz portalu wPolityce.pl.

Adam Ciesielski

Muzyka z emigracji

„Sercem Polak, a talentem świata obywatel" – tak o Fryderyku Chopinie napisał Cyprian Kamil Norwid. Tę sentencję za tytuł obrało płytowo-książkowe wydawnictwo Polskiego Radia, poświęcone kompozytorom i wykonawcom, którzy żyjąc i tworząc na obczyźnie, zawsze podkreślali swój polski rodowód

Akcentuje to 126-stronicowa książeczka przybliżająca historię polskiej emigracji, począwszy od rozbiorów w XVIII w. do wstąpienia Polski do Unii Europejskiej. W jej drugiej części są biografie kilkudziesięciu artystów, którzy pojawiają się na dwóch kompaktach.

Kolekcję pieczołowicie wybranych archiwaliów otwiera Polonez A-dur op. 40 Chopina w interpretacji Artura Rubinsteina w Carnegie Hall. Utwory Chopina rozbrzmiewają także w ujęciach innych pianistów – m.in. Józefa Hofmanna, Witolda Małcużyńskiego, skrzypka Bronisława Hubermana oraz sopranistki Marceliny Sembrich-Kochańskiej, gwiazdy Metropolitan Opera z początku XX w. Z 1924 r. pochodzi autorskie nagranie Menueta G-dur Ignacego Jana Paderewskiego.

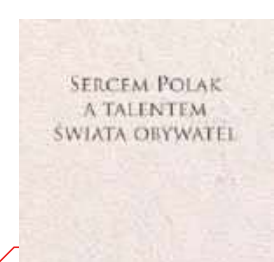

„Sercem Polak, a talentem świata obywatel", dwupłytowy album z publikacją książkową, Wyd. Agencja Muzyczna Polskiego Radia

Ze wzruszeniem słuchamy „Czerwonych maków" Schütza i Konarskiego w wykonaniu Adama Astona i orkiestry pod batutą Henryka Warsa (rejestracja z 1946 r.). Bogato prezentuje się rozrywka. Jest m.in. Jan Kiepura („Ninon, ach uśmiechnij się"), Hanka Ordonówna („Na pierwszy znak"), Pola Negri („Tango Notturno"). Z powojennego zaś pokolenia, które zaczynało w kraju, a kontynuowało karierę na emigracji, m.in. Krzysztof Klenczon („Port") i Karin Stanek („Będziesz tylko w tej piosence").

Ponad 40 historycznych wykonań budzi apetyt na ciąg dalszy ambitnego przedsięwzięcia, w którym znalazłoby się miejsce dla takich postaci, jak np. słynny dyrygent Leopold Stokowski, odkrywany dziś przez świat kompozytor Mieczysław Wajnberg, genialny jazzman Zbigniew Seifert czy piosenkarka Barbara Trzetrzelewska.

eprasa.pl 7e1fc54e41

3 MIŁOŚCI

Żądło osy

ROBERT TEKIELI

Właśnie rozgniotłem osę. Dłuższy czas próbowałem ją skłonić, by opuściła pokój, ale nie chciała ani oknem, ani balkonowymi drzwiami. Przykro mi, ale nie narażę dobrostanu moich alergicznych dzieci. Nie zaryzykuję. Naprawdę jest mi przykro. Zbędne zabijanie jest obrazą Dawcy Życia.

Że zwierzęta się cały czas mordują? Tak, ale łańcuch pokarmowy, codzienna hekatomba miliardów osobników jest sprawą moralnie obojętną. Zwierzęta nie mają sumienia.

Dziecko jest ważniejsze od osy, zboże od chwastu. Istnieje przepaść pomiędzy człowiekiem a zwierzęciem i wyraźna granica między zwierzakiem a rośliną. Osoba, osobnik, istota. Proste sprawy. Dziś już nieproste. Dlaczego?

Leszek Kołakowski napisał „The General Theory of Not-Gardening", ogólną teorię nieuprawiania ogrodów. Dlaczego nie wolno uprawiać ogrodu? Teoria psychoanalityczna mówi jasno: „Angielska rewolucja przemysłowa zabiła środowisko naturalne. Natura jest symbolem Matki. Zabijając Naturę, Anglicy popełnili matkobójstwo. Ściga ich nieuświadomione poczucie winy, próbują tedy odkupić swoją zbrodnię przez uprawianie swego małego pseudonaturalnego ogródka i otaczanie go czcią. Uprawiać ogród to brać udział w gigantycznym samooszustwie, które uwiecznia infantylny mit. Nie wolno ci uprawiać ogrodu!". Leszek Kołakowski odpowiada, dlaczego proste sprawy nie są dziś proste: świat został przez teorie i ideologie zdekonstruowany.

Sprawy proste stały się skomplikowane, ponieważ w czasach nowożytnych nastąpiła przebudowa piramidy wartości zachodniej cywilizacji. Podstawienie wartości mniej istotnej w miejsce ważniejszej to broń każdej rewolucji. Na początku człowiek stał się ważniejszy od Boga, dziś zwierzę ważniejsze od człowieka. Koniec XV w., człowiek witruwiański, miara wszechrzeczy, te rzeczy. Zaczęło się od herezji „odrodzenia", od renesansowej katastrofy. A potem już coraz lepiej: romantyzm, pozytywizm, histeryzm, kolejne epoki.

Histeryzm to epoka w dziejach literatury, sztuki, a wreszcie historii społecznej Zachodu. Nasiąkamy histerią, oddychając powietrzem ideologii i teorii, które powstały od momentu zaprzeczenia realistycznego kryterium prawdy. Filozofii analitycznej, ideologii marksistowskiej, egzystencjalnej, psychoanalitycznej czy strukturalistycznej. Do wyboru, do koloru. Czym oddychamy, tym się stajemy. Histerii ulegały przez wieki głównie nastolatki, dorastające dziewczęta. W Salem zbiorowej histerii uległy Abigail Williams, Betty Parris, Ann Putnam Jr i Elizabeth Hubbard. Dziś Greta Thunberg jest narzędziem wzniecania globalnej histerii. To nie żarty. W październiku 1965 r. w szkole w Blackburn kilka dziewcząt zaczęło skarżyć się na zawroty głowy. Nastolatki mdlały i w krótkim czasie 85 uczennic trafiło do szpitala po utracie przytomności. Do objawów należały: omdlenia, jęki, szczękanie zębami, hyperpnea i tężyczka. Dziś dorośli ludzie kastrują się, aby ratować Matkę Ziemię przed człowiekiem, przed ludzką pleśnią. Światem zarządza się dziś za pomocą zbiorowych histerii.

Atmosfera jest dziś nasiąknięta nie tylko oparami marksizmu, postmodernizmu i psychoanalizy. Rock'n'roll dotarł w latach 60. i 70. do prawie każdego człowieka na ziemi. I sformatował pokolenie. Subkultura rockowa to nie tylko sex, drugs, rock'n'roll, to również: Generation, Revolution, Freedom. Winylowa czarna płyta jest symbolem rewolucji młodzieżowej 1968 r., która przekształciła się z czasem w rewolucję obyczajową dorosłych. A w latach 1990–2010 już jako rewolucja polityczna powaliła dumną cywilizację Zachodu na kolana.

W PRL tylko elitę stać było na czarne płyty, plebs miał za to w końcówce lat 70. swoje szare, kanciaste, ale poręczne kaseciaki marki Grundig. Brało się je nawet na obozy harcerskie w Bieszczadach. Wielokrotnie przegrywane hymny pokolenia, zaszumione do granic słyszalności. PRL był już wtedy częścią kolonizowanej przez amerykańską popkulturę globalnej wioski.

Globalna transmisja rewolucji. Rewolucyjnej manipulacji piramidą wartości. Zamiana, podstawienie, a w końcu ich odwrócenie.

Na ulice Zachodu wylega dziś regularnie armia histeryków, cyników i nieszczęśników na smyczach i w kagańcach. Pokolenie sentymentalnych wielbicieli chwastów. Niezdolnych nawet skrzywdzić osy.

„Gdyby ktoś chciał przestawić swojego pieska na weganizm, to od czego powinien zacząć?". „A mięsożernego kota?". „Da się i kota przestawić na weganizm" – odpowiada Jasiowi Kapeli dr nauk rolniczych Karolina Hołda, specjalistka w dziedzinie dietetyki zwierzęcej, edukatorka, wykładowczyni akademicka, certyfikowana trenerka nauki. „Wiąże się to jedynie z koniecznością zastosowania dużej liczby suplementów". To nie jest szaleństwo. To konsekwencja.

Poszedłem sprawdzić stan licznika elektrycznego, zmieniłem domowe klapki na sandały. I coś mnie ostro zakłuło w podbicie stopy. Nie, nie było to żądło osy.

eprasa.pl 7e1fc54e41

WOJNA CYWILIZACJI

POPKULTURA

Uwaga! W kinach oprócz produkcji familijnych, takich jak sympatyczne „Biuro detektywistyczne Lassego i Mai. Rabuś z pociągu" czy „Psy i Koty 3: Łapa w łapę", a także widowiskowych „Godzilla vs Kong" i „Mortal Kombat", mamy coraz więcej filmów, których fabuły oparte na ideologii LGBTQ szerzą nieobyczajności zgodnie z taktyką salami. Nie ma to jak wyciskacz łez, mówią propagandyści. Możemy więc obejrzeć np. film pt. ***„Supernova"*** o miłości dwóch facetów w obliczu śmiertelnej choroby. Kto wrażliwy nie utożsami się z cierpiącym? W dodatku głównych homoseksualnych bohaterów grają bardzo lubiani i znani aktorzy Colin Firth i Stanley Tucci. Ale na szczęście w kinach nie zabraknie i czegoś o lesbijkach. Fabuła zatytułowana „Świat na granicy" traktuje o romansie dwóch mężatek. „»1 stycznia. Pierwszy lód w naszej sypialni tej zimy. Niezbyt dumnie, bez większej nadziei i tylko niekiedy z nieśmiałym szczęściem rozpoczynamy kolejny nowy rok« – zapisuje w pamiętniku Abigail. Jej miękki głos poprowadzi widzów przez tę ujętą w formę dziennika historię miłosną sprzed stu pięćdziesięciu lat" – zachwalają „Świat na granicy" w szwajcarsko-niemieckim portalu dla Polaków. Pomiędzy kobietami nawiązuje się „uczucie dojrzałe i pełne, na jakie nie mogą liczyć w aktualnych związkach, a za jakim tęsknią. Na pustkowiu, jakim jest północ stanu Nowy Jork w 1850 r. – cud. Nie tylko rozkosz, rozgrzewająca ciało natychmiast pod dotykiem ukochanej dłoni. Bardziej – rozumienie się bez słów, patrzenie w jedną stronę. Nieoczekiwanie coś ponad codzienną rutynę: dojenie krów, palenie w piecu, uprawę ziemi". Ale, ach!, „nagle okazuje się, że to nie wiecznie powracająca śnieżna wichura najskuteczniej zatrzymuje bohaterki w blokach startowych. To mali, nieumiejący zasłużyć na status, korzystający z arbitralnie przyznanego przez społeczną hierarchię, mężczyźni". A nie mówiłem, że będą szowinistyczne męskie świnie? Zagadka rozwiązana. Nagrody do odebrania u kierownika sali.

POPKULTURA

Warte W kinach mamy też poruszający dynamiczny amerykański thriller z 2020 r. pt. ***„Obiecująca. Młoda. Kobieta"*** („Promising Young Woman"). Emerald Fennell dostała Oscara za jego scenariusz, a jest również reżyserką i producentką tego dramatu o zbrodni gwałtu i niszczących skutkach nienawiści. Bohaterka filmu Cassie Thomas (nominowana do Oscara Carey Mulligan) to 30-latka, która zrezygnowała ze studiów i kariery po tym, jak jej zgwałcona koleżanka ze studiów popełniła samobójstwo, a gwałciciel pozostał bezkarny. Cassie zaczęła krucjatę przeciwko gwałcicielom wykorzystującym pijane kobiety. Walka z niesprawiedliwością skłania ją do krzywdzenia innych, niszczy życie jej i bliskich, a ona sama naraża się raz po raz na śmiertelne niebezpieczeństwo. Bohaterka symuluje bowiem upojenie i gdy facet chce wykorzystać jej bezbronność... uświadamia mu, że jego zachowanie to gwałt.

Film z jednej strony pokazuje, jak panseksualizm, pornodeformacja popkultury i demoralizacja seksualna zdekonstruowała tożsamość kulturową Zachodu, niszcząc życie i miłość. Odrażające zbrodnie zdają się niektórym jedynie przedłużeniem kolejnego wirtualnego seansu niosącego ekscytację, a potem smutek. Z drugiej strony Fennell jest przekonana, że gwałcicieli można zawstydzić, apelując do ich sumienia. Brak realizmu i naiwność artystki to efekt lewicowego (gnostyckiego, prometejskiego) błędu antropologicznego. Niestety dobra natura człowieka została skażona. Projektanci raju już tu na ziemi nie mogą jednak brać tego pod uwagę.

POPKULTURA

Niewarte Dziś manifest feministyczny brzmi tak: „Cruella w nowym wydaniu jest czystym wk...em. Esencją kobiecego gniewu, irytacji i zniecierpliwienia". Fabuła Disneya z Emmą Stone na podstawie animacji „101 dalmatyńczyków" pt. ***„Cruella"*** właśnie weszła do polskich kin. Sam film ogląda się fantastycznie. Jest dowcipny, inteligentny, z dreszczykiem. Wyzwala emocje, trzyma w napięciu do końca. Jest doskonały, a jego główne przesłanie – dosłownie diabelskie. Odwrócenie świata wartości owocuje oksymoronami: Cruella de Mon jest dobrym czarnym charakterem. Na końcu przyjmuje wampirzy wizerunek za pomocą ciemnych strojów, wymalowanej na trupio twarzy z krwistymi ustami. „Estella przeistacza się w Cruellę podczas pożaru budynku, gdy zostaje umyślnie skazana na zgon. Nie wiemy, jakim cudem przeżywa. [...] Raczej umiera i powraca pod postacią zombie". Z „querrową Cruellą" w taki sposób utożsamia się cytowana wyżej autorka kolorowego miesięcznika od rewolucji obyczajowej: „Jest jak marznący płomień, zmienna, parząco-zimna, ale wciąż demoniczna". Skuteczna, zimna propaganda. No i jak przekonało się wielu ludzi sztuki – Polański, „Magik" czy Grotowski – zabawa z De Vilem czy de Monem kończy się tragicznie, choćby dla artysty była tylko zabawą.

Robert Tekieli
Polskie Radio

eprasa.pl 7e1 54e4

Wojciech Stanisławski

Galicyjskie opary

Dobrze napisany apokryf historyczny, jakim jest „Rzeszot", dostarcza czytelnikom wielu radości. Ale Bartoszowi Sadulskiemu idzie o coś więcej

Większość powieści, przynajmniej tych „tradycyjnych" (nie wchodźmy za głęboko, proszę, w teorię literatury), autorzy muszą osadzić w jakiejś znanej czytelnikom historycznej rzeczywistości. Zwykle starają się to zrobić bezkolizyjnie, niezauważalnie: w tle fabuły szeleszczą znane gazety albo, jeśli ktoś woli na patetycznie, światło pochodni rozlewa się oleistym blaskiem na pancerzach. Szczęka broń lub butelki piwa popularnej marki, premier uśmiecha się z tabletu lub z portretu, tramwaje suną po szynach zgodnie z rozkładem, jaki obowiązywał w danym roku.

Oczywiście autorzy podejmują ten wysiłek z różnym zaangażowaniem. Potem jednych chwalą za wierność i akuratność prozy (ceną za takie laury są miesiące spędzone na lekturze kronik i książek telefonicznych), a innych ganią za przegapienie daty śmierci, pomylenie pogody lub waluty. Generalnie jednak powieści, których akcja toczy się w konkretnej przeszłości, muszą niejako wślizgnąć się w nią, znaleźć „szczeliny istnienia" między rubrykami spisów powszechnych i kartkami kalendarza, tak żeby nie zburzyć posiadanego przez nas obrazu historii.

Co jednak, jeśli autor poczyna sobie z materią historyczną śmielej? Jeśli implantuje swoich jawnie fikcyjnych bohaterów w epicentrum wydarzeń ponad wszelką wątpliwość historycznych, więcej, stanowiących element narodowego czy powszechnego kanonu pamięci? Już nie wślizgiwanie się zatem w przeszłość, lecz wstrzeliwanie w nią, może wręcz nawiercanie pokładów przeszłości młotem udarowym? Wydaje się to brutalne, ale z kolei, żeby znaleźć dla swojej fabuły miejsce między kartkami kalendarza w taki sposób, że rozcina się je „na płask", na dwie cieńsze, jakiego ostrza trzeba i jakiej finezji!

Zdarza się, że inicjatywy takie podejmowane są dla płochego żartu: celują w tym Amerykanie, którym pomaga niezbyt nabożny stosunek do historii. Czasem kończy się to omszałą humoreską w rodzaju „Jankesa na dworze króla Artura", czasem „Zeligiem", a czasem pojedynczym fotomontażem w rodzaju słynnej reklamy dżinsów z 1997 r. Polaków dreszcz od niej przechodził, nie da się jednak ukryć, że w umieszczeniu na kolanach obradującej w Jałcie wielkiej trójki panny z nogami do szyi i w biodrówkach firmy Diesel kryła się spora szczypta pieprzu.

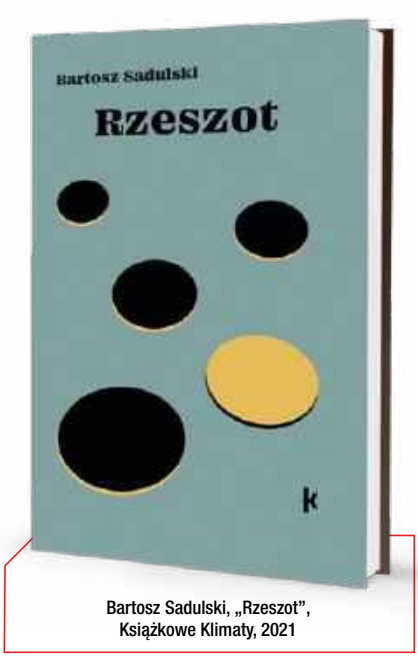

Bartosz Sadulski, „Rzeszot", Książkowe Klimaty, 2021

Europejczykom chodzi zwykle o coś więcej niż o zabawę. Często pisują apokryfy historyczne, nie tyle dociekając prawdy o danej postaci, ile fantazjując na jej temat – nieraz zgodnie z prawdopodobieństwem historycznym (jak Kawafis), nieraz stawiając na kontrast i demistyfikację, jak Karel Čapek. A czasem jawnie fikcyjnego bohatera, zrodzonego nie z kobiety, nie z jaja, lecz z głowy („nie znaleziono skorupki jajka, z którego miałby się wykluć Podedworny, na Górze Świętego Jana nie odkryto jamy, z której by wypełzł, nad brzegiem Raby ani Ropy nie widziano pękniętego kamienia, opuszczonego przezeń w niemowlęctwie") wprowadzają między rzeczywiste postaci, pożary i powstania epoki – tak jak się to dzieje w „Rzeszocie" Bartosza Sadulskiego.

Bezimienny pan Podedworny prowadzi nas przez większość wieku XIX, wielkiego stulecia Polaków. Znakomicie, z kunsztem Zeliga potrafi się wepchnąć między bohatery, stając u boku jenerała Sowińskiego, Juliusza Słowackiego, Wincentego Pola i tuzina innych wielkich duchów. Nie zamierzam odbierać czytelnikom radości rozsupływania wszystkich kryptocytatów, aluzji i nawiązań literackich – czasem ukrytych płytko (ot, choćby Mickiewicz, oznajmiający lekką, konwersacyjną fran-

eprasa.pl 7e1fc54e41

cuszczyzną „Przez długi czas kładłem się spać wcześnie"), czasem wymagających nieco więcej zachodu. Dość zapewnić, że w pierwszej części „Rzeszota" ten fotomontaż historyczny jest źródłem niemal nieustającej uciechy. Wskazywałem powyżej różne literackie parantele, pan Podedworny najbliżej wydaje się jednak spokrewniony z Samuelem Niemiryczem i Stachem Perfeckim – dwoma bohaterami prozy Jurija Andruchowycza, którzy z podobną łatwością przekraczali granice imperiów, epok i prawdopodobieństwa. Wiadomo – Galicja!

Mówiąc zaś całkiem serio, Galicja odgrywa w „Rzeszocie" zupełnie podstawową rolę, nie tylko jako miejsce akcji drugiej części powieści, gdzie bohater, porzuciwszy romantyczne gorączki, staje u boku pionierów przemysłu naftowego, wypierając zresztą stamtąd postaci historyczne, jak Karol Klobassa-Zrencki, i nie tylko w za sprawą odwołania się odkrywanej dziś na nowo rabacji 1846. Galicyjsko-wiedeńska epopeja dowodzi, że Sadulskiemu nie szło o zabawę literacką. „Rzeszot", będąc jawnym żartem z prostej faktografii, okazuje się zarazem powieścią o historii bardzo serio, komentarzem do najpoważniejszej pewnie przemiany, jakiej doświadczyli Polacy w XIX w., zderzając się, z całym swoim bagażem kultury insurekcyjnej i dworkowej, z modernizacją, kapitalizmem, nowoczesnością.

Najbardziej wyrazistą literacko ofiarą tego zderzenia był do niedawna biedny Stach Wokulski, choć w pokolenie (autorów i bohaterów) później ten zgrzyt słychać może jeszcze ostrzej w „Ziemi obiecanej". Pan Podedworny, wolny od obligów realizmu, postać utkana z mgły, cytatów i naftowych oparów, ukazuje ten czas, gdy „sklep zmienia pana, a świat – postać" w sposób znacznie bardziej odpowiadający wyobraźni współczesnych czytelników. A obrazy galicyjskiej nędzy i głodu (dotąd praktycznie nieobecne w wyobraźni zbiorowej – ani solenne powieści Jalu Kurka, ani wspomnienia Stanisława Pigonia nie cieszą się zbytnią poczytnością) trwać będą w naszej pamięci dłużej nawet niż groteskowe męki poety z Bożej łaski Saskiego, który „czkał najpierw trochejem, później anapestem, a na sam koniec, ku zdumieniu wszystkich, z milczącym już Mickiewiczem włącznie, tetrabrachem".

Terra incognita

Kto ma nadzieję na prędkie zrozumienie splotu czynników i uwarunkowań, z którymi mamy do czynienia na styku Chin, Mongolii, Tybetu, Rosji, Kazachstanu, Kirgistanu i Kaszmiru, po lekturze Brophy'ego, powinien ją czym prędzej porzucić. Nawet w serii ceramowskiej, zaprojektowanej przecież dla czytelnika oczytanego co nieco w historiografii, rzadko zdarzają się prace tak szybko wprowadzające in medias res, których autor zakłada tak solidny background, nie tylko historyczny, lecz i geograficzny. Nieliczne mapy (przydałoby ich się o wiele więcej), brak tablic dynastycznych, setki pierwszy raz widzianych na oczy nazwisk, których zapis, gęsty od umlautów, jasno pokazuje, jak ciężko jest wtłoczyć fonetykę środkowoazjatycką w ramy łacinki – wszystko to w pierwszym, nawet w drugim czytaniu „Narodu ujgurskiego" rodzi raczej zawrót głowy niż ład.

Warto go jednak doświadczyć. Nie tylko entuzjaści prosto wykładanej geopolityki dostrzegają bowiem coraz wyraźniej znaczenie Azji Środkowej dla przyszłości Eurazji w najbliższych dekadach. Książka Brophy'ego odtwarza „Wielką Grę", prowadzoną przede wszystkim między rosyjskimi, chińskimi i tureckimi centrami władzy od połowy XIX do połowy XX w. – ale i dziesiątkami pomniejszych podmiotów (chanów, aksakałów, oświeceniowców, szpiegów, administratorów i rewolucjonistów) błądzących w poszukiwaniu możliwej do przyjęcia (i narzucenia innym) tożsamości zbiorowej. Można czytać tę książkę jako pracę z dziejów historii politycznej: niesamowity jest opis ambicji Stambułu (a z czasem Ankary), usiłującej rozbudowywać swoje wpływy na obszarach odległych o 12 tys. km w warunkach wojen, rewolucji i zapaści własnego państwa.

Porywające, przypominające swoją złożonością prozę Parnickiego są intrygi chińskich „warlordów", z drugiej zaś strony – rozgrywki między rozmaitymi frakcjami „białych" emigrantów rosyjskich, basmaczy, naukowców, agentów sowieckiego wywiadu, działaczy Kominternu i moskiewskich dyplomatów (wbrew pozorom niektórzy bohaterowie książki sprawdzali się tylko w niektórych z tych ról). Najbardziej niezwykłe jest jednak ukazanie w świecie egzotycznym i odległym tych samych zjawisk, które badane są od stu lat na oswojonym, wydawałoby się, gruncie europejskim. „Naród", w marzeniach wielu przedwieczny, okazuje się jeszcze jednym europejskim wynalazkiem, podbijającym świat na równi z maszyną parową i karabinem maszynowym – i równie skomplikowanym. Łemkowie, Boszniacy, Czarnogórcy, Bojkowie i Macedończycy (czy również Polacy?) mogą podać dłoń (w geście autentycznego, a nie tylko propagandowego braterstwa) Taranczom, Kaszgarczykom, Dunganom i Baszkirom, którzy (czasem nieoczekiwanie dla siebie) stali się Ujgurami.

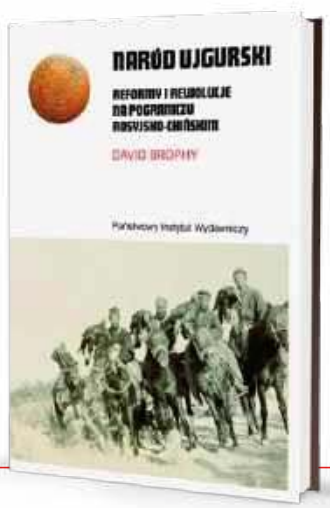

David Brophy, „Naród ujgurski. Reformy i rewolucje na pograniczu rosyjsko-chińskim", tłum. Anna Dorota Kamińska, PIW, 2021

eprasa.pl 7e1fc54e41

Bezpieczne wakacje 2021

Bezpiecznie dojechać, bezpiecznie wypocząć i bezpiecznie wrócić – niech takie będą nasze cele przed wakacyjnym wypoczynkiem. Po kolejnym ciężkim roku, naznaczonym lockdownami, ograniczonymi możliwościami spędzania wolnego czasu i zbyt długim wysiadywaniem przed ekranami, warto zaplanować aktywny wypoczynek. Zróbmy to jednak rozsądnie, bez niepotrzebnego narażania się na niebezpieczeństwa czy to w górach, czy nad wodą. Zbyt długo czekaliśmy na te wakacje, by je teraz zepsuć swoją nieostrożnością, brawurą czy brakiem odpowiedzialności

NOWE PRZEPISY DLA PIESZYCH I KIEROWCÓW

PZU
Z myślą o bezpieczeństwie

Bezpieczniej i z większym dystansem

Dawno wyczekiwana rewolucja na polskich drogach. Pierwszeństwo dla pieszych wchodzących na przejście, zakaz jazdy na zderzaku i koniec z patrzeniem w telefon komórkowy podczas przechodzenia przez jezdnię. Nowe przepisy, które obowiązują już od początku czerwca, mają znacząco poprawić bezpieczeństwo. A z tym na drogach wciąż nie jest najlepiej. Jak wynika z policyjnych statystyk, Polacy wciąż jeżdżą za szybko i zbyt brawurowo. W ubiegłym roku w 23 531 wypadkach zginęło 2480 osób, a 26 456 zostało rannych

Ubiegłoroczne statystyki wypadków i tak nie są najgorsze. W porównaniu z rokiem poprzednim było aż o 6757 mniej wypadków. Zginęło także o 429 osób mniej. Za wcześnie jednak na optymizm – mniejsza liczba tragicznych zdarzeń na drodze to nie wynik naszej większej rozwagi i ostrożności, a czasowego ograniczenia aktywności społecznej, w tym ruchu na drogach, spowodowanego pandemią.

Jak się okazuje, w Polsce obowiązują jedne z najbardziej liberalnych przepisów w Europie. Umożliwiają na przykład legalną jazdę z prędkością 120 km/godz. na drogach ekspresowych i aż 140 km/godz. na autostradach. W Europie szybciej można jeździć jedynie na ok. 30 proc. odcinków niemieckich autostrad, słynnych na cały świat z powodu braku jakichkolwiek ograniczeń. Nowelizacja Prawa o ruchu drogowym, która właśnie weszła w życie, przynosi zmiany, których już od dawna domagało się wielu pieszych i kierowców.

Brak odstępu i wyobraźni

Jednym z najbardziej oczekiwanych przepisów był formalny zakaz osławionej jazdy „na zderzaku". W Polsce wręcz nagminnym zjawiskiem jest agresywne i bardzo niebezpieczne zachowanie polegające na jeździe na drodze ekspre-

Tekst powstał we współpracy z partnerem komercyjnym | 58/0521/F

eprasa.pl 7e1fc54e41

sowej czy autostradzie w minimalnej odległości przed pojazdem z przodu, co zwykle ma wymusić na jego kierowcy zjechanie na prawy pas i ustąpienie drogi. W sytuacji, w której kierowca samochodu jadącego przed autem drogowego furiata, zmuszony jest nagle zahamować, nie ma praktycznie szans na uniknięcie wypadku. Żaden człowiek na świecie nie jest bowiem w stanie zareagować bez opóźnienia w takiej sytuacji, a opóźnienie to oznacza w praktyce przejechanie dodatkowych dziesiątek lub setek metrów na autostradzie. Przed zderzeniem nie uchronią nas nawet najnowsze zdobycze elektroniki – systemy awaryjnego hamowania, które choć reagują szybciej niż człowiek, nie są w stanie przeciwstawić się prawom fizyki.

U naszych zachodnich sąsiadów od lat trwa dyskusja nad sensem ograniczenia prędkości na autostradach. O ile jednak niemieccy kierowcy mają dużą większą praktykę w jeździe po trasach szybkiego ruchu, o tyle trudno oprzeć się wrażeniu, że w Polsce użytkowanie tych dróg i kultura jazdy wciąż są w powijakach. Niestety, zbyt wielu kierowców wydaje się nieświadomych zagrożeń wynikających z podróżowania z prędkością grubo przekraczającą 100 km/godz. Czym może się skończyć taka jazda? Odpowiedź na to pytanie nie jest trudna – wystarczy obejrzeć dowolny film z tzw. crash testów. Analizując skalę zniszczeń, warto uświadomić sobie, że takie próby zderzeniowe przeprowadzane są przy prędkości 64 km/godz. Przy tej prędkości zabezpieczenia pasażerów w nowoczesnym aucie, takie jak kontrolowane strefy zgniotu, pasy bezpieczeństwa czy poduszki powietrzne, mają jeszcze szansę uratować nas przed śmiercią czy kalectwem w wyniku wypadku. Co się dzieje przy większych prędkościach – to już możemy sobie tylko wyobrazić.

Piesi pod ochroną

W zderzeniu z pojazdem człowiek nie ma żadnych szans. Tylko w ubiegłym roku piesi stanowili ponad 25 proc. ogółu ofiar wypadków drogowych w Polsce – zginęło ich 631, a 4700 zostało rannych. Nic więc dziwnego, że nowe prawo daje pieszym większą ochronę. Od czerwca mają pierwszeństwo także przed wejściem na pasy. „Kierujący pojazdem, zbliżając się do przejścia dla pieszych, jest obowiązany zachować szczególną ostrożność, zmniejszyć prędkość tak, aby nie narazić na niebezpieczeństwo pieszego znajdującego się na tym przejściu albo na nie wchodzącego i ustąpić pierwszeństwa pieszemu znajdującemu się na tym przejściu albo wchodzącemu na to przejście" – napisano w ustawie.

Zabójcza elektronika

Nowe przepisy dają pieszym więcej praw, ale także i obowiązków. Koniec z używaniem telefonów komórkowych na pasach – to kolejna zmiana na polskich drogach. Przechodzenie przez zebrę ze wzrokiem utkwionym w ekranie smartfona niejeden już raz zakończyło się tragicznie. Telefon jest na cenzurowanym nie tylko w przypadku pieszego, ale także kierowcy. O tym, jak powszechne i dramatyczne w skutkach jest używanie komórki za kierownicą, od kilku lat przypominał PZU, który prowadził specjalną kampanię „Prowadzisz? Odłóż telefon". Jak możemy przeczytać w raporcie ubezpieczyciela, „średnio co kwadrans dochodzi w Polsce do wypadku na drodze. Nawet co czwarty, według szacunków Instytutu Transportu Samochodowego, jest spowodowany korzystaniem podczas jazdy z telefonu komórkowego. Prawie 60 proc. polskich kierowców przyznaje się, że rozmawia w trakcie jazdy przez telefon, trzymając go przy uchu. Co trzeci

Najważniejsze zmiany w przepisach o ruchu drogowym od 1 czerwca 2021 r.

- Pieszy jest zobowiązany do zachowania szczególnej ostrożności podczas WCHODZENIA na jezdnię lub torowisko. Dotąd wymóg ten dotyczył jedynie fazy przechodzenia przez jezdnię. Teraz pieszy musi także świadomie i ostrożnie zbliżać się do krawędzi jezdni.
- Dodatkowo doprecyzowano, że pierwszeństwo przed pojazdem ma pieszy, który wchodzi bądź znajduje się już na przejściu dla pieszych. UWAGA – pieszy stojący przy krawężniku nie ma pierwszeństwa przed nadjeżdżającym pojazdem, co nie oznacza, że przepuszczenie pieszego nie będzie godnym pochwały zachowaniem kierowcy.
- **BARDZO WAŻNE!** Nowe przepisy ZABRANIAJĄ korzystania z komórki bądź innego urządzenia elektronicznego podczas wchodzenia i przechodzenia przez jezdnię czy torowisko. W czasie tej czynność nic nie może ograniczać możliwości obserwacji otoczenia i sytuacji na jezdni czy torach. Bezmyślne przechodzenie przez jezdnię lub tory z wzrokiem utkwionym w ekran smartfona kosztowało w Polsce już niejedno życie.
- W myśl nowych przepisów kierujący pojazdem, zbliżając się do przejścia dla pieszych, jest obowiązany zachować szczególną ostrożność, zmniejszyć prędkość tak, aby nie narazić na niebezpieczeństwo pieszego znajdującego się na tym przejściu albo na nie wchodzącego i ustąpić pierwszeństwa pieszemu znajdującemu się na tym przejściu albo wchodzącemu na to przejście.
- I wreszcie przepis, na który czekała większość kierowców korzystająca z dróg szybkiego ruchu w sposób odpowiedzialny. Kierujący pojazdem podczas przejazdu autostradą i drogą ekspresową jest obowiązany zachować minimalny odstęp między pojazdem, którym kieruje, a pojazdem jadącym przed nim na tym samym pasie ruchu. Odstęp ten wyrażony w metrach określa się jako nie mniejszy niż połowa liczby określającej prędkość pojazdu, którym jedzie kierujący, wyrażonej w kilometrach na godzinę. Oznacza to, że jadąc np. 140 km/h, nie możemy utrzymywać tej prędkości bez zachowania przynajmniej 70-metrowego odstępu. Miejmy nadzieję, że praktyka zachowywania bezpiecznych odstępów szybko się przyjmie na polskich drogach, a kierowcy będą oceniali odległość od pojazdu poprzedzającego, orientując się chociażby na podstawie stumetrowych dystansów pomiędzy słupkami drogowymi.
- Ostatnią istotną zmianą, jaka weszła w życie 1 czerwca, jest ujednolicenie dopuszczalnej prędkości w obszarze zabudowanym do 50 km/h bez względu na porę dnia. Wyjątkiem będą strefy osiedlowe (tzw. strefy zamieszkania), gdzie maksymalnie będzie można się rozpędzić do 20 km/h.

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 7e1fc54e41

kierowca uważa jednocześnie, że ma podzielną uwagę i telefon przy uchu nie wpływa na bezpieczeństwo jazdy. Zaprzeczają temu zlecone przez PZU naukowe ekspertyzy i testy. Wynika z nich, że jedna sekunda nieuwagi, gdy wybieramy w telefonie numer albo piszemy wiadomości, to przy prędkości 50 km na godzinę aż 13 przejechanych metrów. Specjaliści do spraw bezpieczeństwa ruchu drogowego i psychologowie alarmują: to śmiertelne zagrożenie! Eksperci podają również, że potrzeba aż 13 sekund, by ponownie skupić się na prowadzeniu po tym, jak zadzwoni telefon lub pojawi się powiadomienie z aplikacji. To w połączeniu z tzw. jazdą na pamięć, automatycznym wykonywaniem manewrów i przekonaniem o byciu niezawodnym kierowcą stanowi mieszankę, która może się okazać tragiczna w skutkach".

Nowe prawo dla nowych pojazdów

Zupełnie nowym zjawiskiem, z jakim musiał zmierzyć się ustawodawca, były też tzw. UTO, czyli urządzenia transportu osobistego. Cóż to takiego? Według definicji ustawodawca odróżnia hulajnogi elektryczne od UTO. Te pierwsze są – wg prawa – „pojazdem napędzanym elektrycznie, dwuosiowym z kierownicą, bez siedzenia i pedałów, konstrukcyjnie przeznaczonym do poruszania się wyłącznie przez kierującego znajdującego się na tym pojeździe". Resztę najnowszych wynalazków służących do przemieszczania się określono w ten sposób: „urządzenie transportu osobistego to pojazd napędzany elektrycznie, bez siedzenia i pedałów, konstrukcyjnie przeznaczony do poruszania się wyłącznie przez kierującego znajdującego się na tym pojeździe (np. deskorolka elektryczna, elektryczne urządzenie samopoziomujące)".

Obie definicje pochodzą z obowiązującej od 20 maja ustawy regulującej status prawny hulajnóg elektrycznych i urządzeń transportu osobistego. Przepisy m.in. zabraniają kierowania hulajnogą elektryczną po jezdni, na której dopuszczalna prędkość jest większa niż 30 km/h, oraz przebywania na hulajnodze elektrycznej czy UTO więcej niż jednej osoby. Nie można także kierować po alkoholu ani korzystać z telefonu podczas jazdy. Zabronione jest również przejeżdżanie przez przejście dla pieszych.

Poniżej zestawienie najważniejszych zmian w przepisach dotyczących pieszych, kierowców i osób korzystających z hulajnóg i UTO. ●

Najważniejsze przepisy ustawy regulującej status prawny hulajnóg elektrycznych i urządzeń transportu osobistego

- Zabrania się kierowania hulajnogą elektryczną po jezdni, na której dopuszczalna prędkość jest większa niż 30 km/h.
- Zabrania się kierowania hulajnogą lub urządzeniem transportu osobistego osobie znajdującej się w stanie nietrzeźwości lub w stanie po użyciu alkoholu albo środka działającego podobnie do alkoholu.
- Zabrania się przewożenia hulajnogą elektryczną i urządzeniem transportu osobistego innych osób, zwierząt i przedmiotów.
- Zabrania się ciągnięcia lub holowania hulajnogą elektryczną i urządzeniem transportu osobistego innych pojazdów.
- Zabrania się pozostawiania hulajnóg elektrycznych i urządzeń transportu osobistego na chodniku w inny sposób niż równolegle do jego zewnętrznej krawędzi.
- Kierujący hulajnogą elektryczną jest obowiązany korzystać z drogi dla rowerów lub pasa ruchu dla rowerów, jeśli są one wyznaczone dla kierunku, w którym się porusza lub zamierza skręcić – z prędkością dopuszczalną 20 km/h.
- Dodatkowo jest obowiązany korzystać z jezdni, po której ruch pojazdów jest dozwolony z prędkością nie większą niż 30 km/h, w przypadku gdy brakuje wydzielonej drogi dla rowerów oraz pasa ruchu dla rowerów – z prędkością dopuszczalną 20 km/h.
- Kierujący może wyjątkowo poruszać się chodnikiem lub drogą dla pieszych, gdy chodnik jest usytuowany wzdłuż jezdni, po której ruch pojazdów jest dozwolony z prędkością większą niż 30 km/h i brakuje wydzielonej drogi dla rowerów oraz pasa ruchu dla rowerów – z zachowaniem następujących zasad: jazda z prędkością zbliżoną do prędkości pieszego, zachowanie szczególnej ostrożności, ustępowanie pierwszeństwa pieszemu oraz nieutrudnianie ruchu pieszemu.
- Do kierowania hulajnogą elektryczną przez osoby w wieku 10–18 lat wymagane będzie posiadanie tych samych uprawnień, co w przypadku kierowania rowerem, czyli karty rowerowej albo prawa jazdy kategorii AM, A1, B1 lub T. Od osób, które ukończyły 18 lat, dokument taki nie jest wymagany.
- Poruszanie się hulajnogą elektryczną po drodze publicznej przez dziecko do 10 lat jest zabronione w każdej sytuacji, również pod opieką osoby dorosłej. Dzieci w wieku do 10 lat będą się mogły poruszać hulajnogą elektryczną jedynie w strefie zamieszkania, pod opieką osoby dorosłej.
- Kierujący urządzeniem transportu osobistego jest obowiązany korzystać z drogi dla rowerów, jeśli jest ona wyznaczona dla kierunku, w którym się porusza lub zamierza skręcić – z prędkością dopuszczalną 20 km/h.
- Może wyjątkowo poruszać się chodnikiem lub drogą dla pieszych, w przypadku braku drogi dla rowerów, z zachowaniem następujących zasad: jazda z prędkością zbliżoną do prędkości pieszego, zachowanie szczególnej ostrożności, ustępowanie pierwszeństwa pieszemu oraz nieutrudnianie ruchu pieszemu.
- Poruszanie się urządzeniem transportu osobistego po drodze publicznej przez dziecko do 10 lat jest zabronione w każdej sytuacji, również pod opieką osoby dorosłej. Dzieci w wieku do 10 lat będą mogły poruszać się urządzeniem transportu osobistego jedynie w strefie zamieszkania pod opieką osoby dorosłej.
- Do kierowania urządzeniem transportu osobistego przez osoby w wieku 10–18 lat wymagane będzie posiadanie tych samych uprawnień, co w przypadku kierowania rowerem, czyli karty rowerowej lub prawa jazdy kategorii AM, A1, B1 albo T. Od osób, które ukończyły 18 lat, dokument taki nie jest wymagany.

eprasa.pl 7e1fc54e41

Zanim wyruszysz w góry

Wielokilometrowe korki na zakopiance, tłumy w Dolinie Chochołowskiej czy w drodze na Trzy Korony. Każdego roku polskie góry odwiedza kilka milionów turystów i jak widać choćby po długim czerwcowym weekendzie, nic nie wskazuje na to, by teraz miało być inaczej. Polacy mają dość pandemii i pragną odpoczynku. Zanim jednak ruszymy na szlak, należy pamiętać o podstawowych zasadach bezpieczeństwa

Choć część urlopowiczów zadowoli się spacerami po Krupówkach czy łatwo dostępnych ścieżkach u podnóży gór, większość jednak wybierze się na bardziej wymagające wędrówki. I jak co roku powtórzy dobrze znane błędy, które w najlepszym razie zakończą się chwilą strachu lub skuteczną interwencją ratowników górskich. Niestety, będą też poważniejsze wypadki, a kroniki TOPR i GOPR znowu będą informować o kolejnych śmiertelnych zdarzeniach, których przyczyną były zwykła głupota, brawura czy nieumiejętność oszacowania własnych możliwości. Dlatego też, zanim wybierzemy się w wyższe partie gór, warto zadać sobie kilka elementarnych pytań, które być może oszczędzą nam traumatycznych przeżyć, a ratownikom pracy.

Boso, ale w ostrogach, czyli czy mam na to siłę i możliwości?

„Ja nie wejdę?", „ja nie dam rady?" – nie sposób zliczyć, ile tego typu deklaracji można usłyszeć na szlaku. Często padają one z ust spoconych, wymęczonych ludzi, którzy wbrew wszelkiej logice prą przed siebie, z trudem łapiąc oddech, ślizgając się po mokrych kamieniach. Na szczęście w większości przypadków cel udaje się osiągnąć i górę zdobyć, czego efekty możemy podziwiać na „ścianach" portali społecznościowych. Tyle że w większości przypadków „zdobywcy" zawdzięczają to nie samozaparciu czy umiejętnościom, a szczęściu. Niektórym jednak tego szczęścia brakuje, co kończy się niebezpiecznym upadkiem lub problemami zdrowotnymi, np. z sercem. Wtedy pozostaje czekać na pomoc ratowników górskich.

TOPR-owcy i GOPR-owcy zgodnie przyznają, że jednym z najczęstszych błędów popełnianych przez turystów jest złe oszacowanie własnych sił i uleganie presji. Np. w Tatrach coraz częściej na trudne technicznie i wymagające szlaki (np. Rysy, Orla Perć, Kościelec) trafiają osoby, które nigdy nie powinny się na nich znaleźć. Brakuje im umiejętności, kondycji czy świadomości własnych ograniczeń (np. lęk wysokości). Co więcej, często nie mają nawet odpowiedniego ekwipunku – dobrych butów, nakrycia głowy czy kurtki przeciwdeszczo-

Tatrzański Park Narodowy odwiedza rocznie ponad 3 mln turystów. Niestety każdego roku rośnie też liczba wypadków. Jak wynika ze statystyk TOPR, najwięcej, bo aż 12 proc., śmiertelnych wypadków ma miejsce w rejonie Orlej Perci. Niebezpieczne są również Giewont i Rysy. Z roku na rok rośnie też liczba akcji ratunkowych podejmowanych przez ratowników górskich.

Fot. Materiały prasowe PZU & GOPR

eprasa.pl 7e1fc54e41

wej latem, a zimą raków i czekana. Zdarzają się przypadki, gdy „wędrowcy" udają się na taki szlak bez plecaka, dzierżąc w dłoni wyłącznie butelkę napoju. Wchodzenie np. na Giewont w klapkach czy „japonkach" pomińmy milczeniem.

Jednak, jak podkreślają ratownicy, sam sprzęt też nie chroni przed wypadkami. Czasami nawet daje on złudne poczucie bezpieczeństwa i tym samym prowokuje nieszczęście. Na szlakach coraz częściej można spotkać doskonale wyposażone osoby, które jednak gubi podstawowy brak orientacji w terenie, nieumiejętność odczytywania danych z GPS czy błędne oszacowanie własnych możliwości i umiejętności.

Z kolei przykładem skrajnej nieodpowiedzialności jest zabieranie na trudne szlaki małych dzieci. Rodzice, oceniając je przez pryzmat własnych sił, są przekonani, że ich „mali bohaterowie" dadzą sobie radę. Nie biorą pod uwagę, że dziecko może się przestraszyć wysokości czy nieopatrznie potknąć. Nie uwzględniają też, że wędrówka z maluchami może być o wiele bardziej czasochłonna.

5 minut, które mogą zmienić wiele, czyli czy mam na to czas?

Umiejętność odpowiedniego zaplanowania podróży jest podczas wyjść w góry niemal tak samo ważna, jak świadomość własnych możliwości. Wielu turystów jednak nie zwraca na to uwagi. Zdarzają się przypadki, że niektórzy wielogodzinną wędrówkę zaczynają dopiero po południu. Choć w lipcu czy sierpniu słońce zachodzi stosunkowo późno, to w górach ciemność przychodzi dość nagle. O ile sytuacja, gdy noc zastanie nas w partiach reglowych nie jest szczególnie niebezpieczna, to schodzenie po stromych zboczach bez światła dziennego (a często bez czołówki) może zakończyć się tragedią. Tym bardziej że wraz ze zmianą pory dnia zmienia się też pogoda. Może nagle zrobić się zimno, a kamienie mogą zacząć wilgotnieć.

Pioruny na grani, czyli jaka będzie pogoda?

Podstawowym obowiązkiem każdego planującego wyprawę w wyższe partie gór powinno być sprawdzenie prognozy pogody i uwzględnienie jej w swoich planach. Zdobywanie szczytów w ulewny deszcz czy podczas halnego jest nie tylko nieprzyjemne, ale może być niebezpieczne. Kamienie mogą być śliskie, a porywisty wiatr może nastręczać poważnych trudności nawet najbardziej wprawionym piechurom. Wybierający się w tym roku w Tatry muszą pamiętać, że w górach zima była bardzo długa. Na niektórych szlakach jeszcze w lipcu mogą zalegać czapy twardego śniegu utrudniającego wędrówki. Takie sytuacje z pewnością będą miały miejsce na północnych zacienionych zboczach, tym bardziej że ostatni, jak do tej pory, śnieg padał w Tatrach jeszcze pod koniec maja. Kolejnym czynnikiem atmosferycznym, o którym nie powinni zapominać turyści, są burze. W miesiącach letnich zdarzają się one niemal codziennie, głównie w godzinach przedpołudniowych. O tym, że przebywanie w wyższych partiach gór podczas burzy może być śmiertelnie niebezpieczne, przekonaliśmy się w 2019 r. W wyniku załamania pogody i nawałnicy, która przeszła między innymi nad Giewontem, zginęło 5 osób, a ponad 200 zostało rannych. Ratownicy i pracownicy parku narodowego co roku przypominają, że pogoda w górach jest nieprzewidywalna. Nawet jeżeli prognozy są optymistyczne, zawsze powinniśmy mieć świadomość, że pogoda może zmienić się nagle. Nie można zapominać też, że warunki w wyższych partiach gór często są inne niż na dole. Skuszeni piękną pogodą w Kuźnicach albo Szklarskiej Porębie, na Kasprowym Wierchu albo Śnieżce, możemy znaleźć się w diametralnie innej „strefie klimatycznej". W T-shircie czy krótkich spodenkach może być nam zwyczajnie zimno, a ograniczona przez deszcz czy mgłę widoczność może utrudniać przemieszczanie. Mgła w wyższych partiach gór może sprawić, że pobłądzimy nawet na dobrze znanym i stosunkowo prostym szlaku. W takich okolicznościach możemy nie zauważyć oznakowania szlaku i z niego zboczyć, co może doprowadzić do sytuacji niebezpiecznej. Jeżeli tak się stanie, musimy też mieć świadomość, że ciężkie warunki pogodowe mogą utrudnić przeprowadzenie ewentualnej akcji ratunkowej. Nie zdając sobie z tego sprawy, możemy też znaleźć się po drugiej stronie granicy, a pomocy mogą nam udzielić np. słowaccy ratownicy. Jeżeli nie mamy wykupionego odpowiedniego ubezpieczenia, może to oznaczać dla nas poważne wydatki. Słowackie służby, w przeciwieństwie do polskich, pobierają opłaty za udzielenie pomocy.

Przez lata kolejki na szlakach były zmorą głównie turystów zdobywających Giewont. Jednak z każdym kolejnym rokiem jest coraz gorzej. Zatory tworzą się już nie tylko pod „Rycerzem", ale także na Orlej Perci czy na Rysach. Kolejki przestają być specyfiką tatrzańską. O miejsce na szczycie coraz trudniej bywa także na Babiej Górze czy Trzech Koronach.

Nasze bezpieczeństwo zależy od nas

W polskich górach istnieją wyspecjalizowane służby ratunkowe TOPR i GOPR, który od ponad 15 lat jest wspierany przez PZU. Pomoc PZU polega m.in. na finansowaniu sprzętu, szkoleń dla ratowników oraz programów prewencyjnych Ubezpieczyciel wspólnie z Polskim Stowarzyszeniem Freeskingu edukuje w zakresie bezpieczeństwa. Od lat na Kalatówkach działa lawinowe Centrum Treningowe PZU, w którym prowadzone są kursy i szkolenia lawinowe. W ramach współpracy ratowników z PZU powstają także materiały edukacyjne. W tym roku został zrealizowany m.in. projekt „Szlakiem GOPR" – seria filmów prezentująca rejony działania ratowników. Jadąc w góry, powinniśmy jednak pamiętać, że nasze bezpieczeństwo zależy głównie od nas. Służby nie zawsze mogą zdążyć na czas albo mogą mieć problem z precyzyjnym określeniem naszej bieżącej lokalizacji. Ustalenie, gdzie dokładnie znajduje się osoba wzywająca pomoc, może ułatwić posiadanie zainstalowanej w telefonie aplikacji „Ratunek". Warto też pamiętać o numerze alarmowym: 985 lub 601 100 300. Wychodząc na szlak, powinniśmy zabrać ze sobą nie tylko aparat i prowiant, ale także odrobinę zdrowego rozsądku. Mapa też się przyda. ●

eprasa.pl 7e1fc54e41

Fot. Mazurskie Ochotnicze Pogotowie Ratunkowe

BEZPIECZEŃSTWO NAD WODĄ

Brawura to nie odwaga

Tylko w ubiegłym roku prawie pół tysiąca osób w Polsce utonęło. Niemal połowa z ofiar to ludzie po pięćdziesiątce, wydawałoby się już dojrzali i potrafiący dobrze pływać. Niestety, gubi nas często zbytnia wiara we własne umiejętności pływackie, połączona z brawurą, a zdarza się, że i z alkoholem. Policja i ratownicy od lat apelują, żeby wypoczywający nad wodą zachowali rozwagę i ostrożność. To jedyny sposób, by skutecznie przerwać tę czarną serię

Każdego lata czołówki gazet i portali donoszą o kolejnych tragicznych zdarzeniach nad wodą. Toną dzieci na chwilę spuszczone z oka, nastolatkowie popisujący się przed kolegami, ale także, co może zaskakiwać, ludzie dorośli, którzy teoretycznie powinni przecież zdawać sobie sprawę z konsekwencji niebezpiecznych zachowań nad wodą. Jak wynika ze statystyk policyjnych, właśnie 40- i 50-latkowie stanowią największą liczebnie grupę ofiar utonięć. Głównie mężczyźni – wśród 460 osób, które utonęły w Polsce w 2020 r., 48 to kobiety. Warto również podkreślić, że najwięcej osób utonęło w rzekach.

Widać zatem wyraźnie, że to dojrzali mężczyźni, często w zbyt brawurowy sposób korzystają z niestrzeżonych kąpielisk i mają większą skłonność do przeceniania swoich możliwości pływackich. Niemal połowa wszystkich ofiar (dokładnie 223 osoby) miała ponad 50 lat i najprawdopodobniej wiele lat doświadczenia pływackiego na koncie. Niestety statystyki pokazują jeszcze jeden smutny fakt – aż jedna czwarta tragicznie zmarłych w wodzie osób bezpośrednio przed wypadkiem piła alkohol.

Jak zatem poprawić stan bezpieczeństwa nad polskimi akwenami i skutecznie obniżyć liczbę tragedii, która lawinowo rośnie w naszym kraju? Nie pozostaje nic innego, jak powtarzane regularnie apele o rozsądek i uświadamianie Polakom tragicznych konsekwencji lekkomyślnych zachowań nad wodą. Nie skaczemy na główkę do rzeki czy jeziora, nie wchodzimy po alkoholu do wody, kąpiemy się tylko w strzeżonych miejscach. Proste zasady, które warto wziąć sobie do serca. Kluczowe jest także wsparcie dla systemu ratownictwa, bo przecież od tragicznej liczby utonięć jeszcze większa jest liczba osób, które żyją dzięki błyskawicznej akcji ratowników.

Pomagamy tym, którzy pomagają innym

PZU od lat wspiera ratowników wodnych. Wśród nich jest ekipa pracująca na terenie powiatu legionowskiego. To właśnie dzięki pomocy ubezpieczyciela

eprasa.pl 7e1fc54e41

m.in. znacząco wzrosło bezpieczeństwo kąpieli nad Jeziorem Zegrzyńskim – popularnym kąpieliskiem niedaleko Warszawy. PZU wyposażył legionowski WOPR w specjalistyczny sprzęt i narzędzia, a także zmodernizował konieczną infrastrukturę. Współpraca LWOPR z PZU trwa niezmiennie już od 2012 r. Pierwszą inwestycją w sprzęt ratowniczy był zakup silnika zaburtowego do łodzi. Ratownicy zyskali szybki i sprawny środek transportu, dzięki któremu mogą docierać do osób potrzebujących pomocy. W kolejnych latach środki z funduszu prewencyjnego PZU wsparły m.in. wybudowanie pomostów i parkingu, co pozwoliło na właściwe cumowanie łodzi oraz sprawne i bezpieczne podejmowanie akcji ratunkowych, a także zakup samochodu terenowego używanego do wodowania i holowania łodzi i busa przeznaczonego do przewozu zespołu ratowników. PZU kupił też ratownikom profesjonalny system łączności, który jest podstawą prawidłowego prowadzenia akcji ratunkowych, oraz łódź ratowniczą i sonar służący do poszukiwania osób znajdujących się pod wodą. Pomoc ubezpieczyciela jest na wagę życia, i to dosłownie. W ubiegłym roku LWOPR uratował 250 osób, m.in. dzięki inwestycjom ze środków funduszu prewencyjnego PZU.

Ubezpieczyciel wspiera także Mazurskie Ochotnicze Pogotowie Ratunkowe, które w ostatnim czasie znalazło się w bardzo trudnej sytuacji finansowej. Ratownicy MOPR uruchomili zbiórkę pieniędzy, które pozwoliłyby im wyjść z problemów finansowych spowodowanych przez pandemię. Z pomocą natychmiast przyszło PZU. Środki od ubezpieczyciela pójdą na najpilniejsze wydatki, w tym na modernizację sprzętu ratowniczego. Nie będzie to jednorazowa pomoc – PZU chce wspierać MOPR przez kolejne lata.

Monitoring dzikich kąpielisk

Przed nami kolejne ważne projekty, które poprawią bezpieczeństwo nad wodą. Dzięki pomocy PZU legionowscy ratownicy zmodernizują i rozbudują sieć monitoringu wizyjnego. To bardzo istotna inwestycja – monitoring będzie obejmował rejon Jeziora Zegrzyńskiego ze szczególnym uwzględnieniem miejsc zwyczajowo wykorzystywanych do kąpieli, a dotychczas nienadzorowanych.

Jak ratować w czasie pandemii

Podejmowanie akcji ratunkowych jest obowiązkiem każdego człowieka, nie tylko ratownika WOPR czy GOPR. Należy jednak pamiętać o kilku zasadach bezpieczeństwa. Ofiara wyciągnięta z wody jest często nieprzytomna. Trzeba rozpoznać, czy poszkodowany oddycha. Nie przykładaj jednak ucha ani policzka w okolice ust poszkodowanego, tylko poobserwuj go przez krótką chwilę, zwracając uwagę, czy klatka piersiowa unosi się i opada. Jeśli nie będziesz w stanie jednoznacznie rozpoznać funkcji oddychania, natychmiast przystąp do resuscytacji krążeniowo-oddechowej.

Istotna zmiana dotycząca zaleceń w dobie pandemii polega na ograniczeniu się do uciskania klatki piersiowej w tempie mniej więcej dwa razy na sekundę i rezygnacji z prowadzenia oddechów ratunkowych. Eksperci zalecają natomiast, by w przypadku ratowania ofiar w wieku dziecięcym starać się dostarczyć jednak tlen do ich organizmów, nawet pomimo ryzyka zakażenia wirusem SARS-CoV-2.

Należy także unikać kontaktu z krwią, śliną i innymi wydzielinami osoby poszkodowanej. Warto też wykorzystać wszelkie posiadane środki ochronne, takie jak rękawiczki czy płyny dezynfekujące. Dokładna dezynfekcja jest konieczna zwłaszcza po zakończeniu akcji resuscytacyjnej. Używane w jej czasie środki ochronne czy opatrunkowe należy wyrzucić do pojemnika na odpady medyczne, a jeśli takiego nie ma w pobliżu (a trudno spodziewać się go na kąpielisku), najlepiej przekazać je wezwanemu na miejsce zespołowi ratownictwa medycznego. ●

Utonięcia w Polsce w 2020 r.

Policja odnotowała **483 przypadki tonięcia**, z których aż **460** zakończyło się **śmiercią ofiar. Utonęło 412 mężczyzn i 48 kobiet.**

Wiek ofiar utonięć:
- do 7 lat – 5
- 8–14 lat – 5
- 15–18 lat – 13
- 19–30 lat – 63
- 31–50 lat – 143
- powyżej 50 lat – 223

Liczba osób, które utonęły – ze względu na rodzaj zbiornika wodnego:
- rzeka – **118**
- jezioro – **111**
- staw – **84**
- zalew – **37**
- morze – **25**

Najczęstsze okoliczności wypadków utonięcia (liczba osób, które utonęły):
- kąpiel w miejscu niestrzeżonym, lecz niezabronionym – **64**
- nieostrożność w czasie przebywania nad wodą – **38**
- nieostrożność w czasie łowienia ryb – **34**
- kąpiel w miejscu zabronionym – **25**

W 2020 r. **117 osób przed utonięciem spożywało alkohol.**

źródło: Komenda Główna Policji

Dodatek sfinansowano z funduszu prewencyjnego PZU

Z myślą o bezpieczeństwie

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 7e1fc54e41

Hit tygodnia

Pentax K-3 Mark III

Dawno temu, w czasach aparatów na film, firma Pentax należała do najpopularniejszych na świecie. Dziś, po wielu perypetiach, w erze cyfrowej fotografii jest cieniem siebie z przeszłości – jeśli chodzi o popularność, nie jakość – bo ta zawsze była oczkiem w głowie firmy. Tak jest też w przypadku lustrzanki K-3 Mark III. Gdyż Pentax chce się skupić na rynku lustrzanek i właśnie w tym segmencie szukać swojego miejsca. K-3 Mark III został wyposażony w matrycę APS-C mającą 25,7 Mpix, pięcioosiową stabilizację obrazu o efektywności 5.5 EV, bardzo szeroki zakres ISO, od 100 do 1600000. Zapewne zwolennicy filmowania będą nieco rozczarowani, choć nagrywanie 4K oczywiście jest. Warto pamiętać o dużym wyborze obiektywów, w tym manualnych, gdyż Pentax cały czas ma ten sam bagnet. Pytanie, czy to wystarczy, by dziś utrzymać się na rynku?

Cena: 8 999 zł (sam korpus, bez obiektywu)

Plusy i minusy

+ bardzo dobre parametry, duży wybór obiektywów, w tym manualnych
– cena

Razer Iskur X – krzesło dla graczy

Gracze potrzebują – jak się okazuje – nie tylko odpowiednio sprofilowanych myszek, klawiatur, padów, nie mówiąc o komputerach, lecz także krzeseł. Czy to w sumie dziwne? Razer, jedna z czołowych na świecie marek lifestyle'owych dla graczy, pokazała nowy fotel gamingowy, który został zaprojektowany z myślą o ergonomii, maksymalnym komforcie użytkowania oraz trwałości. Fotel wyposażono w korpus wzmocniony stalą oraz pokryto go pianką o wysokiej gęstości. Całość wykończono wielowarstwową, odporną skórą syntetyczną. Iskur X wytrzymuje obciążenie do 136 kg. Jego wyprofilowane oparcie daje lepsze wsparcie dla naturalnej krzywizny kręgosłupa. Podłokietniki 2D zmniejszają obciążenie nadgarstków i ramion, a zakrzywiona krawędź siedziska maksymalizuje podparcie dla górnej części nóg i ud. Dzięki możliwości odchylania się w wielu kierunkach w Iskur X można zmienić pozycję tak, aby użytkownik mógł uzyskać najbardziej wygodną dla siebie postawę podczas długich sesji gry. Szczerze mówiąc, to takie krzesło przydałoby się nie tylko graczom, lecz wszystkim osobom, których narzędziem pracy jest komputer.

Cena: 399 euro

Maxcom MS572

Smartfon MS572 to najnowszy telefon w ofercie polskiej firmy Maxcom. Urządzenie może się pochwalić wzmocnioną obudową, spełniającą wojskowy standard MIL-STD-810. Oznacza to, że przeszedł pomyślnie rygorystyczne testy wielokrotnych upadków z wysokości 1,2 m. Norma IP68, którą urządzenie posiada, gwarantuje odporność na pył, kurz oraz wodę, w której przebywać może przez kilkadziesiąt minut bez obawy uszkodzeń. Telefon ma czterordzeniowy procesor MediaTek Helio MT6761D 1,8GHz, ma też 3 GB pamięci podręcznej oraz 32 GB pamięci flash, wyświetlacz o przekątnej 5,71 cala, baterię o pojemności 4100 mAh. Model ma 157 mm wysokości, 77 mm szerokości i 12 mm grubości. Waży 205 g. **Cena: 699 zł**

Przygotował ***Paweł Gadaczek***

eprasa.pl 7e1fc54e41

Wszystko dla reprezentacji

Rolą trenera jest stworzyć rodzinę z graczy o różnych charakterach. Nie może być tak, że w dobrym zespole podczas turnieju są ludzie, którzy chodzą swoimi ścieżkami. Jesteśmy zjednoczeni celem, wszyscy mamy orzełka na piersi. To ma być wspólnota spełniająca oczekiwania 40 mln ludzi

Cezary Kowalski rozmawia z Jerzym Engelem, byłym selekcjonerem reprezentacji Polski

Obserwując ostatnie mecze reprezentacji przed mistrzostwami Europy, trudno odnieść wrażenie, że Paulo Sousa stworzył drużynę zdolną do rzeczy wielkich.

Jerzy Engel: Argument, który jest wysuwany przy okazji, czyli brak czasu, nie do końca do mnie przemawia. Portugalczyk prowadzi drużynę od stycznia, rozegrał trzy mecze eliminacyjne, dwa sparingowe. Naprawdę miał bardzo dużo czasu, aby poznać zespół, aby piłkarze poznali jego. Można było przedstawić swoją wizję gry, ustawienia, sposoby zwyciężania, no i dokonać właściwej selekcji. Na pięć minut przed turniejem tego ostatniego nie było widać. Że ma grać Lewandowski, Szczęsny czy Krychowiak, to wiedzieliśmy już przed przyjściem selekcjonera. W wielu pozostałych przypadkach trudno wywnioskować, o co chodzi. Wiemy, jaka ma być z grubsza taktyka, że mamy grać trzema obrońcami, hybrydowo na bokach. Czyli jeden z czwórki obrońców włącza się do akcji ofensywnych, a ten z drugiej strony niekoniecznie. Kilka innych elementów też jest powtarzanych. To nie jest tak, że Sousa nic tu nie zmienił. Mam nadzieję, że zespół się uczył. Że „zatrybi" już od pierwszego meczu na Euro 2021 [rozmawialiśmy w czwartek 10 czerwca – przyp. red.].

Na jakiej podstawie wnosi pan ten optymizm, poza wiarą, że będzie dobrze?

Choćby na podstawie kłopotów naszych przeciwników. Liczba kontuzji i absencji z powodu chorób w takich drużynach jak Hiszpania i Szwecja, które są naszymi rywalami w fazie grupowej, to jest wielka szansa, abyśmy stali się faworytem grupy.

Przepraszam, czy dobrze usłyszałem? Faworytem?

Tak, oczywiście. Patrzę realnie, widzę, że Hiszpanie musieli dowołać awaryjnie 11 graczy.

Ale oni mają taki potencjał, że nawet trzeci garnitur może być świetny...

Spokojnie. Co innego gra w klubie, a co innego w reprezentacji.

Czy w tym ostatnim meczu sparingowym z Islandią Sousa nie powinien jednak wystawić galowego składu, wygrać i wlać w serca kibiców trochę nadziei?

Tak uważam. Przynajmniej defensywa, która jest kluczową formacją, powinna być już zgranym monolitem. Nie wiem, z jakiego względu nie udało się tego zrobić.

Nie jest pan Sousą nieco rozczarowany?

Poczekajmy.

eprasa.pl 7e1fc54e41

Fot. Aleksandra Szmigiel-Wiśniewska/Reporter

Na ile w pracy selekcjonera istotne są umiejętności socjotechniczne. Dotarcie do zawodników, zbajerowanie? Pan był w tym mistrzem.

Ja bym tego nie nazwał bajerem. Zawodników nie można oszukiwać. Trzeba być zawsze fair. Owszem, tłumaczyłem swoim piłkarzom, że mogą zrobić więcej niż dotychczas, ale mówiłem to na podstawie swojej analizy. Po prostu próbowałem ich otwierać, wydobywać to, co najlepsze. Patrzę na Sousę i widzę, że też ma ku temu zadatki. Próbuje dotrzeć do graczy, nie jest powierzchowny. Problem jest tylko językowy. Nie wszyscy znają perfekcyjnie angielski. Trudno powiedzieć, jaki jest odbiór.

Czy dla polskich trenerów zatrudnianie obcokrajowców na stanowisku selekcjonera reprezentacji to jakiś kolec w oku? Za wielkie pieniądze został zatrudniony trener, który nie ma jakichś wyjątkowych sukcesów międzynarodowych.

Na całym świecie to się zdarza. Anglicy swego czasu zatrudnili Włocha Capello. Był Szwed Eriksson. Ale później biegusiem wracano do swoich. Do trenerów, którzy doskonale znają piłkarzy, realia, mentalność, którzy mówią tym samym językiem. Kiedyś spróbowaliśmy z Beenhakkerem. Udało się tylko po części. Teraz jest kolejna próba. Jak będzie dobrze, to wszyscy będziemy się cieszyć. My nie mamy problemu, że obcokrajowiec pracuje w Polsce. Jest jednak problem z narodową reprezentacją. Jestem człowiekiem starej daty i uważam, że jak jest grany polski hymn, a biało-czerwoną wciągają na maszt, to my bardziej to przeżywamy i bardziej się z tym utożsamiamy niż ktokolwiek z zagranicy.

W kadrze są dwie grupy, co nie jest żadną tajemnicą. Jedna skupiona wokół Lewandowskiego, druga wokół Glika. Obaj liderzy nie przepadają za sobą. Czy to może być jakiś problem dla reprezentacji?

Rolą trenera jest stworzyć rodzinę z graczy o różnych charakterach. Poradzić sobie z tym. Nie może być tak, że w dobrym zespole podczas turnieju są ludzie, którzy

eprasa.pl 7e1fc54e41

chodzą swoimi ścieżkami. Jesteśmy zjednoczeni celem, wszyscy tak samo ubrani, mamy orzełka na piersi. To ma być wspólnota spełniająca oczekiwania 40 mln ludzi.

Wojciech Szczęsny powiedział, że nigdy wcześniej nie było tak dobrej atmosfery jak przed Euro 2021...

Jak pamiętam, to zawsze mówiło się, że jest tak dobra atmosfera jak nigdy. Tylko wyniki często bywały jak zawsze [śmiech]. Ale mówiąc serio, to dobrze, że piłkarze tak się czują. Oby tylko byli w stanie poświęcić się dla reprezentacji.

Ale to jest przecież oczywiste.

Niekoniecznie. Jednak oni w klubach otrzymują ogromne pieniądze, cały czas o tych pracodawcach myślą, nawet jak są w reprezentacji. Kalkulują, gdzie odejść, szukają transferów, są w kontakcie ze swoimi agentami. To błąd. Na ten czas powinno im się zabrać wszystkie komórki, tak by skupili się tylko i wyłącznie na wzajemnych relacjach i wynikach drużyny.

Poważnie – zabrałby pan dorosłym facetom telefony komórkowe?

A po co im te komórki?

Kontakt ze światem jest potrzebny...

To był mój największy błąd w Korei w 2002 r. W Tedzon dałem im kontakt ze światem, 25 komputerów z internetem w jednej sali. Koncentrowali się na swoich biznesach, to raz. A dwa, zobaczyli, co się o nich pisze. To była totalna krytyka. Wyszli na świat zewnętrzny i nasiąkli tą negatywną atmosferą, odczuli hejt. To nie nastrajało pozytywnie, demobilizowało.

Zbigniew Boniek mówi, że nie można abstrahować od rzeczywistości, że lepiej czuć presję, oczekiwania kibiców...

Nie każdy piłkarz jest Bońkiem, tak odpornym na wiele spraw. Nie każdy idzie na zwarcie. Są piłkarze w kadrze, którzy mają problem z krytyką. Raczej trzeba ich wspierać, niż wystawiać na strzały.

Nie za dużo tych wydarzeń obok kadry było? Koncert Golców, wizyta żon, bajery, rowery.

Zbyt dużo blichtru zawsze szkodzi. Gdyby to ode mnie zależało, dałbym kadrze więcej spokoju.

Kto wygra Euro 2021?
Jerzy Engel: Włosi albo Francuzi

Wypadło dwóch napastników – Piątek i Milik. Sousa nie skorzystał z możliwości dowołania graczy z listy rezerwowych. Rozumie pan to?

Nie wiem, jaka jest w tym logika, nie rozumiem tego, ale nie powiem, że to jest błąd. Jestem zdziwiony tym, że tak dobry piłkarz jak Szymański jest niepowołany.

Co zrobić, aby Lewandowski miał lepszy serwis, lepszą obsługę ze strony drużyny?

Do tej pory warianty gry nie sprzyjały Lewandowskiemu, ale to nie znaczy, że nie może strzelać tak jak w Bayernie.

Bogusław Kaczmarek, były asystent Beenhakkera, mówi, że tu nie ma co kombinować, trzeba tylko złapać za telefon i zadzwonić do Gennaro Gattusa z pytaniem, co zrobił, że Zieliński w Napoli tak świetnie obsługiwał w tym sezonie napastników.

Ale to jest bardzo proste. Trzeba go ustawić dużo bliżej bramki, on ma fantastyczne ostatnie podanie, musi być jednak swobodnie ustawiony, bez zadań defensywnych. On za często gra do tyłu. Mam nadzieję, że Sousa to widzi.

Kto wygra turniej?

Włosi albo Francuzi.

Cezary Kowalski jest komentatorem Polsat Sport

Fot. Beata Zawadzka/East News

eprasa.pl 7e1fc54e41

Rimac Nevera – chorwacki superelektryk

No i Chorwaci pokazali, na co ich stać. Oto Rimac Nevera – produkcyjny model samochodu koncepcyjnego Rimac C_Two, który został zaprezentowany na Międzynarodowym Salonie Samochodowym w Genewie w 2018 r. Od tego czasu inżynierowie Rimac udoskonalili swój nowy flagowy model. Krótko: Nevera ma moc 1914 KM i maksymalny moment obrotowy 2360 Nm, ma cztery silniki, każdy na jedno koło. Jeśli chodzi o prędkość, to niecałe 2 s wystarczają, by rozpędzić pojazd do 100 km/h, prędkość maksymalna 412 km/h. To najszybszy obecnie samochód elektryczny na świecie. Bo Rimac Nevera to elektryk. 120 kWh pojemności akumulatorów przekłada się na 550 km maksymalnego zasięgu. Można pojeździć, ale przyda się 2 mln euro. Do produkcji trafić ma 150 egzemplarzy.

AUTOFOCUS, czyli co warto wiedzieć

Kia zaprezentowała nową, piątą już generację SUV-a Sportage. Samochód zwraca uwagę bardzo odświeżonym nadwoziem. – Nowy sportage przyciąga uwagę nowoczesnym i innowacyjnym, jak na SUV-a, designem. W przypadku nowego sportage nie chcieliśmy zrobić wyłącznie kroku naprzód. Naszą ambicją było przejście na zupełnie inny poziom designu w segmencie SUV-ów – mówi Karim Habib, wiceprezes i dyrektor Global Design Center. Również wnętrze nowego sportage ma odważny charakter, a dopasowana do kierowcy przestrzeń prezentuje się bardzo nowocześnie. We wrześniu, pierwszy raz w 28-letniej historii tego modelu, Kia Europe zaprezentuje europejską wersję sportage.

Firma Lego ma w swojej ofercie najróżniejsze zestawy klocków, również takie, z których można złożyć skomplikowane modele samochodów. Można znaleźć wśród nich naprawdę

luksusowe marki, jak choćby Bugatti Chiron, Ducati Panigale czy Lamborghini Sian FKP 37. Tyle że teraz do tego ostatniego można wsiąść, gdyż samochód został odwzorowany w skali 1:1 (498 cm długości, 210,1 cm szerokości i 113,3 cm wysokości), a zestaw składa się z ponad 400 tys. klocków. Jeśli ktoś jednak uważa, że zbyt dużo czasu trzeba poświęcić na złożenie własnego lamborghini sian, zawsze może spróbować sił z modelem w skali 1:8, który ma „zaledwie" 3696 elementów.

Czy można połączyć miłość do klasycznych modeli z nowoczesnymi technologiami? Cóż to za pytanie, ktoś powie. Oczywiście, że tak! Jest już nawet termin na takie pojazdy: restomod. Przykładem takiego właśnie auta jest opel manta, który 50 lat od swojej premiery wraca właśnie jako pierwszy elektryczny restomod w historii niemieckiej marki. Opel manta GSe elektroMOD łączy w sobie to, co najlepsze z obu światów: ikoniczny, stylowy wygląd z najnowocześniejszą technologią, ponieważ jest elektryczny i bezemisyjny. Ma w pełni elektryczny silnik, moc 108 kW/147 KM, tylny układ napędowy i oryginalną czterobiegową skrzynię biegów.

1 czerwca weszła w życie nowelizacja Prawa o ruchu drogowym. Już na pewno wszyscy zapoznali się ze zmianami, ale dla przypomnienia: teraz pieszy ma pierwszeństwo już nie tylko na pasach, ale w momencie gdy na nie wchodzi! Niezastosowanie się do nowego przepisu grozi mandatem w wysokości 350 zł i sześcioma punktami karnymi!

Przygotował ***Paweł Gadaczek***

eprasa.pl 7e1fc54e41

ARKADIUSZ JANICZEK AKTOR

Jest dobrze, jest pięknie

Od 24 lat jestem aktorem Teatru Narodowego, który mieści się przy placu Teatralnym w Warszawie. Niedaleko, przy ulicy Miodowej, jest Akademia Teatralna, którą skończyłem w 1998 r. Takie miejsca są dla mnie ważne, bo jestem człowiekiem raczej zajętym. Z powodu zawodu, który uprawiam. Nie przyjechałem do stolicy, żeby odpoczywać, tylko dać z siebie wszystko.

Jeśli pyta pani o inne znaczące dla mnie adresy czy przestrzenie, to jest w Warszawie kamienica, gdzie równo miesiąc, w autentycznych wnętrzach, nagrywaliśmy zdjęcia z panem Krzysztofem Krauzem i Joanną Kos-Krauze. Za każdym razem, kiedy jestem w pobliżu ulicy Narbutta, przypomina mi się rok 2005 i historia z „Placu Zbawiciela". Rok później film dostał w Gdyni Złote Lwy.

Jak wspominam Złotopolice? Trudno powiedzieć. Na planie serialu „Złotopolscy" przeżyłem pięknych 12 lat [zdjęcia powstawały w latach 1997-2010 – przyp. red.]. I spędziłem je... w hali studia L2 na Woronicza. Nigdzie indziej. Byłem aktorem, który miał tzw. jedną lokalizację, czyli komisariat zbudowany właśnie w hali. Tak więc „Złotopolscy" będą mi się kojarzyli nie ze Złotopolicami, w których nie gościłem, ale z terenem TVP i tym jednym miejscem, w którym miałem przyjemność przez ponad dekadę przebywać z Pawłem Wawrzeckim i obserwować mistrza humoru.

Wyjątkowo trudny czas zamknięcia z powodu pandemii był dla mnie, można powiedzieć, łaskawy. Trzy sezony serialu „Stulecie Winnych" dały mi dostęp do dwóch przepięknych skansenów: Muzeum Wsi Radomskiej i wielkiego Muzeum Wsi Mazowieckiej w Sierpcu. Doświadczyłem w tych przestrzeniach czegoś, czego mi nikt nie odbierze. Jako Władysław Winny żyłem w tych skansenach. Miałem przyjemność być ich mieszkańcem, chociaż tylko tymczasowym. Te dwa miejsca absolutnie zapadną mi w pamięć.

Byłem też na obrzeżach prawdziwego Brwinowa, w... PGR-ze czy raczej w czymś, co w serialu udawało PGR. To jest dzisiaj zubożały ośrodek rozsadu jakichś roślin eksperymentalnych. Przez dwa dni przychodziłem tam, nagrywając zdjęcia w scenografii z lat 60.

Prywatnie Brwinowa nie zwiedzałem, ale gościłem kiedyś u pani Ałbeny Grabowskiej, autorki książek, na podstawie których powstał serial, więc mam to miejsce zaliczone. I jak z dziećmi przyjeżdżamy co jakiś czas do Podkowy Leśnej – która jest niedaleko i w której Iwaszkiewiczowie i Lilpopowie mieli swoje posiadłości – a jedziemy przez Brwinów, to zwracam im na to uwagę.

Bywam dość regularnie w rodzinnym Opolu – mieszkają tam moi rodzice i teściowie. To miasto żyje i pięknie rozkwita na kilka dni w roku. Kiedy odbywa się tam Krajowy Festiwal Piosenki Polskiej, warto Opole odwiedzić. Jest wtedy najbardziej interesujące.

Poza czasem festiwalu to nie jest przestrzeń stricte turystyczna. Tak jak Sopot. Miałem porównanie, gdy dwa lata temu, przez sześć tygodni, byłem na planie filmu „Raz, jeszcze raz" (2020). Zdjęcia powstawały właśnie w Sopocie i widziałem różnicę. W Opolu nie ma tylu takich przybyszów w ciągu roku, co tu w weekend.

Sporo czasu spędzam ostatnio w pięknych okolicznościach przyrody, chociaż serialowa miejscowość Leśniczówka to dla mnie... stajnia. 90 proc. moich dni zdjęciowych odbywa się właśnie w stajni w Chojnowie. Tam jest mój serialowy dom, ale też m.in. restauracja Borowik.

Obiekt jest naprawdę duży i posadowiony niemal tuż przy ścianie lasu Chojnowskiego Parku Krajobrazowego. Cudowne miejsce. I niedaleko od domu. Trudno więc narzekać. Nie jeżdżę grać w telenoweli w jakichś górach wysokich czy na lodowcu. Jest dobrze, jest pięknie.

Jolanta Gajda-Zadworna

Fot. Magdalena Gorfińska, Paweł Uchorczak/Shutterstock, Shutterstock

eprasa.pl 7e1fc54e41

SŁODKO-SŁONY

Zapach rumianku

ANNA MONICKA

Latem skóra inaczej pachnie. I nie chodzi mi o pot czy niedomytą pachę. Nagrzane słońcem ciało, zwłaszcza nasmarowane jakimś olejkiem, uwalnia substancje lotne, które otulają jak welon. Każdy ruch, powiew wiatru – i już są.

Moje ulubione letnie zapachy, oprócz egzotycznych z drzewa sandałowego, różanego czy figowego, to zwykły, pospolity rumianek – miodowy, gorzkawy, zielony. Wabi pszczoły i inne owady, które lubią lądować na żółtych „środkach" pełnych pyłku. Znany większości od dzieciństwa, bo mamy smarowały pewnie każdego z nas oliwką rumiankową, a potem dawały herbatkę, gdy bolał brzuch albo dodawały napar do kąpieli, gdy coś ugryzło albo dostaliśmy wysypki, bo rumianek działa przeciwzapalnie i łagodzi alergie. Jako dodatek do perfum – miałam takie kiedyś, i to nie byle jakie, bo Bulgari – łagodził stany napięcia i koił nerwy. Naukowcy zrobili kiedyś badania, z których wynikało, że, chociaż niby taki babski i dziecinny, podobnie działa na mężczyzn. Przywołuje wspomnienie matczynej opieki, ciepła, troskliwości.

Dlaczego o tym piszę? Bo sezon na rumianek właśnie się zaczął i chociaż ten nasz nie jest tak pachnący jak włoski czy grecki (tamte mają jednak znacznie więcej słońca), warto znaleźć sobie jakąś czystą, oddaloną od dróg łąkę i pozbierać bukiety. Czasu trochę jest, bo kwitnie do jesieni.

Dla mnie, oprócz mięty, majeranku, tymianku, melisy i szałwii, to najważniejsze zioło w domowej apteczce. Od naparu można dzień zaczynać i kończyć, bo pozytywnie nastraja do życia rano i ułatwia zasypianie wieczorem, zwłaszcza gdy człowiek przesadził z jedzeniem (działa rozkurczająco i żółciopędnie). A więc świetnie sprawdza się zamiast herbaty, a jest znacznie od niej zdrowszy.

Jeśli natomiast trochę naparu zostanie, warto go dodawać do kąpieli czy płukania włosów. A najlepiej zrobić inhalację, bo rewelacyjnie oczyszcza drogi oddechowe i działa przeciwzapalnie, albo okłady, jeśli poparzyło nas na wycieczce słońce.

WILCZYM OKIEM

Uniwersalny kwas mrówkowy

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Mrówki, pełniące wiele zadań w przyrodzie, same bywają pożywieniem innych zwierząt. Wielkim amatorem mrówek jest dzięcioł zielony. Ten bajecznie kolorowy ptak wykorzystuje swój kilkunastocentymetrowy język, który zazwyczaj spoczywa owinięty wokół czaszki wewnątrz głowy, do wyciągania mrówek z podziemnych korytarzy. Podobnie mrówkożerny jest krętogłów, ptak również należący do dzięciołowatych, w razie zagrożenia osobliwie wijący się, syczący i udający węża. Krętogłów ceni kwaśny smak mrówek w każdej postaci: jaj, larw i dorosłych owadów.

Mrówki wykorzystywane są przez ptaki również w innym celu. Jako kosmetyk lub raczej zespół wykwalifikowanych kosmetyczek, w dodatku używających produktów naturalnych.

Ptaki muszą dbać o upierzenie nie tylko ze względów higienicznych. Jest im konieczne, żeby móc latać. To dlatego poświęcają tak dużo czasu, pozornie tylko przeczesując pióra. W rzeczywistości jest to ustawiczny przegląd i serwisowanie zewnętrznych powłok najsprawniejszych lotników świata przyrody: rozprowadzanie substancji konserwujących, wygładzanie chorągiewek, łączenie haczykami poszczególnych promieni – nieco na zasadzie zamka błyskawicznego.

Problemem bywają też pasożyty ukrywające się w piórach. I tu zastosowanie znajdują mrówki. Widuje się ptaki, np. sójki czy kosy, kładące się na mrowisku w sposób pobudzający mrówki do działania. Parę ugryzień to niewielka cena; jednocześnie jednak mrówki, reagujące atakiem na zagrożenie, rzucają się na wszystko, co się rusza wokół, w tym na pasożyty ukryte w piórach. Zapewne – oprócz bezpośredniego rozprawienia się z pasożytami – istotne działanie ma również wydzielany przez nie kwas mrówkowy, którego cierpki zapach można wyczuć np. przy dużych kopcach leśnych mrówek rudnic. Dezynfekuje on pióra i na jakiś czas czyni nieatrakcyjnymi dla kolejnych dokuczliwych owadów czy pajęczaków.

Jakiś czas temu miałem okazję zaobserwować jeszcze bardziej przemyślane zastosowanie mrówek w zabiegach higienicznych ptaków. Szpak, któremu się przyglądałem, chwytał mrówki dziobem, jednak ich nie połykał. Ostrożnie wtykał je w różne zakamarki swojego upierzenia, za każdym razem się otrząsając – zapewne, żeby sprowokować mrówkę do działania.

7e1fc54e41

W ŚWIECIE LUSTER

HANNA KARP

Ten, który wołał: non possumus!

Brytyjczycy 2 czerwca 1953 r. mieli swój wielki dzień. W westminsterskiej, rzymskokatolickiej bazylice Najdroższej Krwi Pana Jezusa Chrystusa przeżywali, transmitowaną po raz pierwszy przez telewizje całego świata, uroczystą koronację królowej Elżbiety II.

Polacy swoje wielkie chwile mieli dwa dni później, 4 czerwca także 1953 r., gdy trzy miesiące po śmierci Józefa Stalina podczas procesji Bożego Ciała kard. Stefan Wyszyński wypowiedział pamiętne słowa: „...należy oddać co jest cezara cezarowi, a co Bożego Bogu. A gdy cezar siada na ołtarzu, to my mówimy krótko – nie wolno!". Tamte słowa wciąż brzmią i nie straciły aktualności. Przeciwnie, dziś nabrały nieoczekiwanych, dodatkowych znaczeń. Ówczesne główne uroczystości Bożego Ciała w Warszawie zgromadziły ok. 30 tys. wiernych, rok wcześniej raporty Biura Bezpieczeństwa pisały o 45 tys. uczestników manifestujących swoją wiarę.

OSTRZEŻENIE PRZED ZURZĘDNICZENIEM

Podczas uroczystości Bożego Ciała 1953 r. prymas Polski kardynał Stefan Wyszyński prowadził procesję w asyście 100 księży, 450 zakonników i zakonnic. Główna homilia wybrzmiała przy kościele akademickim św. Anny na Krakowskim Przedmieściu. Prymas mówił dużo o wolności. Wolności sumienia i wolności kapłaństwa. Te dwie sprawy łączył: „Wolność kapłaństwa jest zarazem wolnością sumienia". Gdy kapłan jest wolny – mówił – jest wolność sumienia, gdy kapłani są zamieniani w urzędników, tam wolności nie ma. Zurzędniczenie duchownych – jak nazywał ten stan – uznał za wystąpienie przeciwko wolności sumienia i przeciwko wolności wyznania. To także byłby rodzaj zamachu na ustrój Kościoła, na wolność Kościoła i na wolność kapłaństwa. W tym sensie, kontynuował prymas, obrona kapłaństwa wprost oznacza obronę samej wolności sumienia, także sumienia wiernych. Kardynał Wyszyński powiadał wprost, że rozumie to Kościół i rozumieją katolicy. I przytoczył przypadki w historii, gdy kapłaństwo poddawano presji reguł biurokratycznych. Te próby nazwał zamachem na wolność kapłaństwa. I ostrzegał: „Nie wolno stawać między biskupem a kapłanem, bo gdy się to dzieje, uwidacznia się rozluźnienie spoistości Kościoła katolickiego. Innym biskup być nie może, bo przestałby być biskupem katolickim...". I zapewnił słuchającą rzeszę wiernych polskiego Kościoła, że „...nie przestaniemy tak rozumieć i bronić kapłaństwa Chrystusowego, jego wolności i niezależności".

Słowa o skutkach „zurzędniczenia" w pełni potwierdza postępująca w kolejnych dekadach praktyka etatyzacji Kościoła katolickiego w Europie, która zaznaczyła się szczególnie w Kościele w Niemczech. Widać to doskonale dziś, gdy kapłana zmieniono w sytego państwowego urzędnika, wyznaczając mu pensję i z czasem doprowadzając do niemal całkowitego uwiądu wiary i obojętności duchowej tegoż, ale także utraty duchowego wigoru u wiernych Kościoła. Gdy wszelkie czynności liturgiczne i sakramentalne przeistoczyły się w oderwaną od rzeczywistości i pozbawioną głębszych treści ornamentykę. Ornamentykę z czasem coraz bardziej redukowaną i także zanikającą.

GOŚCIE NIEPROSZENI

Po uroczystościach Bożego Ciała kard. Stefan Wyszyński przewodniczył 7 czerwca w Kaliszu uroczystościom związanym z 700-leciem kaliskiej katedry pw. św. Mikołaja Biskupa. Uczestniczyło w nich ponad 20 tys. wiernych. W kaliskim kazaniu akcentował przede wszystkim prawo do wiary, przywołując

eprasa.pl 7e1fc54e41

bieżące konteksty społeczno-polityczne. „...Prasa zagraniczna pisze – mówił kardynał – że jesteśmy narodem biednym, ale silnym, bo w 95 procentach wierzącym – zjednoczonym wokół Kościoła katolickiego. Nie ma siły zdolnej pozbawić nas praw wiary". Podkreślał jednak, że nie jest groźnym wrogiem ten, który rozbija ciało, lecz ten, który rozbija duszę. I przywołał powtórnie echa zachodniej prasy: „Piszą – jesteśmy krajem biednym i zacofanym, lecz wystarczy dla nas chleba, dla wszystkich gości proszonych i nieproszonych, mimo że gdzie proszeni lub nieproszeni z polskiej ubogiej ziemi wywożą chleb do swoich bogatych krajów...". Te słowa, trafiające do tysięcy słuchaczy, nawiązujące wprost do okupantów sowieckich, nazwanych tu nieproszonymi gośćmi, zadają kłam temu, co zwłaszcza dziś niektórzy tak chętnie podkreślają: koncyliacyjny charakter kontaktów Prymasa Tysiąclecia z władzą ludową. Choć te oceny uzupełniają wyjaśnieniem, że dzięki temu zrealizował swój podstawowy cel: ocalił katolicyzm i polską tożsamość przed komunistami. Tak piszą ostatnio od nowa historię PRL niektóre ośrodki medialne. Dowodzą, mówiąc najkrócej, że PRL nie była wcale totalitarna, ergo w Polsce Ludowej totalitaryzmu nie było. Dlaczego to robią? Bo ten nieludzki system budowali ich przodkowie.

W innych publikacjach czytamy już wprost, że: „PRL nie była państwem totalitarnym". Pod takim tytułem „Gazeta Wyborcza" opublikowała niedawno fragmenty książki Andrzeja Walickiego.

TEKSTY POD TEZĘ

Pod tę tezę wydaje się także pisany inny artykuł gazety koncernu Agory, zamówiony z okazji „40. rocznicy śmierci Stefana Wyszyńskiego", nazwany rzekomo błyskotliwym, wieloznacznym tytułem „Prymas Polski Ludowej". W całym tekście autorowi przechodzą z trudem przez gardło słowa „kardynał", „Prymas Tysiąclecia" czy „Sługa Boży". Nie stosuje tych tytułów, gdyż interesuje go, jak podkreśla, nie „mit, tylko konkretny człowiek". Redakcja w publikacji wybiła, jako szczególnie ważny w treści, lead: „W świetle dokumentów trudno mówić o Kościele rzymskokatolickim jako ofierze systemu, był on najpoważniejszym graczem politycznym, z którym władza musiała się liczyć, ale na którego również wielokrotnie, z powodzeniem zresztą, liczyła, i to od początku aż do swego końca". Szkoda tylko, że autor artykułu, były jezuita Stanisław Obirek, tak o nim tu mowa, nie zastanawia się, dlaczego pisze o końcu komunistycznej władzy, a nie końcu Kościoła. Może właśnie dlatego, że trafił się Polsce Prymas Tysiąclecia, a wraz z nim Karol Wojtyła i wbrew różnym operacyjnym grom totalitarnej bezpieki późniejszy Jan Paweł II. Ale to widocznie już przekracza perspektywę pola widzenia i autora, i koncernu medialnego, który artykuł zamówił.

> Od nowa historię PRL piszą dziś niektóre ośrodki medialne. Dowodzą, że PRL nie była wcale totalitarna, ergo w Polsce Ludowej totalitaryzmu nie było. Dlaczego? Bo ten nieludzki system budowali ich przodkowie

PORAŻAJĄCA IGNORANCJA

Eksjezuita na koniec swoich rozważań zastanawia się nad przyszłością spuścizny „Stefana Wyszyńskiego", którą, jak wcześniej dał poznać, w całości kontestuje. Chyba nie zdziwi nikogo, gdy podkreśla, iż ma ona już li tylko charakter historyczny. Czego miała dowieść także uliczna sonda, w której miały dominować odpowiedzi, zwłaszcza tych młodszych: „Wyszyński? Z niczym nie kojarzę".

Wróćmy więc jeszcze do Kalisza i do uroczystości z 7 czerwca 1953 r. Trudno odmówić prymasowi Wyszyńskiemu przenikliwości i racji, gdy mówił o tym, jak bardzo totalitarnemu państwu przeszkadzają Bóg i modlitwa: „...nawołuje do pracy bez odpoczynku w święta, odciąga od świątyń i wiary...". I ostrzega: „...choćbyś urobił sobie ręce i nogi, to i tak nic nie zbudujesz bez oparcia się o Boga, a Bóg gdy stworzył świat, to sześć dni pracował, a siódmego odpoczywał...".

Jak bardzo przewidywalna, powtarzalna i niezmienna jest walka komuny i neokomuny z Kościołem i ludźmi wiary. Jak niewiele od tamtej pory się zmieniło. Gdy dzień święty, święta niedziela jej przeszkadza i ją irytuje. A przecież przez niemal trzy dekady w wolnej III RP Polacy pracowali w niedziele. Dopiero od niedawna w Polsce niedziele są wolne od handlu. I jest niedziela, od której już tak wielu zdążyło się niestety odzwyczaić i o niej zapomnieć. W obszarze infosfery przeszkadza nawet samo słowo „niedziela". Więc zamieniono ją na „weekend". Co przyznam, przyprawia mnie o pasję. Poraża też ignorancja tzw. elit, które wzdrygają się przed nazwaniem kardynała Stefana Wyszyńskiego Prymasem Tysiąclecia. Miano to przysługuje mu nie z racji, iż raz na tysiąc lat taki się rodzi (co swoją drogą jednak nie jest dalekie od prawdy), ale ogłoszenia ślubów jasnogórskich narodu z okazji jubileuszu tysiąclecia chrztu Polski.

Na koniec jeszcze przywołajmy słowa prymasa z kaliskiej katedry z czerwca 1953 r. Mogłyby paść i podczas tegorocznych uroczystości Bożego Ciała Anno Domini 2021 i chciałoby się, żeby okazały się prorocze także 12 września br., podczas beatyfikacji Prymasa Tysiąclecia: „...Byli w Polsce książęta, królowie, prezydenci, zaborcy, najeźdźcy i wrogowie, wszyscy odeszli, a zwyciężyła i pozostała wiara, świątynia i Naród, który jest twardy, nieustępliwy w swych postępowaniach i przekonaniach narodowych oraz w wierze katolickiej...".

* * *

Wykorzystane cytaty z prymasa Stefana Wyszyńskiego pochodzą z akt służb komunistycznej bezpieki zawartych w opracowaniu Bogdana Pieca „Stefan Kardynał Wyszyński Prymas Polski w dokumentach aparatu bezpieczeństwa PRL (1953–1956)", Wydawnictwo Księży Werbistów, Verbinum, Warszawa 2001.

Autorka jest mediozna wcą, religiologiem, prof. WSKSiM w Toruniu

eprasa.pl 7e1fc54e41

Człowiek prosty, ale nie prostak

Alina Czerniakowska

Z racji wykonywanego zawodu spotykam różnych ludzi. Najbardziej przeraża mnie prymitywne cwaniactwo, niezależne od wykształcenia, przynależności do grupy społecznej czy pracy. „Ja wiem, ja mam rację, ja dawno już mówiłem, co należało zrobić, ja jestem mądrzejszy, co tam ktoś będzie mi mówił, pouczał" – tacy ludzie są niereformowalni, trudno z nimi rozmawiać, cokolwiek wytłumaczyć, zmienić myślenie i czyny, które są w wyraźnej sprzeczności z prawdą, faktami i logiką. Oni wiedzą wszystko najlepiej, jak powinien być zarządzany kraj, co powinien powiedzieć prezydent, jakie decyzje podejmować premier i ministrowie. „Ja bym zrobił tak" – mówią z przekonaniem, że są najmądrzejsi i „nikt im nie podskoczy".

Takie rozmowy słyszy się wszędzie – na warszawskich podwórkach, pełnych nudzących się emerytów, teraz już warszawiaków „pełną gębą", a przecież to są ci, którzy po wojnie zapełnili miejsca po prawdziwych przedwojennych mieszkańcach stolicy, wymordowanych w czasie okupacji i powstania warszawskiego. Oni wychowali już kolejne pokolenia, często obecnych tzw. celebrytów. Podobnie stało się na wsi – właścicielom ziemskim zabrano majątki, a dworakom rozdano cudzą własność. Prawdziwych gospodarzy nazwano „kułakami", zbiedzono i zniszczono ich ekonomicznie, wybili się ci, co to szybko polubili nową władzę komunistyczną i tak wychowali swoje dzieci. Mamy kolejne pokolenia ludzi pozbawionych solidnej wiedzy, kultury bycia, leniwych, kombinatorów, przekonanych, że im się należy, bezczelnych cwaniaków, z którymi każdy skromny, mający rzetelną wiedzę, dobrze wychowany człowiek przegrywa.

Człowiek prosty, z zasadami, honorem, wrodzoną delikatnością, kulturą, budzi szacunek, w przeciwieństwie do prostaka – cwaniaka. Taki typ jest zawsze ten sam – czy to pod barem z piwem, czy za kierownicą mercedesa, w luksusowym apartamencie, czy w wielkim gabinecie na wysokim stanowisku. Takiemu nie przeszkadza kłamać, szkalować, zionąć złością i nienawiścią czy bezceremonialnie rzucić papier na ulicy, torbę po zjedzonym hamburgerze, napluć, głośno wyklinać. Nie obchodzi go, że w ten sposób niszczy nasz wizerunek w oczach obcych. Jakże często, przechodząc ulicą, podnoszę walające się papiery, bo to przecież stolica mojej Polski.

Dzisiaj trzeba więcej wymagać od osób publicznych, które nadają ton, są wzorem dla innych, szczególnie dla młodszych pokoleń. Często jedynym kryterium wyboru takich, a nie innych osób na najwyższe stanowiska w państwie są znajomości i wzajemne układy zamiast odpowiedniej osobowości i wysokich umiejętności. To musi ulec zmianie, jeśli chcemy piąć się coraz wyżej jako jednostki i naród. Warto tu przytoczyć słowa Ignacego Mościckiego, przedwojennego prezydenta, absolwenta i profesora wielu znamienitych uczelni, wynalazcy, budowniczego polskiego przemysłu chemicznego, autora ponad 40 patentów polskich i zagranicznych: „Jeżeli mam zrobić coś, co nie leży na linii mego fachowego przygotowania, radzę się specjalistów. Jeżeli jestem chory, radzę się lekarzy, jeżeli mam przystąpić do budowy domu, zasięgam rady architekta. Jeżeli chodzi o sztukę rządzenia Polską, myślę, że nie mamy w Polsce lepszego specjalisty od Pana Marszałka Józefa Piłsudskiego i dlatego wolę nie polegać na własnym zdaniu. Nie ukrywam, że nieraz to, czego chciał Pan Marszałek, w pierwszej chwili nie bardzo mi się podobało, przekonałem się jednak, że miał zawsze rację i że nawet to, co wydawało mi się niedobre dla Polski, okazywało się potem dobre". Wielkie dokonania, wspaniała prezencja, wielka klasa i skromność, patriotyzm nie na pokaz – prezydent Mościcki powinien być wzorem dla obecnych naszych polityków. Praca dla Polski to służba – niestety pamiętają o tym tylko nieliczni zasiadający w ławach sejmowych. Widzimy, jak wiele złego wyrządzają te osoby publiczne, które z własnych egoistycznych pobudek, tylko dlatego, żeby podkreślić swoją ważność, niszczą, zamiast budować, szkodzą, zamiast pomagać, dając w ten sposób pożywkę wrogom.

Ostatnio tyle dyskusji w mediach, rozmów w naszych domach o tym, co możemy dostać od władzy, od rządu – co jeszcze nam dadzą. Może wypadałoby zapytać siebie, co ja mogę zrobić dobrego dla innych, bo przecież to jest prawdziwa miara człowieczeństwa. Żyjemy w natłoku wszelkich informacji, na ogół złych, sensacyjnych, bo takie szybko znajdują odbiorców i przynoszą dochód. Chciałoby się wierzyć, że wokół żyją ludzie mądrzy, dobrze wychowani, kulturalni, wrażliwi na dobro i piękno, a jednocześnie stawiający sobie wymagania i mający ambicje im sprostać. („Musicie od siebie wymagać, nawet gdyby inni od was nie wymagali" – Jan Paweł II do młodych na Westerplatte 1987 r.). Tymczasem wystarczy się przejść ulicą, by czar tych wyobrażeń, może bardziej życzeń, przygasł. Młody człowiek trzymający napis „wolność" zapytany, co przez to rozumie, odpowiada z uśmieszkiem, cedząc słowa: „No..., żeby była wolność...". Głupota, brak wiedzy, rozumu.

W podobnym stylu były odpowiedzi uczestniczek wspierających aborcję, tylko bardziej szokujące, bo czyż nie można się przerazić, gdy młoda dziewczyna mówi – nie urodziłabym kalekiego dziecka, bo to chyba nie jest człowiek, a starsza kobieta dodaje: „Aborcja najlepiej reguluje liczbę urodzeń, bo chemia jest bardziej szkodliwa". Znana jest, lecz spychana w niepamięć przez współczesnych zwolenników aborcji, wypowiedź Matki Teresy z Kalkuty, często cytowana przez Jana Pawła II: „Jeżeli matce wolno zabić własne dziecko, cóż może powstrzymać ciebie i mnie, byśmy się wzajemnie nie pozabijali". Kultura bycia, skromność, szacunek dla życia, dla pracy i osiągnięć drugiego człowieka, świadomość własnego miejsca i zadań, jakie każdy ma do wykonania – to prosta recepta na nasze „być". „Wiara i rozum są jak dwa skrzydła, na których duch ludzki unosi się ku kontemplacji prawdy" (Jan Paweł II, encyklika „Fides et ratio").

Autorka jest reżyserem filmowym, scenarzystką i dziennikarką

Reklama | 78/0421/F

eprasa.pl 7e1fc54e41

OGÓLNOPOLSKI TYGODNIK KATOLICKI

WYDANIE SPECJALNE DLA 19 DIECEZJI

DOSTĘPNY W PARAFIACH, KIOSKACH I NA POCZCIE

niedziela

TYGODNIK KATOLICKI OD 1926

+ REGINA POLONIÆ

niedziela.pl

niezbędnik katolika

księgarnia niedziela

niedziela tv

niedziela FM

moje pismo TĘCZA

WIARY GODNE MEDIA

tkniedziela

@tygodnik.niedziela

@niedziela_pl

JESTEŚMY DLA WAS OD 95 lat

eprasa.pl 7e1fc54e41

Broń ABC

Lech Makowiecki

Ziemia ma kształt kuli (geoidy), a folia aluminiowa nie przepuszcza niektórych fal elektromagnetycznych. Obie te hipotezy sprawdziłem w praktyce. Pierwszą – przemieszczając się statkami i samolotami po całym globie – od Sydney po Vancouver. Drugą – eksperymentując w gronie przyjaciół z telefonem komórkowym. Wystarczy zawinąć komórkę w kilka warstw zwykłej srebrzystej folii (używanej powszechnie przy grillowaniu) – a „znika" ona z systemu lokalizacji, nie odbiera i nie wysyła żadnych sygnałów. Proste, ale skuteczne.

Nie jestem zatem „płaskoziemcem" ani „foliarzem", mam wyższe wykształcenie techniczne, po studiach odbyłem roczne szkolenie podchorążych (czego doświadczają dziś nieliczni młodzi ludzie). I dobrze pamiętam, jak 40 lat temu wtłaczano nam do głów wiedzę o broni ABC (atomowej, biologicznej, chemicznej). Dlatego ze zdumieniem przyglądam się pandemicznemu szaleństwu, jakie ogarnęło bez wyjątku cały cywilizowany świat. Szukając na gwałt przyczyn zarazy u nietoperza z Wuhan, zupełnie nie bierze się pod uwagę możliwości wykorzystania broni biologicznej (stosowanej już w starożytności – o czym pisałem w tygodniku „Sieci"). Dziś, gdy w laboratoriach naukowych możliwa jest ingerencja w budowę wirusa – łatwo wyobrazić sobie ukierunkowaną broń biologiczną eliminującą np. wyłącznie ludzi starych. Albo chorych. Mężczyzn lub kobiety. A może wyselekcjonowane genetycznie całe wspólnoty, narody, rasy? Z ulgą przyjąłem ostatnie oficjalne informacje, że wywiady Australii, Indii, Wielkiej Brytanii czy USA biorą już pod uwagę możliwość zainicjowania przez Chiny III wojny światowej. Rządy tych państw rozpoczynają działania osłonowe (riposta, lek), daleko wykraczające poza niszczące gospodarkę lockdowny i pospieszne, kontestowane przez wielu wirusologów „wyszczepianie" całej populacji. Primum non nocere!

PS Mylić się jest rzeczą ludzką. Ale brnąć w pomyłkę – to już zbrodnia. Zwłaszcza podczas wojny...

Rubikoń wraca do gry

Piotr Cywiński

Niedoszły premier Ryszard Petru, drugi, po doszłym prezydencie Lechu Wałęsie, aforysta Rzeczypospolitej, który swego czasu „dokonał zwrotu o 360 stopni", wraca do polityki. Bo chce coś zatrzymać i coś uruchomić. Co chce zatrzymać? Tego nie sprecyzował – raz mówi, że „pełzające po Polsce widmo komunizmu", to znów, że „mentalny powrót do PRL", bo „trzeba powiedzieć wprost, że PiS ma poglądy narodowo-socjalistyczne" – ale sposób na to zatrzymanie już ma: „tinktank". I nazwę jego też już ma: Instytut Myśli Liberalnej. Kuźnia Petru Ryszarda będzie badała i edukowała, wzmacniała i przypominała, i promowała, zapowiedział. Co takiego będzie promowała? Że np. „500+ demoralizuje niektórych", że – cytuję wiernie – z jego wypowiedzi dla RMF „dezaktywizuje kobiety na rynku pracy, które za pięć, dziesięć lat będą bardzo biedne", że „to jest rzucanie kłód pod nogi tym, którzy są aktywni".

Jednym zdaniem „Rubikoń, na którym już raz potknął się Kaczyński", wraca do polityki. I będziemy mieli teraz „sześciu króli": Tusk Donald – już nie „król Europy", ale wciąż na uchodźstwie, oczekujący, aż mu ciury białego konia okulbaczą, Budka Borys vel Borysław – niechciany, wciąż jednak w szyszaku na czele Koalicji z nazwy Obywatelskiej, Schetyna Grzegorz vel Shrek – były premier z cienia, gotów z niego wyjść, Trzaskowski Rafał – stołeczny król, który wyszedł z Czajki, Hołownia Szymon – król z obwieszczenia, walczący o władzę w 2050 r., oraz on, Petru właśnie, gotów na „trzęsienie ziemi w polskiej polityce po stronie opozycji, które jeszcze przed nami".

„Trzeba być konsekwentnym, trzeba mieć ograniczone zaufanie do ludzi, a w polityce ludzie są bardzo specyficzni", powiedział i ma rację. Twórca Nowoczesnej, gdyby ktoś zapomniał, wie, jak rządzić. Gdyby mógł, sprywatyzowałby wszystkie koncerny: i paliwowy, i ten od miedzi, i bank PKO, i TVP też. Nic to, że na świecie jest, jak twierdził, „sto trzydzieści parę krajów", i złośliwcy wytknęli mu, że oficjalnie jest ich 194, bo nie o jakieś kraje tu chodzi, tylko o Polskę, ani nie o jakiegoś brytyjskiego „premiera Kameruna", ani nawet o tego, co też nadmienił, „prezydenta Unii Europejskiej" Tuska, bo „głowa psuje się od góry", a samo „kręcenie filiżanką w szklance bez cukru" czy „bicie termometru w trakcie choroby" nic nie dają.

Sześciu króli... – i kogo wybrać? Istna klęska urodzaju! Cóż, jak mawiał Wałęsa Lech, „nie można mieć pretensji do słońca, że się kręci wokół ziemi"...

Reklama | 38/0521/F

eprasa.pl 7e1fc54e41

RMF radio 24

nowe radio internetowe

informacyjne
radio
rmf24.pl

DOŚWIADCZENI DZIENNIKARZE!
NIE INTERNETOWE TROLLE!

www.radio.rmf24.pl

eprasa.pl 7e1fc54e41

Michał Korsun prezentuje:
Ryszard Petru zakłada think tank

Wycinki z przeszłości

„Meksykańskie lato" – brzmiał podpis pod zdjęciem tych pięknych dziewczyn, umieszczony na ostatniej stronie tygodnika „Światowid" 9 lipca 1939 r. W całym piśmie tego typu radosne ilustracje i wakacyjne relacje sąsiadowały z doniesieniami pachnącymi wojną. W Wielkiej Brytanii rekrutów powołano na ćwiczenia, a w Polsce marszałek Edward Śmigły-Rydz na Zjeździe Legionistów w Krakowie mówił o „dalszych próbach, które nas już może w najbliższym czasie czekają". Nastąpiło tam też „uroczyste ślubowanie ofiarnego poświęcenia się dla dobra Ojczyzny w pokoju czy na wypadek wojny".

Wielu Polaków tego przyrzeczenia w następnych straszliwych latach dotrzymało wzorowo, a żołnierz polski bił się z Niemcami od pierwszego do ostatniego dnia, w każdym niemal zakątku świata.

(mk)

Wzruszenia zapisane w słowach...

Leszek Długosz

Otrzymałem prezent niezwykły i jak mi drogi – wydany w Londynie w 1941 r. tomik wierszy Stanisława Balińskiego „Wielka podróż". To wtedy już trzecie jego wydanie. Zachwycony i wzruszony czytam. Przecież nie moje to lata ni rzeczywistość, a wzruszenia? Przez Poetę w słowa pochwycone, jak żyją i dziś. I jak się dalekiemu czytelnikowi udzielają. I czytam jakże przez nie (przez te słowa) wzruszony, czyli dotknięty i zdobyty. To tu, w tym tomiku, spotykamy ten potem jak wpisany do literatury, i więcej, i do polskości, termin „na nieludzkiej ziemi". Dołączam ot pierwsze sprzed oczu z niego strofki... /Z postoju w Paryżu.

Stanisław Baliński (1898–1984)
„Epilog"

Trzeba jeszcze uprzątnąć popiół na kominie
I odsunąć pod ścianę wypłowiały fotel
Sprawdzić jakieś papiery na stole... A potem
Stłumiwszy w sobie oddech, który troską płynie
Westchnąć w ciszy za wszystkich, co prześladowani
Za tych co uwięzieni i którzy wygnani
Za tych co leżą teraz na deskach cierpienia
Z otwartymi oczami, na nieludzkiej ziemi
– Tą chwilą nie okupisz, mój bracie, sumienia
Żeś o jeden szept więcej nie jest między niemi.
Trzeba lampę zgasić, kocem się owinąć
I zasnąć. Żeby jutro płynąć – dalej płynąć...

(Londyn, luty 1941)

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	75 zł	139 zł	245 zł
wSIECI HISTORII	–	29 zł (3 wydania)	54 zł (6 wydań)
pakiet SIECI i wSIECI HISTORII	–	158 zł (w tym 3 wydania wSIECI HISTORII)	280 zł (w tym 6 wydań wSIECI HISTORII)

*dane do przelewu w stopce redakcyjnej

Reklama | 7/0621/F

eprasa.pl 7e1fc54e41

Szkoła Wyższa Wymiaru Sprawiedliwości

SWWS

PRAWO

JEDNOLITE STUDIA MAGISTERSKIE
BEZPŁATNE
O PROFILU PRAKTYCZNYM

swws.edu.pl/prawo

MINISTERSTWO SPRAWIEDLIWOŚCI

Szkoła Wyższa Wymiaru Sprawiedliwości
ul. Wiśniowa 50, 02-520 Warszawa
tel. 22 602 44 14
e-mail: **rekrutacja.studia@swws.edu.pl**

rasa.pl 7e1fc54e41

OD A DO ZYBERTOWICZA

Demokratyczna odmowa wiedzy

UWAGA: to nie jest tekst o pochodzeniu koronawirusa SARS-CoV-2. Sedno leży w problemie odmowy wiedzy w sprawie fundamentalnej dla całej ludzkości. Odmowy – przez elitę naukową, polityczną i opiniotwórczą najpotężniejszego kraju na Ziemi, postrzeganego jako główny obrońca wolności.

KATHERINE EBAN…

…to renomowana amerykańska dziennikarka śledcza. W czerwcu 2021 r. magazyn „Vanity Fair" opublikował jej obszerny, dobrze udokumentowany tekst: „Teoria wycieku z laboratorium: kulisy walki o odkrycie źródeł COVID-19".

Eban przypomina, że teoria, iż wirus sam przeskoczył z nietoperzy na ludzi, od początku nie pasowała wielu badaczom – w Wuhanie, gdzie epidemia się zaczęła, jest bowiem główne laboratorium badań nad koronawirusami, posiadające obszerne zbiory nietoperzy oraz licznych szczepów wirusów. Wielu badaczom czymś naturalnym wydawało się zbadanie, czy wirus nie wydostał się z właśnie z tego laboratorium.

UCZENI PRZECIW WIEDZY

Tymczasem już w lutym 2020 r. czasopismo medyczne „The Lancet", jedno z najbardziej szanowanych w świecie, ogłosiło oświadczenie zdecydowanie odrzucające hipotezę wycieku z laboratorium. 27 naukowców wyraziło „solidarność ze wszystkimi naukowcami i pracownikami służby zdrowia w Chinach", zapewniając: „Stoimy razem, aby zdecydowanie potępić teorie spiskowe sugerujące, że COVID-19 nie ma naturalnego pochodzenia".

Według Eban właśnie to zablokowało otwartą debatę nad pochodzeniem COVID-19 – zanim jeszcze się ona rozpoczęła. „The Lancet" nadał sprawie dominujący ton. Badaczy związanych z Departamentem Stanu (amerykańskie

Nieliczni, samodzielnie pracujący badacze oświadczeniu „The Lancet" nie ulegli i gromadzili niepokojące tropy

MSZ) przestrzegano, by nie otwierali puszki Pandory. Zarazem osoby bez elementarnych kompetencji z zakresu badań nad wirusami faktycznie promowały teorie spiskowe. Jednak nieliczni, samodzielnie pracujący badacze oświadczeniu „The Lancet" nie ulegli i gromadzili niepokojące tropy, np. wskazujące, że w Instytucie Wirusologii w Wuhanie nie w każdym przypadku stosowano najwyższe standardy bezpieczeństwa.

A przecież problem pochodzenia koronawirusa to nie jest oderwana od życia kwestia akademicka. Nie znając prawdziwego źródła wirusa, trudno jest podejmować trafne środki zaradcze w obliczu tej i przyszłych pandemii.

INGERENCJA W NATURĘ

Ale jest jeszcze inne, nie mniej ważne tło – tzw. gain-of-function research, czyli badania mające na celu zwiększenie zdolności przenoszenia się oraz zjadliwości patogenów. Badania, których celem nie tyle jest poznanie rzeczywistości, ile głęboka ingerencja w naturalne procesy biologiczne. Takie właśnie badania prowadzono także w Wuhanie. Finansowane m.in. – uwaga – ze środków rządowych USA. Tu właśnie mamy klasyczny konflikt interesów, który na długie miesiące blokował badawczy tok dociekań. Może dlatego wobec jednego z renomowanych badaczy pojawiły się groźby śmierci wysuwane przez… innych badaczy, gdy ten w CNN powiedział, że jego zdaniem wirus pochodzi z laboratorium. Wystarczyło tylko wysunąć konkurencyjną hipotezę, by spotkać się z badawczym ostracyzmem.

KONFLIKT INTERESÓW

Później ujawniono, że oświadczenie „The Lancet" zorganizował zoolog, który rozdzielając granty rządu USA, przydzielał je m.in. placówkom prowadzącym badania typu gain-of-function – wśród nich instytutowi w Wuhanie.

Kompromitujące szczegóły można by – za tekstem Eban – mnożyć, ale istota sprawy jest taka: demokracja amerykańska jako „wolnościowy" kontekst instytucjonalny dla superważnych badań naukowych okazała się mało wydolna. Kiedyś myślałem, że zjawisko odmowy wiedzy, o którym pisałem m.in. w książce „Pociąg do Polski. Polska do pociągu" (wydanej w roku 2011), jest typowe dla słabo rozwiniętej, ułomnej demokracji III RP. Dziś wiem, że nie tylko. Tak jakby demokracja amerykańska znalazłszy się na wirażu, miała także intelektualne kłopoty z wyjściem z niego.

Na szczęście 26 maja 2021 r., zapewne pod wpływem kolejnych argumentów zebranych przez środowisko niezależnych badaczy, prezydent Joe Biden polecił tajnym służbom zbadanie całej sprawy. Szkoda, że tak późno.

Andrzej Zybertowicz

Autopromocja | Reklama 21/0521/F

eprasa.pl 7e1fc54e41

21 czerwca

w tygodniku **SIECI**

dodatek o polskich podróżnikach

Polacy *poza horyzontem*

Australia i Oceania

JAN KUBARY – spędził na wyspach Oceanii blisko trzydzieści lat. W wielu miejscach był pierwszym białym człowiekiem. Uznaje się go za najwybitniejszego badacza Mikronezji. Na Nowej Gwinei jest dziś góra jego imienia, nosi je też jedna z wysp w archipelagu Wysp Marshalla.

SYGURD WIŚNIOWSKI – niespokojny duch, który osiadł na dłużej w Australii. Był poszukiwaczem złota, mieszkał z Aborygenami, zapuszczał się też w głąb wciąż nieodkrytego lądu. Jego książki bardzo chwalił Henryk Sienkiewicza

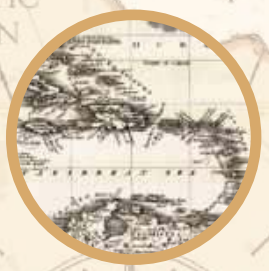

TOMASZ KAJETAN WĘGIERSKI – przedwcześnie zmarły poeta, przed śmiercią zdążył odwiedzić wyspy Morza Karaibskiego, m.in. Martynikę i Haiti – było to w czasach, o których opowiadają m.in. „Piraci z Karaibów”

Fot. Biblioteka Narodowa/Smithsonian Libraries/Shutterstock

PARTNER DODATKU

ORLEN

eprasa.pl 7e1fc54e41

TOTALIZATOR SPORTOWY
NAJWIĘKSZY MECENAS SPORTU I KULTURY
ROZDALIŚMY
1 000 000 FLAG
BY Z DUMĄ
KIBICOWAĆ NASZYM!
TOTALIZATOR SPORTOWY
65 LAT TOTALIZATORA SPORTOWEGO
#WielkieChwile